

KAREN GREGORY



# NIEPOLICZALNE



MIŁOŚĆ

STRACH



NADZIEJA



ŻYCIE

# NIEPOLICZALNE



KAREN GREGORY

Tłumaczenie  
Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *Countless*

Redakcja: Urszula Przasnek

Korekta: Anita Rejch

Skład i łamanie: Ekart

Copyright © Karen Gregory 2017

Girl illustration copyright © Peter Strain

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

**ISBN 978-83-7686-597-3**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat: jaguar\_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

*Dla Emily*

**CZĘŚĆ  
PIERWSZA**

**COŚ**



# ROZDZIAŁ 1

Papieros, który trzymam w palcach, jest cienki i lekki. Jak ja.

Stoję przygarbiona na kwadracie zmarzniętej trawy przed Dewhurst House i czekam. Felicity zawsze się spóźnia, co jest naprawdę zabawne, bo gdyby chodziło o mnie, nie darowałyby mi tego.

W końcu jej samochód wytacza się zza rogu. Zaciągam się po raz ostatni, przyglądając się, jak żar oświetla moje opuszki, a potem odrzucam papierosa obok pozostałych, ponieważ Felicity właśnie się zbliża.

Udaje, że niczego nie zauważa, i mówi fałszywie pogodnym tonem:

– Co ty tu robisz na zewnątrz? Zamarzniesz na śmierć!

Kiedy wchodzimy do środka, Felicity trzyma mi dłoń na ramieniu, jakbym miała się rzucić do ucieczki. Nie byłby to pierwszy raz. Albo sprawdza, na ile da się wyczuć kości. Wymieniamy szybkie spojrzenia, a potem opuszczam głowę.

– Napijesz się kawy? Musi być ci zimno. Jeśli się upierasz, może być czarna!

Od gwałtownie wyrzucanych przez Felicity zdań zaczyna mnie już boleć głowa. Założę się, że nienawidzi tych spotkań prawie tak samo jak ja. To znaczy naprawdę mocno, jeśli się nad tym zastanowić. Mimo wszystko wytrzymała dłużej niż większość moich terapeutów – minęły już dwa lata – i w sumie jest w porządku. Lepsza nawet od niektórych.

– No dobrze... – Felicity pochyla się z troską na twarzy. – Co słyhać?

– W porządku.

– A jak sobie radzisz w Yewlings?

– Świetnie. – Staram się stłumić sarkazm, ale dosłownie kapie on z mojego głosu, kap, kap, jakby miał uformować stalaktyt. Oczami duszy widzę maciupęnką kawalerkę w Yewlings, Wysokościowcu Marzeń. Wysiłam się na sztywny uśmiech, skóra tworzy twarde zgrubienia na policzkach. – Naprawdę doskonale.

Felicity nie kupuje tego.

– To co, miejmy to z głowy? – mówi i macha ręką w stronę wagi.

Staję na niej tyłem, a moja twarz zastyga w maskę, kiedy słucham szurania długopisu Felicity zapisującej liczby.

– Co porabiasz? – pyta.

Wykręcam szyję i próbuję zobaczyć zanotowaną liczbę, ale Felicity zdążyła już przekreślić notes. Siadam znowu na fotelu i skubię nitkę wystającą w miejscu, w którym obicie się przetarło, odsłaniając gąbkę. Siedziałam tu już chyba z milion razy.

– College?

Felicity patrzy na mnie wyczekująco. Często to ostatnio robię, wyłączam się.

– Przepraszam, o co chodziło? – pytam.

Felicity powstrzymuje westchnienie. Z trudem.

– Pytałam, czy chodzisz na zajęcia?

Moje milczenie wystarcza za odpowiedź. Zamierzam pójść, ale w połowie przypadków kończy się na tym, że krążę po mieście albo gapię się w okno, aż jest już na tyle późno, że nie ma znaczenia, czy się pojawię na zajęciach.

Naciągam głębiej kaptur bluzy i podkulam kolana. Czuję mój brzuch, zupełnie nie taki, jak powinien być, w miejscu, gdzie przyciskam do niego uda. Jeszcze raz ciągnę za nitkę, aż zostaje mi w ręku.

Biorę głęboki oddech. Odwlekałam to przez całe tygodnie, ale naprawdę zwariuję, jeśli nie zapytam.

– Jest jedna rzecz...

– Mmm? – mówi Felicity.

Zaczynam zawijać nitkę na palcu i liczę, ile razy można ją owinąć.

– To nic takiego. Po prostu czuję się... nie najlepiej. To znaczy, bardziej niż zwykle. Jestem cały czas zmęczona. I jeszcze coś. – Znowu robię głęboki wdech i zaczynam mówić szybko. – Mój brzuch... jest jakby obrzmiały. Zastanawiałam się, czy to możliwe... Czy przez Nię stało się coś nieodwracalnego?

– Rozmawialiśmy o tym, Heddo. Powinnaś przestać używać tego imienia, kiedy mówisz o swoich zaburzeniach odżywiania – oznajmia Felicity. Moim zdaniem trudno, żeby bardziej nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Tak, jasne, przepraszam. Ale wracając do tego, co mówiłam. Czy to może być... rak?

– Nie sądzę... Cóż, z pewnością możemy ci załatwić badanie. – Felicity

przygląda mi się uważniej, marszczy brwi, a potem znowu patrzy w swój notes potępienia. – Czy jest coś jeszcze, co w tym momencie może cię niepokoić? College, dom, przyjaciele? – Potrząsam głową, kiedy dodaje: – Chłopak? – Ale przy tych słowach prawie się uśmiecha.

Ja się nie uśmiecham. Czuję, że twarz robi mi się gorąca. Milczenie rozciąga się bez końca, jak ocean.

Kiedy podnoszę głowę, Felicity ma taki wyraz twarzy, jakby właśnie objawił się jej Elvis. Powoli pochyla się i łagodnym głosem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam, pyta:

– Czy robiłaś test ciążowy?



## ROZDZIAŁ 2

Co. Jest. Kur...? Co jest-co jest-co jest. Nie, nie, nie, nie. To niemożliwe.

Znowu patrzę na instrukcję. Patyczek, którego nie mogę utrzymać nieruchomo. Tkwię w toalecie centrum handlowego, w kabinie najdalszej od drzwi wejściowych. Gapię się na reklamówkę Boots pod nogami, aż zaczyna mi się rozmazywać w oczach. Deska wbija mi się w plecy, ale nie mogę się ruszyć.

W okienku jest krzyżyk. Jeszcze raz sprawdzam instrukcję. Krzyżyk znaczy, że jestem... ale nie mogę być, prawda?

Wydaje mi się, że mogę zaraz oderwać się od własnego ciała, ponieważ głowa mi puchnie, w uszach mam te dźwięki, jakie zwykle się słyszy, zanim się zemdleje, a przed oczami z lewa w prawo przepływają mi czarne kropki. Pochyliłam się, patrzę na nie i myślę: *z lewa w prawo. Zawsze z lewa w prawo*. Można by pomyśleć, że od czasu do czasu mogłyby lecieć pionowo albo po skosie.

Mija chwila, zanim znikają, ale mały niebieski krzyżyk nadal jest widoczny. Podciągam spodnie, odwracam się i wymiotuję. Część mózgu odruchowo robi obliczenia: objętość jedzenia na wejściu w porównaniu do objętości na wyjściu. Przeliczyć na kalorie, minus spoczynkowe tempo metabolizmu. Docelowa waga, waga w klinice, aktualna waga. Wszystkie liczby maszerują uspokajająco w równych rzędach.

Wpycham test do kosza na śmieci i zatrząskuję pokrywą. To pomyłka. Na pewno. Z powodu Nii zwykle nie mam nawet okresów.

Tyle że tym razem to nie ona za to odpowiada.

Wychodzę z centrum handlowego i idę przez miasto, obok obskurnych sklepów z tandetą i zabitych deskami witryn, obok pustych miejsc, gdzie wyburzono budynki, ale nie postawiono nowych. Odwracam głowę, kiedy wiatr uderza mi w twarz mdląco tłustym zapachem McDonalda. Zimny podmuch sprawia, że twarz mnie piecze. Zauważam siebie, podłużną, przypominającą ducha plamę w witrynie, i naciągam czapkę, żeby zasłonić

uszy.

Idę dalej, aż docieram do odrapanego budynku nazywanego miejską biblioteką, i wchodzę do środka. Tutaj zapach jest niewiele lepszy: poplamione, nadające się do wyrzucenia chodniki, wilgoć i zacieki wokół metalowych okien. Ale jest tu także przyjemny zapach książek i na tym staram się skoncentrować. Chowam się między półkami, obracam głowę i patrzę na grzbiety książek, a potem idę do wózka, gdzie oddane książki czekają na odstawienie na półki. Wypożyczam jedną, trzymając ją okładką w dół, nie przyglądając jej się. Zobaczę, co wybrałam, kiedy wrócę do mieszkania.

Idąc do wyjścia, widzę, że gapi się na mnie kobieta ze stosem książek spiętrzoną w grubych ramionach. Dostrzegam w jej oczach znajomą mieszankę obrzydzenia i zazdrości. Odwzajemniam spojrzenie. *Wiem, o czym myślisz.* Jedna książka wysuwa się jej z rąk i spada na podłogę.

Przechodzę szybkim krokiem przez przejście podziemne, pełne graffiti i oleistych kałuż, przez labirynt bocznych ulic z zapuszczonymi szeregowcami i chwastami w ogródkach, a potem jestem już poza miastem, na ścieżce rowerowej. Ręce kołyszą mi się w rytm kroków. Liczę te kroki w głowie.

Mieszkam kilka kilometrów po skosie od Dewhurst, jakby na końcu sąsiedniej szprychy w kole rowerowym, którego środkiem jest centrum miasta. Na końcu jednej szprychy jest ośrodek dla młodzieży, na końcu drugiej Yewlings. Jeśli doliczyć wizytę w Boots, przejdę dzisiaj osiem kilometrów, ale głos Nii cały czas dogryza mi spod odgłosu kroków.

*Spaślak. Jutro powinnaś przejść dziesięć – mówi i wiem, że to zrobię.*

Obchodzę grupę chłopców kopiących piłkę na popękany betonowy placu przed blokiem i potrzebuję obu rąk, żeby otworzyć ciężkie drzwi na klatkę. Nie muszę używać klucza; zamek jest rozwalony, tak samo jak domofon. Drzwi zatrząskują się, dźwięk niesie się echem po ciemnych schodach, jak zawsze pachnących szczyną. Na drzwiach windy przyklejona jest kartka z nagryzonym *Nie działa*, ale ja i tak zawsze wchodzę po schodach.

Osiem pięter, po osiem stopni na piętro, to razem sześćdziesiąt cztery. Sześćset cztery nadal byłoby za mało. W połowie drogi kilka dziewczyn siedzi nad plastikową butelką cydru z supermarketu, więc z opuszczoną głową przyciskam się do ściany, żeby je minąć, a potem wbiegam resztę drogi. Milczą, kiedy przechodzę, ale potem za sobą słyszę wybuch śmiechu.

Kiedy stoję pod drzwiami i grzebię kluczem w zamku, znowu kręci mi się w głowie, więc wciągam głęboko w płuca zapach starego dymu i obiadu gotowanego w sąsiednim mieszkaniu. Przysięgam, że teraz nawet nie zamierzałam wymiotować. Patrzę do ubikacji i widzę, że to głównie zabarwiona różowo woda. Biegnę z powrotem, zamykam drzwi do mieszkania na klucz, zdejmuję plecak. Buty. Wchodzę na wagę. Schodzę. Znowu wchodzę. I jeszcze raz. Powtarzam liczbę w głowie, czekając, aż woda się zagotuje.

Nie jestem w ciąży. Nie mogę być. To na pewno fałszywy wynik. To się często zdarza, prawda?

Piję gorącą herbatę z połową łyżeczki cukru, a potem znowu wyjmuję pudełko z reklamówki Boots. Zostały dwa testy. Chyba nie mam innego wyboru. Rozrywam opakowanie, sikam na jeden, a potem na drugi, i odsuwam je na bok umywalki, zanim umyję ręce, szorując wystające kłyckie.

Przez moment ze strachu mam ochotę zadzwonić do mamy, ale zamiast tego odwracam się plecami do testów i idę do kuchni/pokoju dziennego/jak to się nazywa, żeby usiąść przy malutkim stole na rozkładanym krześle. Ostatnio niewiele rozmawiam z mamą. Szczerze mówiąc, skreśliła mnie jakiś czas temu i nie dziwię się jej.

Na komórkę przychodzi esemes od Laurel. Teraz nie jestem pewna, na co mam mniej ochotę patrzeć – na wiadomość czy na testy.

Musiąły już minąć trzy minuty. Wracam do łazienki i patrzę na dwa niezaprzeczalne krzyżyki. Mój mózg zaczyna obliczać, ile czasu minęło, od kiedy to się stało – od dnia pogrzebu Molly. Jeśli to prawda, to by znaczyło, że jest późno. Bardzo późno. Nie mogę porządnie oddychać, kiedy myślę, co to znaczy.

*Jest w tobie COŚ. Pasożyt – mówi Nia.*

Mdleję i czuję, jak uderzam głową o umywalkę.

Co jest do dupy w ośrodku

Punkt 1.

Nie chcesz tam wracać

Ale czasem koniecznie chcesz tam wrócić

Miałam dwanaście lat, kiedy po raz pierwszy znalazłam się w ośrodku. Po

jakimś czasie kolejne pobyty zaczęły się zlewać w jedno, ale pamiętam, że kazano mi leżeć w łóżku i odpoczywać, na materacu, od którego bolały mnie biodra i kolana. Pamiętam także czyjś płacz, tak głośny, że nie mogłam się skoncentrować na książce. Lew, czarownica i stara szafa - ostatnia książka, którą wzięłam do ośrodka z domu, kiedy jeszcze czytałam książki, jakie mi się podobały.

Płacz trwał i trwał, dźwięk wdzierał się przez drzwi, które zostawiono otwarte, żebym nie mogła spróbować żadnej z tych sztuczek, których uczysz się w ośrodku. Sztuczek, które mają ich powstrzymać przed wepchnięciem ci tej całej dodatkowej masy. Wtedy jeszcze, prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia o połowie z nich.

Kiedy teraz o tym myślę, byłam okropnie niewinna, jak sarenka z oczami otwartymi tak szeroko, że aż bolało. Rzeczy, jakich się uczysz w ośrodku. Ludzie, których się uczysz. Twoje stałe towarzyszyki, twoi najlepsi wrogowie. Ludzie, których nie chcesz nigdy więcej widzieć na oczy, rozstania, których nie możesz znieść.

Jeśli się zastanowić, tak samo jest z Nią.

## ROZDZIAŁ 3

Felicity nie odzywa się przez całe dwie minuty, kiedy przekazuję jej radosną wiadomość. Wiem na pewno – liczę.

W końcu panuje nad twarzą, bierze głęboki oddech i mówi:

– Cóż. To musiał być dla ciebie prawdziwy szok.

– Tak pani myśli?

– A który...

– Chyba jakiś dwudziesty tydzień. Mniej więcej – mówię. – Nie jestem na bieżąco z tym, jak się powinno liczyć ciążę. – Twarz wykrzywia mi się przy ostatnim słowie.

Felicity zastanawia się. Z całej siły stara się nie wyglądać na zaszokowaną, aż chce mi się śmiać. Ale nawet ja wiem, że to nie jest śmieszne.

– Dwudziesty tydzień? Czyli to się stało po...? – zaczyna Felicity.

Wiem, że obie myślimy o tym, co się stało z Molly trochę ponad dwadzieścia tygodni temu, i o tym, że nie zamierzam ciągnąć tematu. Nie mam zamiaru jej mówić, jak dzień pogrzebu Molly zostawił mnie z niczym w środku. Często bywam głodna, ale nigdy nie czułam się tak pusta, jak wtedy. Podejrzewam, że Felicity i tak to wie, ale nie będzie mówić o tym głośno. To jeden z wielu niepisanych Warunków Umowy. Obok Żadnych Chusteczek i Tylko Bez „Wnikliwych” Pytań. Nienawidzę ich.

Moja twarz jest sztywna i napięta, zaciskam zęby na wewnętrznej stronie policzków. Patrzymy na siebie. Zegar tykaniem odlicza czas do zakończenia spotkania: zostało czterdzieści pięć minut, dwadzieścia pięć, piętnaście... Felicity próbuje mnie skłonić do rozmowy, przypomina o Możliwościach, College’u i Mojej Przyszłości – to ostatnie udaje jej się powiedzieć, jakby naprawdę wierzyła, że mam jakąś przed sobą, ale ja nie daję się na to nabrać. Nie dzisiaj.

Kiedy zostaje pięć minut, mówię:

– Chyba muszę iść do lekarza. Umówić się na wizytę, żeby... wie pani.

Felicity pochyla się na fotelu.

– Nie wiem?

– Noż kur... – powstrzymuję się w pół słowa.

Doskonale wie, stara się tylko wywołać Reakcję. Wzbudzić we mnie Emocje, a potem porozmawiać o Zachowaniach, Działaniach i Konsekwencjach.

– Żeby się tego pozbyć – mówię.

Mój głos robi dziwną cyrkową sztuczkę i zamiast zabrzmieć w tonie „nie mnie to nie obchodzi”, drży z takim przejęciem, że jestem zaszokowana. Żeby to zrównoważyć, wychodząc, trzaskam drzwiami i wracam do Yewlings jeszcze bardziej okrężną drogą niż zwykle, licząc po drodze w myślach każdy krok.

Czekam prawie tydzień, zanim zdobywam się na odwagę, żeby zadzwonić do kliniki ginekologicznej, co jest błędem, ponieważ okazuje się, że nie można tak po prostu przyjść i zrobić aborcji tego samego dnia. Lekarka, pulchna kobieta z ewidentnymi początkami zarostu, wyjątkowo długo notuje, pisząc dwoma palcami na klawiaturze, kiedy wyjaśniam, że chcę tylko załatwić sprawę. Najlepiej dzisiaj.

– Kiedy miałaś ostatni okres?

Patrzę w sufit i próbuję sobie przypomnieć, czy miałam w ośrodku przed wyjściem, ale uświadamiam sobie, jakie to głupie – to nie tak, że mam do wyboru więcej niż jedną datę poczęcia.

– Myślę, że to jakiś dwudziesty tydzień – mówię.

Pisanie dwoma palcami urywa się.

W końcu lekarka zaczyna znowu stukać w klawiaturę, drukuje pasek papieru i oznajmia energicznym tonem:

– Musisz pilnie zrobić USG.

– Po co?

Przybiera taki wyraz twarzy, częściowo zniecierpliwiony, ale także pełen litości, i mówi wolniej:

– Musimy mieć pewność, który to jest tydzień, zanim zaczniemy się zastanawiać nad dalszymi krokami.

Zastanawiam się, o jakich „my” może jej chodzić, ale ona podnosi już słuchawkę i mówi do kogoś po drugiej stronie, że to pilne. Potem rozłącza się i wręcza mi świstek papieru.

– Zanieś to do szpitala – mówi. – Ktoś odwołał wizytę o szesnastej, więc

mogą cię wcisnąć.

Biorę skierowanie trzęsącą ręką.

Na zewnątrz czytam je, ale tylko powiększa to uczucie spanikowania w mojej piersi, aż gardło całkiem mi się zaciska, a rytm serca przyspiesza czterokrotnie. Muszę się trzymać latarni, dopóki nie zwolni. Szpitale nie są dla mnie najulubieńszymi miejscami na świecie. SOR-y, oddziały dziecięce – tamtejsze pielęgniarki po prostu uwielbiają anorektyczki. Oddziały dla młodzieży są... bardziej skomplikowane.

Nia siedzi na czubku latarni.

*Głupi spaślak – syczy.*

I jeszcze: *Patrz, co narobiłaś.*

A potem: *To COŚ w tobie sprawi, że się jeszcze bardziej upasiesz. Ohyda.*

To za dużo. Odpycham się i zaczynam iść tak szybko, jak tylko mogę, po drodze wyciągając komórkę. Przez ułamek sekundy zastanawiam się nad telefonem do mamy, ciut dłużej nad telefonem do Laurel. I nagle gwałtownie uświadamiam sobie coś, co sprawia, że się zatrzymuję.

Tęsknię za Molly.

Ona wiedziałaby, co robić. Jej twarz pojawia mi się przed oczami, ale odpycham ją. Nie zamierzam zaczynać od nowa.

Nie mam pojęcia, co mam robić do szesnastej. To jeszcze całe wieki.

Idę jeszcze szybciej, pod górę, wzdłuż jeszcze jednej szprychy, oddalając się od sklepów, Yewlings, Dewhurst House, w stronę college'u. Co oznacza, że jestem naprawdę zdesperowana.

Jeśli będę miała szczęście, zdążę na matematykę.

Edward, wykładowca matematyki na poziomie A, patrzy ponad okularami, jak przemykam na tył sali.

– To miło, że dzisiaj do nas dołączyłaś – mówi.

Słysząc chichoty, ludzie odwracają się, żeby na mnie spojrzeć, ale on mówi już dalej i zapisuje na tablicy równania.

Szukam czegoś do pisania i uświadamiam sobie, że zapomniałam torby. Chłopak obok mnie – nie mam pojęcia, jak się nazywa – wyrywa kilka kartek z notatnika i podsuwa mi je razem z ciekącym długopisem.

– Dzięki – mamroczę i odwracam wzrok, kiedy zauważam, że chyba chciałby pogadać.

Zabieram się do pracy i czuję, że zaczynam się odrobinę uspokajać.

Matematyka jest jednym z niewielu przedmiotów, z którymi zawsze sobie radziłam, nawet jeśli nie chodziłam do szkoły. Chyba liczby to coś dla mnie, na dobre i na złe. Opuściłam tyle zajęć, że materiał z poziomu A przestał być dla mnie zrozumiały, ale przynajmniej mam coś do roboty poza słuchaniem Nii albo myśleniem o tym CZYMŚ.

Kiedy zajęcia się kończą, uciekam z sali, zanim Edward albo właściciel ciekącego długopisu zdążą mnie zatrzymać. Przez chwilę zastanawiam się, czy pójść na fizykę, ale muszę najpierw zapalić dla uspokojenia. Przemykam do nieoficjalnego miejsca dla palaczy, po drugiej stronie ulicy za główną bramą. W zasadzie nie wolno nam palić w college'u, ale mnóstwo osób to robi. W tym momencie przyłapanie na paleniu nie byłoby największym z moich zmartwień.

Staję w pewnej odległości od małej grupki uczniów, odwracam się plecami i skręcam papierosa. Wiatr zacina w moje odsłonięte ręce, sprawia, że stają się odrętwiałe i niezgrabne. Czubki palców mam już zupełnie białe. Wiem z doświadczenia, że nie będę miała w nich czucia przez dobre dziesięć minut po powrocie do budynku.

Nadal z opuszczoną głową próbuję poradzić sobie z bibułą i woreczkiem tytoniu.

Słyszę za sobą:

– Przyjdiesz później?

– Nie. Matka strasznie się przejmuje. Chce, żebym wracał na obiad.

Błysk zazdrości rozpala się i gaśnie jak płomień mojej zapalniczki. Nikt nie oczekuje, żebym wracała do domu na określoną godzinę, chociaż do zalet tej sytuacji należy zaliczyć to, że nie mam też obiadu, chyba że powlokę się wcześniej do sklepu. Znowu naciskam przycisk zapalniczki, metal zgrzyta, ale iskra przeskakuje i gaśnie.

– Proszę. – Płomień migocze przed moją twarzą. Za nim widzę dziewczynę, której początkowo w ogóle nie rozpoznałam w college'u, ponieważ przeszła przemianę zupełnie jak brzydkie kaczątko, stając się kimś niesamowicie efektownym.

To Sal.

Zaciągam się długo, skrępowana.

– Dzięki – mówię na wydechu, wypuszczając dym.

Sal jest ostatnią osobą, jaką mam ochotę widzieć, zwłaszcza dzisiaj. I na pewno nie chcę widzieć tej znajomej troski przypominającej mi szóstą klasę,



kiedy to nie zjadłam ani kęsa tortu na jej urodzinach.

Wiem doskonale, co zaraz usłyszę.

– To... co tam... słyhać?

– A, wszystko w porządku, dzięki. Miło cię widzieć. Miałam zajrzeć, żeby się przywitać.

Sal wzrusza leciutko ramionami i zapala papierosa.

*Jasne, że bym zajrzała.*

Obie to myślimy. Obie wiemy, że pomiędzy tortem a dniem dzisiejszym upłynęło za dużo lat. To jeden z powodów, dla których w college'u nie podnoszę głowy, od kiedy zaczęłam ją poznawać.

Zaciągam się jeszcze raz i znikąd spada na mnie fala mdłości. Spojrzenie Sal zdradza, że musiałam zrobić się bledsza. W jej pełnym niepokoju wzroku jest też ledwie dostrzegalny cień irytacji, jakby przypominała sobie wszystkie te momenty, gdy siedziała ze mną podczas lunchu, próbowała mnie rozbawić i kręciła na palcach niczym hula-hoop chrupki, których nie jadłam. Nauczyła się tego bardzo szybko. Ale ja nadal pamiętałam Sal taką, jaką była jeszcze wcześniej. Tę, z którą się kiedyś kłóciłam, kto będzie czerwonym Power Rangersem (czerwony prowadził Megazorda, więc był najlepszy, nieważne, że to zawsze był chłopak, a nie dziewczyna).

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, może to Sal poprosiłabym, żeby poszła ze mną na to USG. Przygryzam od środka policzek i zmuszam się do uśmiechu.

– Muszę już lecieć. Fajnie, że się spotkałyśmy – mówię.

Mam nieodparte wrażenie, że kiedy się oddalam, Sal potrząsa głową.

Szpital jest pełen echa. Wchodzę schodami na piąte piętro i daję skierowanie od lekarki recepcjonistce. Mruży nad nim oczy, a potem wskazuje mi rząd krzeseł. Zajmuję miejsce jak najdalej od morza brzuchów, którym towarzyszą mężczyźni z idiotycznymi wyrazami dumy i troski na twarzach. Staram się nie nawiązywać z nikim kontaktu wzrokowego, koncentruję się na liczeniu w myślach sekund. Kiedy jestem już dobrze za dwoma tysiącami, zostaje wywołane moje nazwisko.

Wchodzę za kobietą do małego gabinetu z łóżkiem, obok którego stoi coś, co uznaję za aparat do USG z ekranem.

– Na nikogo nie czekamy? – pyta w sposób, który chyba ma być życzliwy.

– Nie.

– Dobrze, w takim razie podwiń bluzkę.

Odwracam głowę, żeby patrzeć w ścianę, podczas gdy ona zabezpiecza mi krawędź spodni ligniną, wyciska żel na mój brzuch i przyciska do niego głowicę, całkiem mocno, biorąc pod uwagę okoliczności.

Po paru sekundach mówi:

– O, tutaj jesteś.

Odwracam do niej szybko głowę, ale kobieta skoncentrowana jest na monitorze.

Chcę zapytać: „Jest pani pewna? Naprawdę coś tam jest w środku?”. Ale ona mówi już o wymiarach.

Nagle uśmiecha się i odwraca monitor w moją stronę.

– Tutaj widać, jak bije serce.

– Nie chcę tego oglądać! – Mówię to znacznie głośniej, niż zamierzałam.

Odwracam wzrok do ściany.

Lekarka nieruchomieje na chwilę, a potem zaczyna klepać w klawiaturę pod monitorem. Wydaje mi się, że mówi coś jeszcze – wyłapuję słowa „dwudziesty trzeci tydzień”, ale kiedy tylko cofa głowicę, wstaję i obciągam bluzkę, nie dając jej czasu na wytarcie żelu.

Nie biorę zdjęć, które mi podaje.

## ROZDZIAŁ 4

– Heddo? Jestem Mary, dyplomowana położna. Rozmawialiśmy telefonicznie.

Przyszła przed czasem.

Przyciskam do piersi paczkę makaronu błyskawicznego, przesuwam ją, żeby uścisnąć wyciągniętą do mnie rękę. Mary ma u stóp obszerną torbę, a ja zastanawiam się, co jest w środku. Mam nadzieję, że nie waga.

– Czy mogę wejść?

Uświadamiam sobie, że gapię się na torbę, więc cofam się i rozkładam ramiona.

– Proszę się rozgościć.

Widzę, jak rozgląda się po praktycznie pustym mieszkaniu, ale robi to dyskretnie. Staram się ignorować dudnienie basów dobiegające zza ściany łazienki. Pamiętam pierwszy wieczór tutaj, kiedy starałam się zasnąć mimo głośnej muzyki, a potem krzyków na korytarzu, skulona w kłębek pod idiotycznie cienką kołdrą, na którą narzuciłam jeszcze płaszcz. Byłam jednak zbyt nakręcona, żeby spać. Wydaje się niewiarygodne, że to było sześć miesięcy temu. To najdłuższy okres, jaki spędziłam poza szpitalem, od kiedy skończyłam dwanaście lat. Zwykle trwało to trzy-cztery miesiące, a potem tam wracałam. Tamtej pierwszej nocy w Yewlings wydawało mi się, że nawet trzy dni to będzie za długo. Nawet w najlepszym okresie nie wiedziałam, jak mam sobie radzić sama, nie mówiąc już o nagłym znalezieniu się we własnym mieszkaniu, gdzie najwyraźniej miałam być odpowiedzialna za rzeczy takie jak pilnowanie płacenia za światło i – co bardzo śmieszne – kupowanie jedzenia. Mało brakowało, a zadzwoniłabym wtedy do mamy i błagała ją, żeby zmieniła zdanie. Pewnie by to zrobiła, biorąc pod uwagę, że następnego dnia miał być pogrzeb Molly, ale nie mogłam się zmusić do wykonania telefonu. Przede wszystkim byłam zbyt zszokowana.

Mary patrzy na mnie z ciepłem w oczach. Przyglądam się jej twarzy, ale

nie dostrzegam ani śladu tego fałszywego spojrzenia profesjonalistki, która udaje, że nie ocenia innych ludzi. W swojej pracy musiała już widzieć wszystko. Muszę też przyznać, że jest szybka. Byłam na USG zaledwie dwa dni temu. Dwa dni, przez które nie robiłam właściwie nic poza gapieniem się w internet, który – będąc największym źródłem informacji dostępnych dla ludzi/kobiet/kogokolwiek – w niczym nie pomaga, kiedy próbuję zrozumieć, co właściwie mam teraz zrobić. W moim świecie nie przytrafiają się dzieci.

– Napije się pani herbaty?

– Tak, poproszę. Z mlekiem i łyżeczką cukru.

Włączam czajnik, odwracam się i widzę, że wyjęła gruby plik notatek i arkusz nalepek. Robię herbatę i siadam po skosie, zaplatając ramiona na moim – jak na razie – prawie nieistniejącym brzuchu.

– Bardzo dziękuję – mówi Mary. Rozgląda się za miejscem, gdzie może odstawić kubek, i ostatecznie stawia go na podłodze. – To co, możemy się dowiedzieć paru rzeczy? – Zagląda do notatek. – Czy możesz potwierdzić swoją datę urodzenia?

Przerabiamy pytania ogólne: adres, wzrost, waga (oczywiście kłamię).

Potem pada najlepsze pytanie:

– Czy ojciec jest nadal obecny w twoim życiu?

Przebłysk wspomnienia niezgrabnych palców, moich dzinsów opuszczonych do kostek, szorstkiej i zimnej ściany. Gin z tonikiem, pierwszy i ostatni alkohol, jaki piłam, przelewa mi się w żołądku jak kwas. Po tym wspomnieniu, niby napisy końcowe jakiegoś surrealistycznego filmu, przewija się Lista Molly. Ta, którą napisała dla mnie przed śmiercią.

Szybko odwracam głowę.

– Nie.

Mary składa palce w daszek i przygląda mi się. Ma pomarszczone grzbiety dłoni, to ręce kobiety starszej, niż mi się początkowo wydawało. Włosy ma ufarbowane na odcień rudego, co gryzie się z burgundowym lakierem do paznokci. W pasie ma parę dodatkowych kilogramów.

– Zastanawiałaś się nad wszystkimi opcjami? – pyta. – Byłaś u psychologa?

Staram się nie myśleć o wizycie u Felicity, na którą wczoraj nie poszłam, ani o wiadomościach, które nagrała mi w poczcie głosowej. Szukanie informacji w internecie liczy się jako pomoc psychologa, prawda?

– Mhm – mówię. – Wiem, co chcę zrobić. Nie chcę tego.

Głos Mary jest łagodny.

– Heddo, wyniki USG wskazują na...

– Dwudziesty trzeci tydzień.

– Tak, to...

– Późno. Wiem.

Mary rozkłada ręce z lekkim cmoknięciem.

– Tak. Ale aborcja nie jest wykluczona. Biorąc pod uwagę twoją historię, najprawdopodobniej byłaby najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

– To co dalej mamy zrobić?

– Cóż, muszę cię ostrzec, że to będzie zabieg chirurgiczny.

– Wiem. Sprawdziłam to. – Nie wspominałam o zdjęciach, które widziałam, pokazujących malutkie dzieci z rękami rozmiaru mojego palca. – Chciałabym móc... ale nie mogę. Nie mogę mieć tego czegoś w środku. Powiedziałam, że tego nie chcę, i naprawdę nie chcę. Co miałabym robić z dzieckiem? To jakiś absurd. – Staram się mówić stanowczo, ale słowa brzmią zupełnie nie tak, jak powinny.

Mary walczy ze sobą, ale teraz mnie potępia – wyczytuję to z ledwie widocznego napięcia skóry wokół oczu.

– Dobrze. W takim razie muszę zadzwonić w kilka miejsc – mówi, składa notatki i wstaje.

Odprowadzam ją do drzwi.

Czuję za sobą Nię, kościste ręce opierające się na moich ramionach. Mam ochotę odchylić się do tyłu i poczuć jej twardość.

– To właściwa decyzja – mówię.

Ale nagle stoję przed drzwiami i nie mogę się zmusić, żeby sięgnąć do klamki. Nieoczekiwanie myślę o Molly i obietnicy, jaką jej złożyłam: że nie wrócę do szpitala. Myślę o Nii obserwującej mnie przez te wszystkie miesiące, przez które dotrzymałam słowa, niczym drapieżny ptak, któremu od czasu do czasu pozwalałam polatać po pokoju – ponieważ Nia nie jest czymś, z czym można się tak po prostu rozstać.

– Wszystko w porządku? Jesteś bardzo blada – mówi Mary.

– Tak, nic mi nie jest.

Sięgam, żeby otworzyć drzwi, nie trafiam w klamkę i opieram się o nie ciężko. Patrzę na Mary.

– Nie. Właściwie nie – mówię.

Wracamy na kanapę. Mary czeka, aż zacznę mówić.

Niemożliwe myśli wirują mi w głowie, a pomiędzy nimi słyszę szepty Nii. Zaciskam oczy i staram się skoncentrować.

– A co, jeśli...?

– Tak?

– A co, jeśli postanowiłabym ją kontynuować? Ciężę? – pytam. To nie tak, że nie zastanawiałam się nad tym. Nie jestem całkiem egoistyczna. Chyba.

– Istnieje taka możliwość. – Mary bardzo ostrożnie dobiera słowa.

– Czy to by się udało? Wie pani, z powodu Nii... to znaczy, zaburzeń odżywiania. Czy to nie jest uszkodzone?

– Dziecko?

– Płód. Ale o to chodzi. – Mówię szybciej. – Są jacyś ludzie, prawda? Którzy mogą mu zapewnić lepsze życie?

– Zastanawiasz się nad oddaniem dziecka do adopcji?

Kiwam głową.

Mary znowu zagląda do notatek.

– I chcesz wiedzieć, czy...?

– Czy... wie pani... – Wskazuję swój tułów. Nie potrafię wykrztusić słowa „dziecko”. – Czy nic mu nie będzie? – Głos lekko mi się załamuje. W głowie mam pełno trajkoczących myśli, kręcących się w kółko jak na karuzeli, starających się rozważyć wszystkie możliwości, wybrać, co robić. Odchyłam się do tyłu i przyciskam rękę do piersi, żeby poczuć słabe, szybkie uderzenia serca.

– Cóż, USG wykazało, że dziecko jest dość małe, jeśli masz pewność co do czasu.

– Mam pewność. – Był tylko jeden raz.

– Poza tym jest w całkowitym porządku. Aż dziwne...

Mary nadal patrzy w notatki, podczas gdy ja przyswajam, co powiedziała.

W końcu mówi:

– Adopcja z pewnością jest możliwa. Ale musisz się nad tym poważnie zastanowić. Wiem, że jest już dość późno na przerwanie ciąży, ale w twojej sytuacji, z twoją historią... W tym momencie wszystko jest w porządku, ale wydajesz mi się okropnie chuda. Zazwyczaj dziecko bierze potrzebne składniki odżywcze od matki, a nie jest to możliwe, jeśli nie ma czego brać.

– Wiem o tym.

– Na pewno? Bo jeśli zdecydujesz się utrzymać ciążę, ale nie będziesz się odpowiednio odżywiać, zarówno twoje zdrowie, jak i zdrowie dziecka będą

bardzo poważnie zagrożone. – Zaczyna recytować listę możliwych komplikacji.

Po chwili podnoszę rękę.

– Rozumiem. Naprawdę. Powiedziała pani, że na USG wyszło, że wszystko się rozwija tak, jak trzeba.

– Owszem, na razie. Ale jeśli naprawdę chcesz donosić to dziecko, musisz poważnie się zastanowić. – Patrzy prosto na mnie surowym wzrokiem. Czuję się trochę tak, jakby ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody. – Jeśli chcesz donosić ciążę, nie możesz robić niczego głupiego. To nie jest zabawa i chodzi nie tylko o twoje życie. Jeśli chcesz mieć to dziecko, musisz jeść.

### Co jest do dupy w ośrodku

#### Punkt 2.

#### Regulamin

Regulamin w ośrodku ma mnóstwo punktów. Godziny, w których nie należy spać, pory posiłków, spotkań grupowych, lekcji, terapii. Zostają rozpisane dla ciebie tak, że nie musisz się zastanawiać nad tym, co masz ochotę robić, czego byś chciała. Oczywiście łatwo przewidzieć, na co nie masz ochoty: na wazenie. Ćwiczenia pod nadzorem. Bycie wożoną na wózku.

Regulamin zabrania nam także odwiedzania się nawzajem w pokojach, żeby powstrzymać nas od nakręcania się nawzajem – nie, żeby to robiło jakąś różnicę.

Przed przyjściem Molly inne pacjentki nie obchodziły mnie poza porównywaniem, czy jestem od nich szczuplejsza. Pewnie miałam Zły Wpływ. Pewnie, kiedy już poznałam wszystkie sztuczki i wymyśliłam kilka nowych, przekazywałam tę wiedzę. Może powinnam czuć się winna z tego powodu – kto wie?

Z regulaminem w ośrodku było tak, że łamałyśmy go ciągle i bez przerwy. Jeśli się chce, można na to patrzeć jak na grę. Komu uda się przechytrzyć personel. Oszukać wagę. Jeśli ujdzie ci to na sucho, wygrujesz. My przeciwko nim. Byłam w tym dobra. Tyle że nie bardzo mogłam liczyć na nagrodę.

## ROZDZIAŁ 5

Mary poszła. Robię sobie herbatę i dodaję do niej całą łyżeczkę cukru oraz odrobinę mleka, a potem piję małe, parzące łyżki i myślę o wszystkim, co powiedziała. Czy zupełnie zwariowałam, jeśli uważam, że mogę donosić dziecko? Wszystko wydaje się trochę nieostre i odległe – jeszcze bardziej niż zwykle.

Robię kilka małych kółek po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym się zająć. Zauważam plecak, który miałam w dniu, kiedy zrobiłam test ciążowy, i wyjmuję książkę wziętą z biblioteki. *Magia sprzątnia*. Aha. Kartkuję ją. Najwyraźniej sprzątnie pozwoli całkowicie zmienić moje życie. Może warto byłoby spróbować, gdybym miała w tym mieszkanku coś do sprzątnia. Myślę o chaosie w pokoju Molly w Dewhurst. Personel zawsze upierał się, żeby zbierała śmieci z podłogi. Felicity weszła tam nawet z torbą na śmieci, co wywołało jedną z najdłuższych awantur, jakie widziałam w ośrodku. Prawie uśmiecham się na to wspomnienie, a potem zatrząskuję książkę i wpycham ją do plecaka.

Przypominam sobie coś jeszcze sprzed prawie roku, tuż sprzed poznania Molly. Potknęłam się i spadłam ze schodów w college'u. Dobrze, może zemdlałam, ale nie zamierzałam przyznawać się do tego. Wyszłam z ośrodka tuż po egzaminie GCSE, więc tak jak teraz przychodziłam na spotkania z Felicity co tydzień, z domu. Przyszła mnie odwiedzić jako swoją pacjentkę w ośrodku tego wieczoru, kiedy mój stan znowu się pogorszył. Albo poprawił, zależnie od punktu widzenia. Miała ściągniętą, zmęczoną twarz. Popatrzyłyśmy sobie w oczy i tym razem to ja pierwsza odwróciłam wzrok. Felicity powiedziała wtedy: „Wiesz, jest określenie na to, co robisz. Zawodowa anorektyczka”.

Wtedy mnie to nie obeszło. Może nawet uznałam to za jakieś osiągnięcie. Ale teraz? Teraz nie jestem pewna.

Kładę dłonie na brzuchu i staram się wyobrazić sobie, co jest w środku.

COŚ – szepcze Nia.



Wewnątrz mnie jest życie. We mnie. Spośród wszystkich ludzi. To nie powinno być możliwe, ale się dzieje. Musi istnieć jakiś powód. Zastanawiam się, czy Molly mnie może zobaczyć, tam, gdzie teraz jest. Jeśli tak, to może to nie jest tylko najgorszy kosmiczny żart. Może to jakieś przeznaczenie czy coś.

*Tam jest dziecko.* Myśl o tym, że się porusza, rośnie i rośnie, sprawia, że robię się gruba, posyła mnie biegiem do łazienki. Pochylam się nad ubikacją, ale wtedy dzieje się coś przedziwnego. W ostatniej chwili jakaś siła, która jakby w ogóle nie pochodząca ode mnie, powoduje, że się prostuję, przełykam ciepłą herbatę i żółć, a potem otwieram na oścież okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Wymioty nie będą dobre dla dziecka. Dziecka, co do którego mam tylko małeńki ułamek pewności, czy mogę je donosić, i jeszcze mniej pewności, czy powinnam.

Siadam na zapadniętej kanapie i w nieskończoność gapię się na popękany tynk na ścianie naprzeciwko. To wszystko jakiś dziwaczny sen. Nie mogę być w ciąży. Na litość boską, mam dopiero siedemnaście lat.

Jakby życie zwracało na to uwagę.

Może powinnam zrobić aborcję.

Przechodzę do małego aneksu kuchennego, robię sobie trochę makaronu błyskawicznego i zjadam na stojąco. Potem sięgam po jakiś owoc. To wszystko bezpieczne jedzenie, rzeczy, z którymi sobie radzę. Nadal mniej więcej stosuję się do planu posiłków z ośrodka. Mniej więcej. Szczerze mówiąc, wprowadziłam jedną czy dwie modyfikacje, po cichu zrezygnowałam z paru rzeczy. Życie z niewielkim budżetem nie jest złe, kiedy sobie uświadamiasz, że stać cię tylko na jedzenie najtańszego makaronu błyskawicznego, i to przez cały tydzień. Teraz wracają do mnie słowa Mary i wiem, że makaron mi nie wystarczy.

Gapię się i gapię na ogryzek jabłka na blacie, próbuję to wszystko przemyśleć i w tym momencie coś czuję. Dziwny, leciutki skurcz na dole, z boku. Czułam już wcześniej podobne, ale nie takie silne, a teraz uświadamiam sobie coś, co mi wcześniej nie przyszło do głowy: to nie jest niestrawność ani skurcz mięśni. To kopnięcie. Dziecko, prawdziwe, żywe dziecko wewnątrz mnie, kopie. To się dzieje naprawdę.

Tym razem zdążam się złapać blatu i opaść na kolana, zanim zemdleję.

Jestem zamroczona tylko przez parę sekund. Kiedy dochodzę do siebie,

widzę nad głową przybrudzone białe kafelki i wydaje mi się, że jestem znowu w ośrodku, aż do chwili, gdy przekręcą głowę i widzę otwarte drzwiczki pralki. Uświadamiam sobie, że wszystko wokół jest nie tak. W tym momencie przypominam sobie: wyszłam z ośrodka. Po raz pierwszy w życiu nikt mnie nie pilnuje – ani mama, ani personel. Jestem we własnym mieszkaniu, ponieważ pomoc społeczna nie miała mnie gdzie umieścić, co – jak się nad tym zastanowić – jest zupełnym szaleństwem. Ale radzę sobie, mniej więcej. Drepczę w miejscu i staram się dotrzymać obietnicy danej Molly. Albo nie.

Leżę na plecach. Uświadamiam sobie, że wsłuchuję się w swoje ciało, staram się wyodrębnić ból będący wynikiem upadku od zwykłych bólów i zastanawiam się, czy poleciałam na brzuch.

Leżę długo na przetartej wykładzinie, zastanawiam się nad tym wszystkim i dochodzę do wniosku, że podjęłam decyzję. Urodzę to dziecko. To tylko kilka miesięcy. Mogę jeść, dopóki go ze mnie nie wydostaną. Może i jestem zawodową anorektyczką – popaprańcem, na którym wszyscy postawili krzyżyk – ale może przez kilka tygodni uda mi się być kimś jeszcze.

Liczę tygodnie, potem dni, potem posiłki. Siedemnaście tygodni, sto dziewiętnaście dni, trzysta pięćdziesiąt siedem posiłków. Uda mi się, jeśli tylko będę sobie z tym radzić krok po kroku.

Obracam bez końca w głowie ten pomysł i oczami duszy widzę twarz Molly – to, jak na mnie patrzyła tamtego wieczoru w ogrodzie, kiedy mi powiedziała, że kocha świat, nawet jeśli nikt poza mną nie odwzajemnia jej uczuć. Jeśli nie dałabym rady z jakiegokolwiek innego powodu, może dam radę ze względu na nią.

Wymyślam taką umowę: Nia i ja zawrzemy rozejm. Kiedy dziecko przyjdzie bezpiecznie na świat i znajdę mu odpowiednich rodziców, Nia może mnie odzyskać. Wystarczy, że będę jadła przez siedemnaście tygodni, a potem wszystko będzie jak dawniej.

Czuję, że Nia siedzi mi na ramieniu. Wydaje się, że zastanawia się nad tym, a potem słyszę cichutkie kliknięcie w środku, jakby układ został przypieczętowany.

*Zgoda* – szepcze Nia. Rozwiewa się jak dym i unosi się pod sufit, żeby mnie obserwować.

Czuję, jak dziecko kopie mnie od środka.

**CZĘŚĆ  
DRUGA**

# **ODLICZANIE**



## Co jest do dupy w ośrodku

### Punkt 3.

#### Jedzenie

Często się zastanawiałam, dlaczego wszystkie słowa powiązane z jedzeniem są takie obrzydliwe: tykać, siorbać, chapać, żreć, ćpać, przeżuwać (to jest chyba najgorsze), czkać, bekać. Wszystkie gardłowe, onomatopieczne. (W siódmej klasie miałam świetną nauczycielkę angielskiego. Ja i Natalie siedziałyśmy prawie na samym przedzie, a ja powtarzałam szeptem w myślach o-e-i-a, żeby nie pomylić się przy pisaniu. Nie pamiętam tylko żadnego z wierszy, jakie analizowaliśmy, ani żadnego z tych, które napisałam. To pewnie lepiej).

Oczywiście bycie zmuszanym do jedzenia zawsze jest okropne. Ale jedzenie w ośrodku było okropne na więcej sposobów, niż mogłam sobie wyobrazić. Wszystkie te kalorie, tłuszcz, cukier, obrzydliwość wpychania mi tego do gardła, posiłek po przekąsce, po posiłku. Karmienie przez sondę w nocy. Siedzenie bez końca przy stole. Tak, każde jedzenie byłoby okropne, ale jedzenie szpitalne jest okropne na swój sposób. Jest gorsze od tego, co kazali ci jeść w podstawówce. Rozmiękłe frytki, warzywna paćka, kompletnie nierozpoznawalne zupy. Masło ściekające z zatłuszczonej folii na tosty, które można by zwinąć w rulon. Wszystko podawane letnie, na tacach z zapoconymi pokrywami. Serio, jeśli chcielibyście zniechęcić kogoś do jedzenia, trudno o lepszą metodę niż zmuszanie go, żeby jadł te świństwa dzień po dniu.

# ROZDZIAŁ 6

## JESZCZE SIEDEMNAŚCIE TYGODNI

Myszę o książce, którą Molly pokazała mi przed śmiercią, dziwacznej i hippisowskiej, o przeszłych wcieleniach. Nie jestem pewna, czy Molly naprawdę w to wszystko wierzyła, czy tylko lubiła wyprowadzać z równowagi personel, w szczególności kobiety o zbyt miękkich sercach, wyposażone w powiewne szale i pozytywne afirmacje. Żałuję, że o to nie zapytałam.

Pamiętam, że według tej książki dzieci wybierają swoich rodziców. To znaczy wszyscy z jakiegoś powodu wybieraliśmy ich i miejsce, gdzie się urodzimy. Ponieważ chcemy się czegoś nauczyć czy coś takiego. Bóg jeden wie, dlaczego miałabym wybierać moich rodziców, chociaż nie byli aż tacy źli. Na pewno nie zasłużyli na taką córkę jak ja.

Ja właściwie nie wierzę w nic poza Nią, a poza tym, jeśli uznamy, że ludzie wybierają sobie rodziców, zaczynamy się zagłębiać w reinkarnację i wszystkie te inne rzeczy. Zresztą, kto by wybrał urodzenie się w kraju ogarniętym wojną albo u rodziców, którzy go nie chcą?

Mówiąc wprost, co mogłoby sprawić, że dziecko miałoby wybrać mnie?

Mary ma znowu wpaść w przyszłym tygodniu. Do tego czasu powinnam pójść do dietetyczki, ale przysięgłabym, że wiem już więcej o jedzeniu niż cały ich zastęp. Siadam do internetu, czytam wszystko, co tylko znajdę, o żywieniu kobiet w ciąży, i robię notatki. Wyszukuję diety i plany posiłków, dalej piszę i do wieczora tworzę własny harmonogram, dokładnie uwzględniający wszystko to, co muszę jeść, żeby przybrać odpowiednio na wadze. Ani więcej, ani mniej. Potem robię listę zakupów i wyliczam koszty. Robię kilka zmian i znowu dodaję. Kotlety są trochę droższe niż makaron błyskawiczny.

Ostatecznie wieczorem mam już swój plan. Jutro pójde na zakupy.

Zamierzam się właśnie położyć, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Ignoruję

je, bo to pewnie ktoś do mieszkania piętro niżej. Ale ktokolwiek to jest, nie chce odejść, więc wyglądam przez wizjer i wzdycham ciężko. To Laurel.

Otwieram drzwi.

– Co ty tu robisz? Powinnaś być w ośrodku.

– Mogę wejść? – pyta i posuwa się do przodu, a ja odruchowo cofam się, żeby ją przepuścić.

Zwija się w malutki kłębek na mojej kanapie i zaczyna przygryzać kącik paznokcia.

Ma na sobie długą czarną spódnicę, która powinna być obcisła, ale wyraźnie widzę pod nią ostre kolana, podwinięte stopy. Ma zapadnięte i trochę ziemiste policzki, wystające obojczyki. Nie mogę powstrzymać się przed porównywaniem. Czuję się przy niej jak słoń, jak hipopotam.

– Napijesz się czegoś? Kawy?

Kiwa głową, więc zaparzam słabą, z dolewką zimnej wody.

Jej palce zaciśnięte na kubku to skóra na kościach, ścięgna wystają na grzbietach dłoni ostrymi liniami.

Chcę zapytać, dlaczego tu jest, ale znam już odpowiedź.

– Będą cię szukać – mówię.

Laurel pije kawę i patrzy na mnie oczami jak z kreskówki Disneya.

– No wiem. Sorki, Hed. Nie mogłam wytrzymać, nie? Mają mnie przenieść do Tłuszczolandii.

Aha. Newland House, prywatny ośrodek. Pamiętam, że kiedyś wysłano tam jedną dziewczynę. Nie miałyśmy od niej wiadomości przez całe miesiące, a kiedy wreszcie pozwolono jej pisać listy, przysyłała takie długie i zrozpaczone, całe strony wypełnione drobnym maczkiem – jakby im bardziej przybierała na wadze, tym bardziej znikwała. Tam obserwują cię przez cały czas, nawet w kiblu. Nikomu nie udają się żadne sztuczki, nie tam. Laurel wymyśliła nazwę Tłuszczolandia, z czego wszystkie się wtedy śmiałyśmy, ale bałyśmy się tego miejsca.

– Kiedy?

– Mam jechać w przyszłym tygodniu. – Rzuca mi zrozpaczone spojrzenie, jej twarz to same oczy i czaszka, czoło jest wypukłą kopułą pod rzadkimi włosami. – Co mam zrobić? Nie mogę... – Zaczyna ciężko oddychać.

– Okej. Będzie okej – mówię. – Chcesz papierową torbę?

Przede wszystkim boję się, że zasłabnie, dostanie ataku serca czy coś takiego. Wygląda bardzo źle. Ale wygląda także... szczupło. Szczuplej ode

mnie. O wiele. Wiem, że ona też o tym myśli. To ukryta rywalizacja, nieustannie obecna. Nienawidzę przegrywać. Niezgrabnie próbuję ją poklepać po ramieniu i obie wiemy, że wyczuwam tylko kość. Tę ostrą krawędź na grzbiecie ramienia, która powinna być wyścielona, ale nie jest. Nie u osób takich jak my. Kładę rękę na swoim ramieniu, dla porównania, i natychmiast ją opuszczam.

Laurel przeciera dłonią twarz, rozmazuje masce na skroni, a potem patrzy na mnie.

– Może zmienią zdanie. Albo miejsce zostanie zajęte przez kogoś innego. Mogę jeszcze... – Urywa i podciąga nogi, opiera na nich podbródek. – A co z tobą?

– Co ze mną? Nic nowego.

Jasne, nic poza przeklętym dzieckiem. Jakoś całkiem mi to umknęło. Wydaje mi się, że czuję ten leciutki skurcz-kopnięcie, więc pochylam się do przodu i naciągam luźno sweter.

Laurel marszczy brwi.

– Wyglądasz... nie wydaje mi się... – Urywa i jakaś mała część mnie chce się roześmiać na widok zakłopotania na jej twarzy. Wyobrażam sobie, że jej mówię, a ona patrzy na mnie ze zgrozą, i wiem, że nie mogę tego zrobić.

– W porządku – powtarzam.

Przekręca głowę, więc widzę przez chwilę ostre, wystające kości u nasady szyi. Była tutaj tylko raz, niedługo po tym, jak się wprowadziłam. Wtedy też uciekła z Dewhurst. To było przedziwne uczucie pokazywać jej to miejsce – część mnie czuła się całkiem dorosła i dziwnie dumna, inna część głupia, jakbym tylko udawała dorosłą. Uświadamiam sobie, że teraz wszystko wygląda tak samo; nie zajmowałam się wystrojem wnętrza.

Wzdycha ciężko.

– Chciałabym mieć własne mieszkanie.

Wiem, że chodzi jej o to, że wtedy mogłaby rozwijać swoją wersję Nii i nikt by jej nie powstrzymywał. Mam ochotę powiedzieć jej, jak cicho, jak pusto tutaj bywa, ale nie zrozumiałaby. Zresztą jej mama nigdy by jej nie wyrzuciła.

Siedzimy w milczeniu, a widok Laurel z podkulonymi nogami przypomina mi o ośrodku, o tym, jak siedziałyśmy w kręgu, patrzyłyśmy w podłogę i na siebie nawzajem, chociaż nie powinnyśmy na siebie patrzeć.

## Co jest do dupy w ośrodku

### Punkt 4.

#### Terapia grupowa

Ach, terapia grupowa. Najczęściej milczenie grupowe. Wszystkie kulimy się bokiem na krzesłach, z obolałymi plecami, ocierając kolana o drewniane poręcze, a terapeutka próbuje nas skłonić, żebyśmy mówiły o naszych uczuciach - albo co gorsza, rysowały je. Cała godzina, trzy razy w tygodniu.

Doskonale poznałam dywan w tej dużej, zimnej sali. Kiedy zamykam oczy, widzę plamki na nim, jasnożółte jak wymioty albo brudnoniebieskie.

Każdego dnia to samo. Zmieniały się tylko uczestniczki i nasze wymiary. Liczyłyśmy sobie nawzajem kości, próbując ustalić, która z nas wygrywa w tym akurat tygodniu. Wszystkie pacjentki były takie, co do jednej.

Wtedy do ośrodka wpadła Molly.

Kiedy po raz pierwszy przyszła na terapię grupową, siedziała nieruchomo jakieś pięć minut, a potem zerwała się i oznajmiła donośnym, wytwornym tonem: „Pieprzyć to wszystko”.

Ellen, która prowadziła wtedy zajęcia, powiedziała coś idiotycznego, coś w rodzaju: „Wydaje mi się, że chcesz wyrazić w ten sposób złość, Molly”.

W tym momencie Molly i ja spojrzaliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem, który brzmiał naprawdę dziwnie. Wydawało się, że ten śmiech trwał bez końca, odbijał się od ścian, aż zaraził wszystkich.

Nawet Laurel uśmiechnęła się, a ja zapamiętałam ten uśmiech tak wyraźnie, zmarszczki przecinające jej policzki jak u starej kobiety. Wtedy po raz pierwszy widziałam, żeby się uśmiechała, a znałam ją co najmniej od kilku miesięcy. Dlatego coś sprawiło, że śmiech uwiązał mi wtedy w gardle, w oczach pojawiły się łzy, a Molly spojrzała na mnie, jakby dokładnie wiedziała, co się dzieje w mojej głowie. To spojrzenie trwało długo, podczas gdy Ellen krzyczała, a pozostałe dziewczyny umilkły. Wydawało się, że jedyną rzeczą na świecie są oczy Molly, zielone i lśniące.



– Tęsknisz za nią – mówi Laurel.  
Boże, i to jak.

# ROZDZIAŁ 7

## JESZCZE SZESNAŚCIE TYGODNI

Odwiozłam Laurel do ośrodka. Pewnie i tak niedługo by zapukali do mnie. Siedziałyśmy przez chwilę, aż wreszcie spojrzała na mnie i powiedziała:

– Chyba powinnam...

– Tak – odparłam.

Pojechałyśmy taksówką, ponieważ wiedziałam, że na miejscu za nią zapłacą.

Niezgrabnie uściskałam Laurel na odległość ramienia i powiedziałam, żeby do mnie napisała – nie wolno jej mieć własnego laptopa z powodu tego incydentu ze stronami pro-ana – a potem skuliłam się z tyłu w taksówce, kiedy ona szła ciężko do drzwi. Otworzyły się, zanim do nich doszła, i stanęła w nich patrząca surowo Felicity. Powiedziała parę słów do Laurel i podeszła, żeby zapłacić kierowcy. Nie patrzyła na mnie, dając mu pieniądze i polecając, żeby zawiózł mnie z powrotem, i już myślałam, że mi się uda, ale wtedy otworzyła tylne drzwi i wsunęła głowę do środka.

– Musisz przychodzić na spotkania. Nie zmuszaj mnie, żebyśmy wysłała zespół interwencyjny – oznajmiła.

Skinęłam głową, a ona miała dość rozumu, żeby nie naciskać dalej.

Spojrzała przelotnie na mój brzuch.

– Dziękuję, że ją przywiozłaś – powiedziała i zamknęła szybko drzwi.

Myślałam o tym przez całą drogę do domu – jeśli jest to właściwe określenie tego mieszkania. Felicity wyglądała na zatroskaną, jak zawsze, ale także odrobinę triumfującą, jakby wiedziała coś o mnie.

Myślałam też o tym, że powinnam porozmawiać z mamą i tatą, ale to wszystko było zbyt skomplikowane, więc zaczęłam myśleć o Liście Molly.

Nie patrzyłam na nią od tygodni, ale nie musiałam. Wiedziałam dokładnie, co na niej jest.

## Lista Molly - rzeczy do zrobienia przed śmiercią

1. Strać dziewictwo. To nie może być aż takie ważne, jak się ludziom wydaje, a skoro ja nie będę miała okazji tego zrobić osobiście, musisz to załatwić zamiast mnie.
2. Podróżuj. Pojedź gdzieś. Odwiedź miejsca, których nikt nie chce oglądać. Antyzwiedzaj świat. Możesz zacząć od Torquay - tam jest mnóstwo staruszków, a staruszkowie są super. Na pewno muszą znać jakiś sekret. Kup sobie taki wiktoriański kostium kąpielowy i popływaj w morzu.
3. Adoptuj wirtualnie zwierzę z jakiejś fundacji i dostań certyfikat. Myślałam o małej żyrafce - wyglądają zabawnie, ale widzą naprawdę daleko. (W tym miejscu narysowała krzywy obrazek żyrafy).
4. Czytaj więcej książek - klasykę i tak dalej. Czytaj coś, co naprawdę Ci się będzie podobać, i przestań wybierać książki na oślep. Wiesz, że zasługujesz na czytanie tego, na co masz ochotę.
5. Zakochaj się. To może, ale nie musi mieć związku z punktem 1.
6. Zmień świat, bo wiem, że to potrafisz.
7. NIE WRACAJ DO SZPITALA.

Myślę o tej liście i o tym, że na razie odhaczyłam tylko punkt pierwszy i siódmy, a pierwszego nawet za dobrze nie pamiętam, bo byłam kompletnie pijana – no i patrzcie, co z tego mamy.

Znowu się zastanawiam, co myślała Molly, kiedy to pisała. Czy naprawdę wierzyła, że wszystko da się naprawić paroma słowami zanotowanymi na świstku papieru? Ale w tym jest coś więcej. To tak, jakby rzucała zaklęcie, jak się ma potoczyć moje życie. Ponieważ widzicie... nadal tu jestem. Jak widać, nie w szpitalu, na dobre i na złe, chociaż nie jestem nawet pewna, na ile to moja zasługa. Czasem myślę, że tylko ta garść słów zostawionych przez Molly, niecałe sto pięćdziesiąt, trzyma mnie tutaj.

Zastanawiam się nad tym, kiedy nagle moją uwagę przykuwa coś za oknem. Jakiś przygłup podczas projektowania tego bloku postanowił ozdobić mieszkania od zewnątrz skrzynkami na kwiaty. Uczciwie przyznam, że niektórzy coś w nich sadzą – nagietki, zioła (mniejsza o to, jakie) i tak dalej.

Ja nie zawracałam sobie tym głowy, ale teraz w kącie jednej skrzynki stoi jakaś roślina w doniczce. Podmuch wiatru sprawia, że intensywnie czerwone płatki dosłownie tańczą za szybą. Podchodzę do okna i osłaniam oczy na widok masy kwiatów w skrzynce za sąsiednim oknem, trzęsących się jak szalone na wietrze. Próbuję policzyć, ile ich tam jest, ale wieje za mocno i kwiaty zlewają się w rozmazaną plamę koloru.

Czy komuś, kto je zasadził, skończyło się miejsce i uznał, że może wykorzystać także moją skrzynkę? A może to prezent dla mnie? Ale kto miałby robić coś takiego? Przede wszystkim ktoś, kto nie bałby się sięgnąć przez sporą przerwę między oknami, i to na wysokości ósmego piętra.

Wychyłam się jeszcze trochę, opierając połowę ciężaru ciała na klamce, ale w tym momencie podmuch wiatru uderza w skrzydło okna i otwiera je na oścież. Przysięgam, mało brakuje, żebym wypadła. Mam wrażenie, że ziemia w dole podskakuje jak na skoczku pogo, i przez sekundę wiszę niebezpiecznie blisko punktu utraty równowagi. Udaje mi się jednak złapać drugą ręką za parapet i odpycham się do tyłu tak mocno, że lecę jak długa na podłogę. Okno zamyka się z trzaskiem, a potem znowu otwiera, skrzydło uderza w rytm mojego serca, które gwałtownie zwolniło. Jestem przyzwyczajona do tego, że zatrzymuje się na moment, a potem przyspiesza, ale to dziwne, że ze strachu jego uderzenia stają się słabsze, a nie mocniejsze i szybsze.

Uświadamiam sobie, że jedną ręką zataczam kółka na brzuchu, który drga leciutko, jakby dziecko chciało powiedzieć: „Spokojnie, nic mi nie jest. Ale nie rób tego więcej, dobra?”.

– Dobra – odpowiadam szeptem.

Uświadamiam sobie, że się przestraszyłam. Nie chciałam wypaść.

To już coś znaczy, prawda?

Trochę później robię sobie porcję kurczaka, brokułów, marchewki – którą rozgotowałam – i trochę za twardych ziemniaków. Mnóstwo anorektyczek potrafi świetnie gotować, ale ja nie jestem przeciętną anorektyczką. Nienawidzę gotowania. Gdyby to zależało ode mnie, byłabym unoszącym się duchem złożonym z samego umysłu i w ogóle nie przejmowałabym się jedzeniem. W tym momencie jednak to nie bardzo wchodzi w grę.

Odmierzam wszystko, żeby był odpowiedni bilans kalorii, protein i tak dalej. Stawiam to, z jednym z tych paskudnych narastających dreszczy, na

małym składanym stoliku, siadam przed talerzem i patrzę, jak stygnie.

To może być trudniejsze, niż mi się wydawało.

Porcja wydaje się absurdalnie wielka. Jestem przyzwyczajona do dużych porcji w ośrodku, ale nie do tych, które z własnej woli stawiam przed sobą. Kurczak lśni szarawo, a brokuły pachną jak zwietrzałe pierdnięcie. Właściwie to nigdy nie lubiłam brokułów. Kroję wszystko na małe kawałeczki i postanawiam, że poradzę sobie z tym, jakbym połykała tabletki. W ten sposób, prawie bez gryzienia, udaje mi się wepchnąć połowę.

To nie powinno być trudne. Robiłam to wiele razy wcześniej.

Dodaję odrobinę soli i pozbywam się jeszcze jednej trzeciej. Na talerzu zostaje teraz jeden ziemniak, jedna rozpačkana brokułowa różyczka i kawałek kurczaka.

Dam sobie radę.

Biorę widelec. Wkładam kurczaka do ust. Odkładam widelec. Zapach sprawia, że robi mi się niedobrze.

Nie poradzę sobie.

Co teraz?

Zaczynam myśleć o aborcjach, wadach płodu i o tym, co mówiła Mary. Mogłabym zostawić resztę, ale nie zjadłam dostatecznie dużo zgodnie z moimi liczbami. Myślę o tym, żeby się rozpłakać, ale czy to komukolwiek by pomogło, że sparafrazuję tatę?

W tym momencie słyszę pukanie do drzwi. To pewnie znowu Laurel. Będzie miała okropne kłopoty.

Odsuwam talerz.

– Serio? – mówię, otwierając drzwi.

Ale to nie Laurel stoi za nimi. To chłopak, którego widzę po raz pierwszy w życiu.

Wydaje się trochę skrępowany, a ja uświadamiam sobie, że to „Serio?” powiedziałam naprawdę głośno.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Właśnie się wprowadziłem tu obok i pomyślałem, że się przedstawię.

Gapię się na niego. Ludzie tutaj nie pukają do sąsiadów, żeby się przedstawić. Patrzę na pusty korytarz za jego plecami i zaczynam zamykać drzwi, ale nie zatrzymuję ich całkiem.

– Chciałbym też zapytać, czy mogę pożyczyć trochę mleka? Pytałem innych sąsiadów, ale, no... – Unosi szerokie dłonie grzbietami na zewnątrz.

Ma chyba ponad sześć stóp wzrostu, jest szeroki w ramionach, ale kościsty, w okrągłych okularach geeka.

Czy on myśli, że go zaproszę do środka? Mierzę go najsurowszym spojrzeniem.

– Jestem Robin – mówi i wyciąga rękę, jakby zamierzał uścisnąć moją, potem patrzy na szparę w drzwiach, przez którą wyglądam, i wyciera dłoń w spodnie.

Zastanawiam się nad zatrzaśnięciem drzwi albo powiedzeniem mu, żeby spadał, ale nagle domyślam się, że to on jest właścicielem kwiatów i z jakiegoś głupiego powodu to sprawia, że się waham.

– Hedda – odpowiadam i robię lodowatą minę, żeby nie wyskoczył z jakimś komentarzem, jakie to „nietypowe” imię, podczas gdy oboje będziemy wiedzieć, że słowo, o jakie chodzi, to „głupie”.

Trzeba mu przyznać, że nawet nie mrugnął.

– Chcę po prostu zrobić sobie herbatę. Nie piję bez mleka – wyjaśnia, a w jego głosie pojawia się ta nuta, która oznacza, że jesteś zdany tylko na siebie i rozpaczliwie chcesz z kimś porozmawiać. Nie przypomina ludzi, jakich się tu zwykle spotyka.

– Masz kubek? – pytam.

– Yyy – odpowiada.

Patrzemy na siebie.

– Zaraz pójde i przyniosę – mówi.

Zatrząskuję drzwi i zakładam łańcuch, a potem idę do lodówki. Robin wraca chwilę później. Patrząc na niego przez szparę w drzwiach i zauważam dwie rzeczy. Po pierwsze, jest znacznie młodszy, niż mi się wydawało – zgadywałabym, że ma jakieś dziewiętnaście lat. Po drugie, jego kubek nie zmieści się w szparze. On zauważa moje spojrzenie i domyśla się, o co mi chodzi.

– Jestem zupełnie nieszkodliwy, słowo honoru – zapewniam.

– Wszyscy tak mówią.

Tak, wszyscy trzech faceci, z którymi ostatnio rozmawiałam, wliczając łysego gościa ze sklepu na rogu, który mówi do mnie „skarbie” i gapi się na moje (do niedawna) nieistniejące cycki.

Robin stawia kubek i cofa się o kilka kroków.

– Nie dałabyś rady tego jakoś wlać? – pyta.

– Okej. – Zdejmuje łańcuch i przykucam, żeby nalać mleko do kubka.

Wiem, że gapi się na zaznaczone długopisem linie na butelce. Nie wiem, ile potrzebuje, więc nalewam jakieś ćwierć litra. Kiedy się prostuję, dzieją się dwie rzeczy: pierwsza – krzywię się, bo plecy bolą mnie w miejscu, gdzie się uderzyłam, odpychając się od okna, i druga – muszę przytrzymać się framugi, bo wstałam nierozsądnie szybko i kropki znowu tańczą mi przed oczami swój taniec.

Pochyłam głowę i czekam, a kiedy zaczynam widzieć normalnie, zauważam, że Robin podszedł bliżej i stoi z wyrazem twarzy świadczącym o tym, że jest gotów mnie złapać, gdybym poleciała na ziemię. To urocze. O ile tylko nie jest jakimś psychopata.

– Proszę bardzo – mówię, a chociaż mój głos brzmi stanowczo, nie potrafię go zmusić, żeby nadal był nieprzyjazny.

– Dzięki – odpowiada. Czekam, żeby powiedział coś jeszcze, zapytał, czy wszystko w porządku albo podtrzymał rozmowę, ale on tylko dodaje: – Oddam później.

Mam właśnie stwierdzić, że nie trzeba, kiedy sobie uświadamiam, że już zniknął w swoim mieszkaniu.

Mam ochotę zawołać, żeby zaczekał. Chcę go zapytać o kwiaty. Chcę go przytrzymać i zapytać: „Ile masz lat? Jesteś tu sam? Dlaczego jesteś tu sam? Czy jesteś samotny? Czy zauważyłeś, że jestem w ciąży? Czy wydają ci się szczupła? Jak bardzo szczupła? Bo wiesz, nie zawsze tak wyglądam...”.

Nie robię jednak tego. Może i zostałam ukształtowana przez lata spędzone pod opieką najlepszych zakładów psychiatrycznych brytyjskiej służby zdrowia, ale nie jestem jeszcze całkowicie ześwirowana.

Przynajmniej nie wydaje mi się, że bym była. Skąd miałabym to wiedzieć na pewno?

Może mogłabym do niego zapukać, ale wiem, że tego nie zrobię. Siadam przy stole, nadziewam na widelec ostatni kawałek kurczaka i obślizgły zielony brokuł, wpycham je w siebie i popijam wodą. Potem wrzucam talerz do zlewu i bez końca myję go, wycieram i odstawiam do szafki. To pomaga mi nie słuchać głosu Nii, która w zwykłych warunkach powtarzałaby: *Spaślak, obrzydliwość, nienazarta świnia*. Tylko częściowo mi się to udaje. Czuję ją obok, muskającą mi skórę na karku. Nasz rozejm jest kruchy jak bańka mydlana. Może pęknąć w każdej chwili.

*Dziecko* – odparowuję, a to małe coś we mnie kopie bez przekonania, a potem mocniej, jakby robiło powolne salto w środku.

Dzisiaj zaczynam dwudziesty czwarty tydzień ciąży.  
Chyba pora powiedzieć rodzicom.

Co jest do dupy w ośrodku

Punkt 5.

Terapia rodzinna

Nie wiem nawet, jak opisać, jak bardzo to jest do dupy. Robiliśmy to przez całe lata, z przerwami. Moi rodzice na początku się starali, może nawet ja też, ale kiedy po raz ostatni trafiłam do ośrodka, wszystko toczyło się dobrze znanym rytmem. Mama i tata siedzą jak dwa manekiny, zmęczeni, mając całkowicie dość zastanawiania się, co jest ze mną nie tak. Tammy, moja trzynastoletnia siostra, zawleczona pomimo protestów na kilka ostatnich spotkań, milczy z wściekłością. Jej oczy wydają się za stare dla jej ciała, tak samo jak jej mózg. Ja chcę tylko zniknąć, najlepiej na zawsze. Ponieważ nigdy nie dowiedziałam się, co właściwie jest ze mną nie tak.

No i milczenie.

To milczenie.

Milczenie.

Niewykluczone, że z tym akurat miałam coś wspólnego. Zawsze twierdziłam, że milczenie jest najskuteczniejszą bronią.



# ROZDZIAŁ 8

## JESZCZE PIĘTNAŚCIE TYGODNI

– Hedda! Co za... niespodzianka. Wejdz. – Mama otwiera szerzej drzwi i cofa się, żeby mnie wpuścić, a potem ogląda się przez ramię na schody.

Specjalnie wybrałam porę, kiedy Tammy jest w szkole, a tata powinien być w pracy, ale może ktoś został w domu z powodu choroby albo nauczyciele są na szkoleniu czy coś takiego.

– Jesteś sama w domu? – pytam i widzę, że mama sztywnieje, stara się nie skrzywić.

Chyba celowo mówię z prostackim akcentem, żeby ją zirytować. Tak, to dziecinne. Czego wy nie powiecie. Ale jest też trochę śmieszne. A poza tym potrzebuję czegokolwiek, co dałoby mi jakąś przewagę, bo kiedy przekażę jej wiadomość, nie będzie miło.

– Tak, Tamara wróci znacznie później. Ma próbę orkiestry. Będzie grała solo na wiolonczeli. Bacha. – Policzki mamy odrobinę różowieją z dumy pod warstwami ekologicznego kremu na dzień, podkładu i różu. – Więc pewnie dzisiaj nie uda wam się zobaczyć – dodaje, a skóra lekko napina się wokół jej oczu (niebieski cień i eyeliner – szczerze mówiąc, nie najlepsze połączenie w przypadku jej cery).

– Nie szkodzi, to z tobą chciałam porozmawiać – mówię.

– Tak? – Pod uprzejmym zainteresowaniem w głosie mamy kryje się odrobina strachu.

Dzieli nas ogromna przepaść. Czy zawsze istniała? Próbuję sobie przypomnieć, jak to było, kiedy byłam mała, zanim przyszła Nia, ale nie bardzo potrafię. Nia sprawia, że wszystko staje się rozmyte. Może właśnie o to chodzi.

Idę za mamą do jadalni, w której widzę inny dywan. Pachnie charakterystycznie nowym dywanem i widać na nim ślady po odkurzaczu. Mama ma cały batalion odkurzaczy: pionowy do pokojów, małego

Henry'ego lub Henriette (czy jak to się nazywa) do schodów i takie przenośne coś do sprzątanía okruchów po posiłkach.

Siadam przy stole i przesuwam palcami po znajomym drewnianym blacie. To jedyna rzecz w tym domu, która nie została wymieniona na nowszy model. Kiedy na niego patrzę, widzę miejsce, gdzie odbywały się urodzinowe przyjęcia z tortem, gdzie siadały moje koleżanki ze szkoły, żeby śpiewać *Sto lat*, zanim pojawiła się Nia. Ale na te wspomnienia, jak szkiełka w mikroskopie, nakładają się lata tkwienia tu godzinami, rozgniatania jedzenia na talerzu, podczas gdy mama siedziała ze skrzyżowanymi ramionami i mówiła, że nie mogę wstać od stołu, dopóki nie skończę. A także czasy późniejsze, kiedy zrozumiałam, że mogę wstawać od stołu, zanim skończę jeść, i po prostu to robiłam. Ten ostatni poranek, zanim spadłam ze schodów w college'u, kiedy nawet nie zwracałam sobie głowy siadaniem naprzeciwko Tammy, na jej zwykłym miejscu za pudełkiem płatków kukurydzianych, i udawaniem, że jem. Pamiętam, że powiedziałam mamie, że zjem coś w szkole, a ona skinęła głową i usiadła ciężko na krześle; że tego dnia nie zrobiła makijażu, jakby była zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Wyszłam dumna z siebie i triumfująca, ponieważ znowu udało mi się nie zjeść śniadania. Wszystko to zdarzyło się tutaj, przy tym stole, a ja nie jestem pewna, czy ten ciężar w piersiach to tęsknota za domem, czy tylko fala wspomnień.

Mama krząta się i robi kawę. Podaje mi kubek, bez mleka i cukru, a ja jestem odrobinę wzruszona, ale przypominam sobie, że pewnie nie powinnam pić kofeiny.

– No to... co u ciebie? – pyta i widzę, że się przygotowuje psychicznie.

Rzuca mi ukradkowe spojrzenia, próbuje ocenić, ile ważę. Nie potrafię z wyrazu jej twarzy odczytać, do jakich wniosków dochodzi, poza tym, że nie wygląda na bardziej zaniepokojoną niż zwykle – a to z kolei mnie niepokoi.

Jak wielka muszę się jej wydawać?

Odchylam się do tyłu, opieram głowę na idiotycznie wysokim oparciu krzesła. Te krzesła powinny raczej stać w ogromnej sali balowej czy innym takim miejscu, a nie w średniej wielkości bliźniaku w Illester.

– W porządku, dziękuję. Wszystko w porządku. Tak w ogóle jestem w ciąży.

Dobra, można było i tak. Nie zamierzałam tak tego wypalić, ale nagle uświadomiłam sobie, że nie potrafię ciągnąć rozmowy o niczym. Wyraz

twary mamy jest prawie zabawny, jakby jej mózg działał na zbyt wysokich obrotach, zaczął się kręcić w kółko, a potem całkiem się zatrzymał.

– Co? – mówi w końcu, a ja tym razem wiem, że jest naprawdę zaszokowana, ponieważ zawsze pamięta, żeby mówić: „Przepraszam?”, jak typowa osoba aspirująca do klasy średniej.

*Miej to już za sobą.*

Staram się zachować powagę. To nie jest zabawne.

– Jestem w dwudziestym piątym tygodniu ciąży. – Pamiętam o tym, żeby mówić ciszej i wolniej niż zwykle.

Na twarz mamy wypełza ciemny rumieniec, sięgający ponad narysowanymi brwiami aż do linii pasemek.

– Chyba. Sobie. Żartujesz. – Każde słowo potrzebuje dużo czasu, żeby się wydostać.

– Właśnie nie – mówię. Rozkładam ramiona, przechylam na bok głowę i oznajmiam: – Niespodzianka, babciu!

Twary mamy robi się jeszcze czerwiejsza i nawet ja wiem, że tym razem posunęłam się za daleko.

W końcu podpira dłońmi oba policzki i mówi:

– Jak rozumiem, jest już za późno, żeby...?

– Tak, jest za późno, a poza tym nie chcę tego robić – odpowiadam i podnoszę wyżej głowę.

Mama przez chwilę patrzy w sufit, a potem zaczyna mówić z goryczą.

– Chcesz. Tak, to stosowne słowo w twoich ustach. To, czego ty chcesz. Zawsze liczy się tylko to, czego ty chcesz albo nie chcesz. Jak rozumiem, nie ma mowy o żadnym ojcu?

– To był szybki numer. – Wzruszam wyzywająco ramionami. – Nie mam pojęcia, jak się nazywał. – Ściskam pod stołem ręce, wciskam palce w miejsca pomiędzy ścięgnami i z całej siły staram się zachować wyraz twarzy „nic mnie to nie obchodzi”, aż wreszcie mama zamyka oczy.

– To... to jest... Wiedziałam już od dawna, że jesteś egoistką, ale nigdy w życiu nie przypuszczałabym... – Chowa twarz w dłoniach, a ja się zastanawiam, czy płacze.

Wyciągam rękę i opuszczam ją na stół.

– Daj spokój, mam – mówię, ale nie wiem, co jeszcze mam dodać.

Podnosi gwałtownie głowę.

– Czy ty masz pojęcie... jakiegokolwiek pojęcie... coś ty zrobiła? Jak, na

litość boską, możesz myśleć, że dasz sobie radę z dzieckiem? Popatrz tylko na siebie! – Obejmuje mój nadgarstek palcami i zaraz go wypuszcza.

Usztynwiam twarz w maskę.

Mama mruży oczy.

– Możesz je uszkodzić, wiesz chyba o tym. Jakie masz prawo, żeby to robić niewinnemu dziecku?

– Nie zrobię. Teraz jem. USG pokazało, że wszystko w porządku. Mam plan posiłków – mówię i słyszę, że mój głos stał się wysoki, obronny.

– A co będzie później? Zamierzasz wychowywać dziecko sama, w tej okropnej norze? Sama jesteś jeszcze dzieckiem!

Zastanawiam się, czy powiedzieć, że ta okropna nora nie była do końca moim wyborem, ponieważ to mama odmówiła przyjęcia mnie do domu sześć miesięcy temu z powodu mojego Złego Wpływu na Tammy – przepraszam, na Tamarę – i tak dalej. To, że byłam „dzieckiem”, nie powstrzymało jej przed wyrzuceniem mnie. Ale nie chcę się kłócić.

– Nie wiem. Myślałam... że oddam je do adopcji – wyjaśniam. Zaczyna coś mówić, ale przerywam jej. – Mogę jeść dla niego... Jem dla niego. Będzie dobrze.

Mam wrażenie, że to doprowadza ją do takiej furii, że nie potrafi nic powiedzieć.

Wyczuwam, że teraz może być dobry moment na ucieczkę.

Chcę wstać, ale zanim zdążam to zrobić, mama zrywa się i zaczyna gwałtownie grzebać w szafce. Chwilę później rzuca na stół tabliczkę czekolady. Omal nie odskakuję do tyłu, jakby to była olbrzymia tarantula, ale wiem, że mama mnie obserwuje, więc nieruchomieję.

– Mówisz, że jesz, tak? Dla dziecka – powtarza. – Doskonale, udowodnij mi to.

Rozdziera opakowanie, odłamuje cztery kostki i podsuwa mi je.

– Proszę bardzo.

Obie na to patrzemy. Kostki wydają się przemieniać w coś ogromnego i paskudnego, zajmują na obrusie znacznie więcej miejsca, niż powinny. Odłamuję jedną i trzymam pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Jest gładka, obrzydliwa. Podnoszę ją do ust i patrzę mamie prosto w oczy, wpychając czekoladę między wargi.

Nie pozwalam sobie poczuć, jak zaczyna mi cieknąć w ustach. Jest na moich zębach, pod językiem. Przełykam kilka razy, nagle uderza mnie

wspomnienie obżerania się czekoladkami na Boże Narodzenie. Żołądek zaczyna mi się nadymać, jedzenie podchodzi do piersi.

Oddycham ciężko, z mocno bijącym sercem. Trzymam drugą kostkę, ale nie mogę tego zrobić. Nia mi nie pozwoli. Przebiła się przez mur rozejmu, jej skrzeczenie jest jak wichura wyjąca wokół mojej głowy. Opuszczam czekoladę, ale ona zaczęła już się topić. Jak długo ją trzymałam na oczach mamy? Oblepia mi palce, lepka i brązowa. Nie mogę się jej pozbyć.

Biegnę do łazienki, płuczę rękę kilka razy, a potem mimo woli wymiotuję hałaśliwie. Ślina ze smugami czekolady rozpryskuje się w umywalce. Zostaję tam jeszcze przez chwilę.

Kiedy wychodzę, mama czeka pod drzwiami. Wydaje się okropnie smutna.

– Heddo, proszę...

– Przestań – mówię.

Podchodzę do drzwi frontowych, ale głos mamy towarzyszy mi jeszcze na ulicy.

– Nie możesz być w tej sprawie egoistką.

Odwracam się.

– Wiem o tym! Teraz nie chodzi tylko o moje życie, rozumiem. Jasne?

Kiedy odchodzę, mama opiera się ciężko o framugę.

– Zawsze miałaś wpływ nie tylko na swoje życie.

No to świetnie mi poszło.

Próbuję się rozzłościć, powiedzieć sobie, że to było bez znaczenia – to jasne, że ona nic nie zrozumie, nie będzie mnie wspierać. Czego się spodziewałam? Ale płaczę, wchodząc chwiejnie po schodach w bloku. To nawet nie są pojedyncze łzy. Grzebię w zamku kluczami, a z oczu nie przestaje mi cieknąć, więc cały czas wycieram je grzbietem dłoni i wydaję z siebie to głupie skomlenie, ponieważ staram się powstrzymać szlochanie. Upuszczam klucze, klnę i nagle czuję się tak zmęczona, wyczerpana bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – chociaż to przecież nie może być prawda? Klucze wydają się odległe o milion kilometrów, leżą na podłodze z odwróconym w dół błyszczącym breloczkiem w kształcie serca, który dostałam od Molly. Ma z tyłu długie zadrapanie, które na zmianę rozmywa się i wyostrza. W następnej chwili duża brązowa dłoń zamyka się na kluczach, a ja ocieram oczy, zanim popatrzę na Robina.

W jego spojrzeniu jest trochę troski i dużo niepokoju. Wyciąga nade mną

rękę, wkłada klucz do zamka i otwiera za mnie drzwi.

– Proszę bardzo. Chyba nie ma sensu pytać, czy wszystko w porządku?

Nie mam pojęcia, dlaczego, ale zaczynam się śmiać. No dobrze, śmiać się i płakać jednocześnie, w ten okropny spazmatyczny sposób. Muszę oprzeć się o ścianę, bo za bardzo się trzęsę.

Robin wydaje się teraz znacznie bardziej zaniepokojony – naprawdę zaalarmowany rozgląda się po korytarzu. W końcu odwraca się do mnie.

– Chodź – mówi.

Otwiera drzwi trochę szerzej i kieruje mnie, bardzo lekko dotykając mojego ramienia, do kanapy, a potem nalewa i podaje mi szklankę wody.

– Lepiej to wypij.

Biorę szklankę, rozlewam trochę, niosąc ją do ust i ocieram podbródek rękawem.

Śmiech się na szczęście uspokoił, ale jego miejsce zajmuje okropne uczucie upokorzenia.

– Chusteczki? – pyta.

– W łazience – udaje mi się wykrztusić.

Wraca z rolką papieru toaletowego i kładzie mi ją na kolanach.

Wycieram energicznie nos, biorę kilka głębokich wdechów i zastanawiam się chyba po raz tysięczny, jak na litość boską wpakowałam się w tę sytuację.

– No dobra – mówi, zupełnie jakbyśmy odbyli dłuższą pogawędkę. – Będę już leciał.

Mrugam szybko kilka razy i dopiero, kiedy jest już praktycznie w drzwiach, udaje mi się powiedzieć:

– Czeka! Znaczy... napijesz się herbaty czy coś?

– Nie, dzięki. Odpocznij trochę.

– Dziękuję! – wołam za nim.

Przy obiedzie (znowu kurczak) kilka razy powtarzam w myślach rozmowę z mamą. Właściwie to zgadzam się z nią w większości spraw. To prawda, jestem egoistką. Nie wiem, czy za ten egoizm odpowiada Nia, czy jest on mój, ani czy w ogóle warto robić to rozróżnienie. Czuję, że znowu mam ochotę się rozpłakać, co jest absurdalne. Ja nie płaczę, nie płakałam już od dawna. To taki mój talent, umiejętność wyłączania wszystkiego – w każdym razie zwykle to działa. Może te wszystkie łzy to jakiś odchył związany z ciążą.

Po wmuszeniu w siebie obiadu czuję leciutkie rytmiczne skurcze gdzieś ponad miednicą: to czkawka. Może dziecko lubi kurczaka. Przynajmniej jednemu z nas to powinno smakować. Potem zaczynam się zastanawiać, czy smak przedostaje się przez wody płodowe i czy dziecko naprawdę może tego spróbować, co uruchamia cały ciąg myśli obracających się wokół krzepnących w moim żołądku kawałków tłuszczu z kurczaka, które oblepiają mnie od środka i nigdy się już nie wydostaną. Myślę o moim brzuchu, coraz większym i większym, jak się nadyma, a w ślad za nim idzie reszta mojego ciała. To wszystko napełnia mnie przerażeniem.

Nagle chcę, żeby to dziecko zniknęło. Chcę odzyskać Nię. Chcę świata pełnego bieli. Bezpiecznego, cichego, czystego.

Ale jest już na to za późno.

Potrzebuję sporo czasu, żeby się uspokoić, a kiedy mi się to udaje, dzwonię do położnej Mary.

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o adopcji – mówię.

Co jest do dupy w ośrodku

Punkt 6.

Inne pacjentki

Okej, to trochę skomplikowane. Trudno wyjaśnić, na czym to polega, te relacje, które nawiązujesz z dziewczynami, które są tam razem z tobą. To, że ich potrzebujesz, ale po trochu ich nienawidzisz. To, że naprawdę je kochasz. Intensywność tego napięcia, jakie powstaje, kiedy wepchniesz grupkę społecznych popaprańców w sztucznie stworzoną przestrzeń i każesz im funkcjonować razem, jak w tym filmie Lot nad kukułczym gniazdem, tylko z dodatkiem nastoletniej burzy hormonów. Gdy byłyśmy wszystkie całkowicie niewinne. Owszem, żałosne, ale także niewinne. A potem nagle przestałyśmy być.

# ROZDZIAŁ 9

## JESZCZE DWANAŚCIE TYGODNI

Siedzę w przychodni i czekam na spotkanie z położną Mary oraz kobietą z pomocy społecznej, której jeszcze nie znam. Jestem teraz w dwudziestym ósmym tygodniu ciąży i zdecydowanie zaczyna być to widoczne. Spędzam pół dnia bokiem przed lustrem, starając się wciągnąć brzuch i sprawić, że stanie się wklęsły, tak jak powinien, ale to nie działa. Dlatego noszę najbardziej workowate ciuchy, jakie mam, i staram się nie myśleć o grafiku w kuchni, na którym zaznaczam każdy posiłek.

Zostało ich 252. Ta liczba sprawia, że czuję w środku gorąco i muszę liczyć oddechy, żeby się uspokoić. Dzisiaj wieczorem planuję zjeść to samo co codziennie wieczorem. W ten sposób czuję się bezpieczniejsza, chociaż naprawdę, ale to naprawdę zaczynam nienawidzić kurczaka. Jeszcze bardziej niż zwykle.

Mary umówiła mnie na sam koniec godzin przyjęć, żebyśmy miały więcej czasu, ale w poczekalni siedzą jeszcze co najmniej trzy ciężarne kobiety, z których każda ściska swoją dokumentację medyczną. Pamiętałam, żeby wziąć moją, ponieważ staram się nie być egoistyczna, zachowywać się dojrzałe i tak dalej, ale wyjęłam te papiery z głupiej teczki i wcisnęłam je do plecaka. Z luźną bluzą naciągniętą na brzuch nie wyglądam, jakbym była we właściwym miejscu. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Kartkuję czasopismo, jedno z tych, które wielkim czerwonym kółkiem zaznaczają cellulit widoczny na zdjęciu zrobionym z teleobiektywem i wrzucają to na okładkę. Obok artykułu o „niepokojącej” utracie wagi jakiejś pomniejszej celebrytki znajduje się reklama pokazująca kobietę w bikini, z ostro wystającymi kośćmi biodrowymi i brzuchem płaskim jak deska, popychającą wózek dziecienny. Zastanawiam się, czy wyrwać to zdjęcie, żeby podrzeć je na tysiąc kawałków, czy może złożyć i schować jako inspirację do schudnięcia – nie wiem, co bym wybrała.



Żeby się czymś zająć, przysłuchuję się rozmowie, jaką prowadzą dwie z pacjentek. Pewnie o zwykłych rzeczach, o jakich rozmawiają ciężarne.

– Kiedy termin?

– Szóstego lutego.

– O, czyli to już niedługo.

– Mam nadzieję. Nie mogę się doczekać. Zamierzam wypić największą na świecie lampkę wina. Powiedziałam już mojemu partnerowi, że może mi przynieść przenośną lodówkę na oddział położniczy.

Zaczynam słuchać uważniej.

Amatorka wina jest na oko po trzydziestce, może bliżej czterdziestki, z okrągłą twarzą i całym mnóstwem loków, wygląda na osobę, która sporo czasu spędza na świeżym powietrzu. Druga kobieta omal nie spada z krzesła z powodu szoku wywołanego tymi słowami. Zaciska usta w wąską kreskę i opiekuńczym gestem obejmuje jedną ręką brzuch, szczerze mówiąc, wyglądający jak u hipopotama.

– Ale co wtedy z karmieniem piersią? Wie pani chyba, że alkohol przenika do mleka matki. – W jej głosie brzmi nuta potępienia, która zamienia się w krzyk: – Mika! Odłóż to natychmiast! – Cmoka z irytacją. – Bóg jeden wie, kto tego dotykał.

Patrzę w stronę, gdzie zasmarkany kilkulatek obgryza książeczkę dla dzieci. Muszę przyznać, że zgadzam się z apodyktyczną kobietą – książka nie wygląda na szczególnie czystą.

– Mika!

Maluch gapi się teraz w przestrzeń i nadal cmokta książeczkę. Z nosa zwisa mu smark zbliżający się do ust. Apodyktyczna kobieta wzdycha ciężko, z teatralną przesadą, i podnosi się z trudem.

– Mika, co ja ci mówiłam? – pyta i szarpnięciem zabiera książeczkę.

Zasmarkana buzia Miki zaczyna się wykrzywiać, a z gardła wydobywa się wysokie skomlenie. Coś mi podpowiada, że to dopiero rozgrzewka. Mały bierze bowiem głęboki wdech nosem i po chwili smarki wylatują razem z wrzaskiem. Mało brakuje, żebym musiała zrobić unik. Fuuj.

W tym momencie rozlega się sygnał. Apodyktyczna kobieta patrzy na ekran, podnosi jedną ręką ogromną torbę, a drugą wierzgające dziecko, opiera je po obu stronach brzucha i maszeruje w głąb korytarza, ignorując płacz i szarpaninę. W sumie to godne podziwu.

Poprawiam się na krześle z leciutkim westchnieniem ulgi.

– Cóż, taki widok jest chyba lepszy od wszystkich środków antykoncepcyjnych. Ale dla nas chyba już trochę na to za późno – mówi kobieta z kręconymi włosami.

Rozglądam się i uświadamiam sobie, że zwraca się do mnie.

Moja pierwsza myśl to czysta panika. *Czy ja wyglądam, jakbym była w ciąży?*

*BożeBożeBoże, wyglądam, jakbym była w ciąży. Albo gruba.*

*Albo jedno i drugie.*

Kobieta zauważa moje przerażenie i dodaje:

– O rany, przepraszam. Po prostu założyłam, że skoro to poradnia prenatalna...

Udaje mi się odzyskać mowę.

– Nie, nic nie szkodzi. Jestem, no, wie pani... – Wskazuję nieokreślonym gestem brzuch i zaczynam się zastanawiać, czy powinnam go pocierać, tak jak to robią kobiety w ciąży dla podkreślenia tego faktu. Czuję się, jakbym stała na scenie i zastanawiała się, jak mają brzmieć moje kwestie.

– Dzięki Bogu, to byłaby naprawdę krępująca pomyłka. Quinn, to znaczy mój partner, zawsze powtarza, że nie wolno pytać kobiety, kiedy ma termin porodu, chyba że właśnie na twoich oczach dostaje skurczy. Czasem myślę, że to on powinien być kobietą, a nie ja. Na pewno lepiej ode mnie radzi sobie z tym ciążowym cyrkiem. To okropne, prawda?

Wydaję zduszony dźwięk przypominający trochę „mmhumh”.

– No właśnie. – Kobieta uśmiecha się bardzo ładnym, szerokim uśmiechem. – Jestem Lois... Wiem, wiem. Ale co mogę poradzić?

– Hedda – odpowiadam, a ona prostuje się, wyraźnie pod wrażeniem.

– Jak w tej sztuce?

Kiwam głową. Teraz ja jestem pod wrażeniem.

– Byłam parę lat temu na spektaklu, chyba we Fringe. Był koszmary.

Tym razem się uśmiecham.

– Ja nigdy na tym nie byłam.

– Słuszna decyzja. No to co, miejmy już z głowy te nudne pytania? Wygląda na to, że jeszcze trochę tu posiedzimy. Chłopiec, dziewczynka czy niespodzianka? Samopoczucie? Wózek z gondolą czy spacerówka? Firma i model?

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Jestem zupełnie zbita z tropu jej życzliwością – nie rzuca mi spojrzeń spode łba jak recepcjonistka, wydaje

się, że naprawdę chce po prostu porozmawiać.

– Chyba mam termin jakoś w maju – mówię. – I owszem, to była niespodzianka. – W tym momencie uświadamiam sobie, że nie o to pytała, ale jej twarz mięknie w wyrazie współczucia.

– Wiosenne dziecko, to naprawdę urocze – mówi i zaczyna kartkować swoją dokumentację, udając, że nie zauważa nagłych łez, które bez powodu zaczynają mi się cisnąć do oczu.

Głupie ciążowe hormony. Znowu.

W korytarzu otwierają się drzwi, słyszymy płacz nieszczęsnego Miki holowanego przez apodyktyczną kobietę, która kiwa Lois głową i szybko ogląda mnie od stóp do głów, a potem znika za podwójnymi drzwiami.

Chwilę później rozlega się sygnał, więc Lois wstaje.

– Kolej na mnie. I na brzuch. – Klepie swój brzuch trochę smętnym gestem, a potem patrzy mi prosto w oczy. – Jak myślisz, powinno się nam pozwolić zabijać każdego, kto się upiera, że ciąża to magiczny czas?

Nagle zaczynam mieć poczucie, że jest tak samo zagubiona jak ja. Wsuwa mi w rękę karteczkę i znowu uśmiecha się ślicznie i szeroko.

Kiedy znika, rozkładam karteczkę i znajduję jej imię i numer komórki, zapisane chyba eyelinerem. Chowam to razem z moją dokumentacją na dnie plecaka.

Gdy w końcu przychodzi na mnie kolej, uświadamiam sobie, że jestem jednocześnie zdenerwowana i głodna.

Nie zawsze łatwo to zauważyć po tylu latach, ale odrobina regularnych posiłków sprawiła, że moje ciało zaczyna oczekiwać więcej, co jest trochę niepokojące – jeśli wyrazimy to w kategorii niedopowiedzenia roku.

Pukam do drzwi, tak jak mnie nauczyła mama, mimo że położyła nacisnęła już ten przycisk, który mnie wzywał, więc można założyć, że się mnie spodziewa.

W gabinecie są Mary i jakaś młoda kobieta, na oko tuż po dwudziestce, która zapewne jest z pomocy społecznej. W każdym razie ma na sobie uniform pomocy społecznej: džinsy, tunikowa bluzka, kozaki, lekko znękanе spojrzenie. Poprzednia zrezygnowała kilka tygodni temu – nie, żeby dużo dla mnie robiła. Była właściwie tylko po to, żeby zapewnić mi dach nad głową i załatwić zasiłek, ponieważ nie mam jeszcze osiemnastu lat, i miała zwyczaj patrzeć na zegarek za każdym razem, gdy otworzyłam usta.

Obok nowej kobiety z pomocy społecznej siedzi jeszcze... Felicity.

Wyczuwam zasadzkę.

– O, dzień dobry – mówię.

– Cześć, Heddo – odzywa się Felicity.

Patrzemy na siebie.

– Czy nie powinnam dostać zawiadomienia, czy coś takiego, że będzie takie spotkanie? – pytam Felicity, a potem zerkam kątem oka na kobietę z pomocy społecznej, która patrzy prosto na mnie.

– Może usiądziesz – proponuje. – Jestem Joanna. Wysłałam ci powiadomienie, że Felicity będzie obecna na tym spotkaniu. – Grzebie w jakichś papierach, bez wątpienia szukając kopii.

Nie mam specjalnej nadziei, że coś znajdzie, ale ku mojemu zaskoczeniu wyciąga kartkę i podaje mi ją. Przebiegam wzrokiem po zdaniach zawiadamiających, że będzie obecna na spotkaniu ze mną, że konsultowała się z Dewhurst House (zwanym też wariatkowem dla nieletnich) i uznała, iż będzie korzystne, jeśli przyjdzie także moja lekarka prowadząca. Mam się z nią skontaktować, jeśli będę miała jakieś wątpliwości, i tak dalej, i tym podobnie.

– Pomyliła pani numer mieszkania – mówię.

– Naprawdę? Bardzo przepraszam. – Joanna wsadza nieporządny plik papierów do dużej skórzanej teczki. – Ale skoro już tu wszystkie jesteśmy, to masz coś przeciwko...? – Zawiesza głos, ale ja na nią nie patrzę.

Patrzę prosto na Felicity, która już zdążyła mnie dokładnie obejrzeć. Jej brwi leciuteńko drgają.

– Nie, nie ma sprawy. – Uśmiecham się jak najszczerzej, ale pewnie nie udaje mi się nikogo nabrać.

Mary odchrząkuje.

– Tak pomyślałyśmy, że może najpierw trochę porozmawiamy, a potem będzie zwykła część wizyty.

– Nie ma sprawy. Nie ma tu wiele do gadania, prawda? Chcę tylko się dowiedzieć, jak wygląda cały proces i co mam podpisywać. – Staram się mówić energicznie i rzeczowo. Nie ma tu miejsca na wątpliwości.

– Nie jestem pewna... – zaczyna Mary.

– Tak, omówmy to – przerywa jej Felicity.

Następuje chwila ciszy i wszystkie patrzemy na Joannę, która – jak zauważyłam – obserwuje nas byстрыm wzrokiem. To jak gra w tenisa, przenoszę spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Wszystkie te kobiety siedzą tu

nad papierami z mojego powodu. Przynajmniej przez chwilę. Kiedyś mogłoby mi to dawać poczucie władzy. Teraz jestem tylko zmęczona.

– Zgoda – mówi Joanna.

Zaczyna mówić, a ja pozwalam, aby słowa spływały po mnie. Omawia różne opcje, takie jak to, że dzieckiem zajmą się moi rodzice – śmieję się tylko z tego – albo że znajdę się razem z dzieckiem w tej samej rodzinie zastępczej, ale słysząc to, potrząsam głową.

– Nie jestem tym wszystkim zainteresowana. Po co to przeciągać? Chcę mieć to załatwione tak szybko, jak tylko możliwe.

Joanna w końcu przechodzi do omawiania adopcji. Okazuje się, że to nie takie proste, jak mi się wydawało.

– Z prawnego punktu widzenia możesz oddać dziecko do adopcji dopiero po sześciu tygodniach – mówi.

Czuję, że moje plecy się prostują, jakby ktoś szarpnął mnie w górę za włosy. Sześć tygodni! Co mam, do cholery, robić z tym czymś przez sześć tygodni? Co będzie z college'em? To znaczy, wiem, że rzadko tam chodzę – prawdę mówiąc, w ostatnich tygodniach w ogóle się tam nie pojawiałam – ale byłoby miło mieć taką możliwość.

Joanna zauważa moją minę.

– Ale dziecko może trafić pod opiekę przyszłych rodziców adopcyjnych lub rodziny zastępczej bezpośrednio po porodzie.

Opadam niżej na krzesło, ale tylko o jakiś centymetr, ponieważ zaczyna do mnie docierać, że będę musiała przejść przez poród. Zastanawiam się, czy mogliby mnie po prostu uśpić i obudzić dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim, a dziecko zniknie.

– Okej – mówię. – To brzmi dobrze.

– Heddo, wydaje mi się, że powinnaś jeszcze trochę się zastanowić – mówi Felicity.

Powstrzymuję się przed przewróceniem oczami. Nie zamierzam rozmawiać o tej całej adopcji z Felicity. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest przypieczętowana.

– Obiecuję, że przyjdę na następne spotkanie – mówię i słyszę nadąsaną nutę w swoim głosie, jakbym była jakąś dwunastolatką.

Mary chce przejść do faktycznego badania. Kiedy Joanna i Felicity wychodzą, zauważam, że patrzy na nie z cieniem dezaprobaty. Ten cień się utrzymuje, gdy mierzy mi ciśnienie i waży mnie.

Z przyzwyczajenia staję na wadze tyłem.

– Dobrze – mówi, a ja potrzebuję mnóstwo siły woli, żeby nie odwrócić się i nie podejrzeć. *To tylko liczba* – powtarzam sobie. *I to jeszcze tylko parę tygodni.*

*Jakby istniało coś takiego jak „tylko liczba”* – skomentowałyby Nia.

Czuję nagły skurcz, jakby echo dochodzące z pustego pokoju, więc potrząsam głową i próbuję się skoncentrować na tym, co mówi Mary.

– Możesz tu usiąść, kochanie? – mówi, a ja widzę, że chciałaby powiedzieć jeszcze bardzo dużo, ale wyjmuję tylko coś, co nazywa dopplerem. – Posłuchamy troszeczkę – dodaje i przyciska to coś do mojego brzucha.

– Chwila – mówię, mój poziom paniki gwałtownie rośnie, ponieważ przypominam sobie USG i kobietę, która próbowała mi pokazać COŚ wewnątrz mnie. Gabinet nagle wypełnia się dźwiękiem przypominającym galopujące konie. – Co to, do kur... – urywam.

– Tętno twojego dziecka – mówi Mary.

Czuję, że moje tętno przyspiesza, aż pokój wypełniają dwa dźwięki, jeden wewnątrz mnie, drugi na zewnątrz.

Powinnam powiedzieć „proszę przestać” albo „proszę to wyłączyć”, albo „nie chcę tego słuchać”.

Zamiast tego słyszę własne słowa:

– Czy to powinno być takie szybkie?

Mój głos lekko się załamuje.

– Jest w normie. Wszystko jest w porządku. Wyślemy cię na USG wzrostowe i musisz zapisać się na wizytę do lekarza położnika, ale wydaje się, że wszystko bardzo dobrze się układa.

– Ja... tylko... rany... – dukam.

To jest tętno. Bicie serca mojego dziecka. To znaczy, bicie serca dziecka.

Przez całą drogę do domu słyszę w głowie ten galop, na okrągło, miarowy i głośny. Z przyzwyczajenia idę okrężną drogą, żeby dorzucić dwa kilometry do mojej trasy. Dobrze jest być na świeżym powietrzu, z dala od zacieków rozpełzających się po ścianach mieszkania.

Zatrzymuję się pod sklepem Mothercare i patrzę na wystawę. Pod wpływem impulsu wchodzę do środka i oglądam kilka rzędów ubrań dla niemowląt. Wszystko jest miękkie, urocze i malutkie. Oświetlenie jest tak

jasne, że razi mnie w oczy. Obchodzę wózki, przypominam sobie cierpką uwagę Lois o gondolach i spacerówkach. Przysięgłabym, że niektóre z nich wyglądają, jakby miały przetrwać wojnę, z ogromnymi kołami i milionami kawałków, które można przełączać i podłączać w różne strony. Na próbę podnoszę jeden z nich za krawędź i ledwie mogę oderwać go od ziemi.

– Czy mogę pomóc? Szuka pani czegoś konkretnego? Ten model ma składany daszek, bardzo wygodny, jeśli ma się mały bagażnik.

Naprawdę nie wiem, co mam odpowiedzieć.

Sprzedawczyni wygląda na niewiele starszą ode mnie. Właściwie mogłaby być w moim wieku. Może nawet chodziłam z nią do gimnazjum, przez te parę tygodni, jakie tam spędziłam, w dużych odstępach czasu zresztą. Jakoś nie utrzymywałam kontaktu z nikim ze szkoły, chyba że liczymy krępujące spotkania przy papierosie z Sal. Owszem, próbowali. Mam całe pudełko listów napisanych długopisami żelowymi i ozdobionych zabawnymi rysunekami, od Sal i Natalie, z czasów, gdy w podstawówce byliśmy nierozłączni. Natalie wytrwała dłużej niż Sal, jeśli nie będziemy liczyć tamtego papierosa w college’u. Od tamtej pory nie widziałam Sal. Wygląda zresztą na to, że rzuciłam palenie – ile razy próbowałam zapalić, czułam koszarne mdłości. Widocznie dziecko się jednak do czegoś przydaje – mój mały prywatny plaster nikotynowy. Wyobrażam sobie Molly, jak mówi ze śmiechem: „To świetnie, że rzucasz palenie, ale wiesz, mogłaś wybrać mniej radykalną metodę”. Kącik ust drga mi lekko.

Uśmiech sprzedawczyni wydaje się teraz trochę sztuczny, ale nie mogę powstrzymać maszerujących myśli. Moja dłoń znowu zawisa nad brzuchem. Czy to już oczywiste?

– Chce pani może je wypróbować? – pyta dziewczyna. Wydaje mi się, że mówi wolniej, niż mówiłaby do zwykłej klientki.

Opuszczam rękę i wycofuję się.

– Nie... nie, dziękuję.

Uciekam na zewnątrz, mijając rzędy zabawek i ubrań dla ciężarnych, pary oglądające różne rzeczy, zapatrzone w przyszłe możliwości. To nie jest miejsce dla mnie. To nigdy nie będzie miejsce dla mnie. Opuszczam głowę i szybkim krokiem idę do domu.

Niedługo po powrocie słyszę pukanie. Rozpoznaję Robina i tym razem nie zakładam łańcucha przed otwarciem drzwi.

– Cześć! – mówię nadmiernie radośnie, żeby z nawiązką wyrównać tamten incydent z płaczem.

Podaje mi list – otwarty list.

– To przyszło do ciebie...

Wyrywam list i sama jestem zaskoczona tym, jak donośnie brzmi mój głos.

– Poczytałeś sobie, co? – Przytulałam list do piersi i piorunuję Robina wzrokiem.

Wzdycha lekko.

– Chciałem właśnie powiedzieć, że zacząłem go otwierać, zanim mu się przyjrzałem. Czekałem na... Przerwałem, kiedy zauważyłem, że nie jest do mnie.

Znowu patrzę na kopertę i widzę, że jest tylko na pół rozcięta. Czuję, że twarz robi mi się gorąca.

– Aha. Aha, no tak. Dobra, wielkie dzięki – mówię i wiem, jak głupio to brzmi.

– Nie ma za co – odpowiada, a jego głos nie jest całkiem zimny, ale niewiele mu brakuje.

Wraca do swojego mieszkania.

Mam właśnie zamknąć drzwi, ale nagle czuję, że muszę z kimś porozmawiać. Nie z terapeutką, nie z rodziną, nie z kimś z ośrodka, takim jak Laurel, ale po prostu z kimś w moim wieku. Z kimś normalnym.

Przez chwilę waham się, stojąc pod jego drzwiami, a potem pukam w nie cicho. Potrzebuje chwili, żeby otworzyć, ale w końcu staje przede mną z uniesionymi brwiami.

– Hej-przepraszam-mogę-wejść? – pytam pospiesznym ciągiem.

Nie ma co, wygadana jestem.

Jeśli czuje się tym zrażony, nie daje nic poznać. Nie odwraca wzroku, jakby czytał, co mam w głowie, a potem cofa się i gestem zaprasza mnie do środka.

Jego mieszkanie przypomina moje, ale jest kompletnie inne. Układ ma taki sam, tylko że unosi się w nim zapach farby, przynajmniej na pewien czas pokrywającej pleśń i zacieki. Domyślam się, że sam je pomalował – na suficie jest sporo niebieskich maźnięć w miejscach, gdzie wyszedł poza linię, a na kolorowym pasiastym dywaniku na podłodze też widać kilka śladów farby. Nie ma telewizora, ale jest rząd książek i DVD, a w kącie stoi laptop. W aneksie kuchennym widzę stos garnków, z których dwa są jeszcze



opakowane. Właściwie to wszystkie jego rzeczy wyglądają na całkiem nowe, jakby tuż przed wprowadzeniem się tutaj odwiedził sklep Ikea.

– Napijesz się czegoś? – pyta.

Podczas kiedy on gotuje wodę, oglądam książki i DVD, przekręcając głowę w bok, żeby przeczytać tytuły. Ma całe mnóstwo rzeczy z *Gwiezdných wojen*.

– Jesteś fanem? – pytam.

Wychyla głowę i patrzy na trzymany przeze mnie miecz świetlny, który wygląda, jakby był rekwizytem z któregoś filmu. Coś mi podpowiada, że musiał sporo kosztować.

– Tak. To znaczy, oryginalnej trylogii, nie prequeli. – Wymawia „prequele” tak, jak ktoś inny mógłby powiedzieć „psia kupa”.

– A nie zrobili teraz czegoś nowego? – Jestem całkiem dumna, że udało mi się to wygrzebać z pamięci. Przypominam sobie jak przez mgłę zaciekle dyskusję w college’u o głównych bohaterkach w filmach i o kimś, kto nazywał się Rey – kiedy dyskusja zeszła na feminizm czy coś takiego, zorientowałam się, że to dziewczyna. To się czasem zdarzało, powstała przepaść pomiędzy tym, o czym gadają inni siedemnastolatki, a tematami, jakimi nasiąkałam w Dewhurst, obracającymi się raczej wokół tego, kto danego dnia ma myśli samobójcze albo jakie to niesprawiedliwe, że ktoś inny ma niższą docelową wagę ode mnie.

– Tak, zrobili. Słyszałem wspaniałe wieści, młody padawanie – mówi dziwnym głosem, który pewnie ma naśladować Yodę czy kogoś takiego.

– Nie oglądałeś tego? – To dziwne, biorąc pod uwagę ilość śmieci z *Gwiezdných wojen*, jakie ma tutaj zebrane.

Nieruchomieje z łyżeczką w ręku.

– Nie, tego najnowszego nie – odpowiada. – Byłem, no, zajęty czymś innym.

Aha. Czymś innym. No, to jest nas dwoje.

– Ja też jeszcze nie widziałam. Ale nie mogę powiedzieć, żeby się tym przejmowała – mówię.

Robin wraca z kubkami. Wpatruję się w miecz świetlny. W czasie mojego ostatniego pobytu miałyśmy w ośrodku chłopca. W życiu ośrodka chłopcy są jak białe kruki, a ten wyszedł niedługo po tym, jak zostałam przyjęta, ale zostawił DVD z *Gwiezdnymi wojnami*, a Molly zmusiła nas do ich obejrzenia. Wtedy jeszcze mało ją znałam, ale ona nie przejmowała się moim

milczeniem i fochami. Tamtego wieczoru po prostu mnie podniosła i zmusiła, żebym udawała, że pojedynkuję się z nią na miecze świetlne, aż wreszcie zaczęłam się śmiać. Powiedziałam sobie później, że w ten sposób pewnie spaliłam kilka nadmiarowych kalorii, więc wszystko jest w porządku.

– Chcesz sama nalać sobie mleka? Jest półtłuste – oznajmia Robin.

Musiał zapamiętać linie odmierzające poziom mleka na moim kartonie.

Zamierzam podejść i to zrobić, ale coś mnie powstrzymuje.

– Nie, nie trzeba – mówię. Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie dodać: – Ale dosłownie odrobinę. Nie słodzę.

Odkładam ostrożnie miecz świetlny na szafkę i zastanawiam się, kto właściwie miałby trzymać coś takiego w domu. Czy pojedynkuje się z cieniem, kiedy jest sam? I dlaczego jest tutaj sam?

Chwilę później Robin wraca z herbatą z odrobiną mleka, podaje mi kubek. Wypijam parzący łyk i czuję w sobie coś dziwnego, jakby kliknięcie poluzowującej się zębátky. Zaraz za nim następuje znajomy wstrząs, jak impuls elektryczny, który pojawia się, gdy pozwalam, by ktoś inny przejął kontrolę. Rozglądam się, gdzie mogę odstawić herbatę, ale nie chcę ryzykować, że wyleje się na chodnik.

– Jeszcze raz przepraszam za ten list. Cieszę się, że mi go przyniosłeś – mówię.

– Nie ma sprawy.

– Po prostu... chodzi o to, że dotyczył mojej wizyty. W poradni prenatalnej – oznajmiam i rzucam mu najgroźniejsze spojrzenie.

– Tak pomyślałem tamtego dnia, kiedy wyglądałaś, jakbyś miała zemdleć. Wyglądasz na coś takiego.

– A ty co, jesteś lekarzem czy jak? – pytam, tylko pół żartem, ale najwyraźniej zadałam niewłaściwe pytanie, ponieważ jego twarz pochmurnieje.

Przyglądam się zdjęciom, starając się to robić dyskretnie. Na jednym są dwie dziewczyny, a na innym mały chłopczyk z dumnym uśmiechem – zapewne sam Robin. Z miejsca, w którym siedzę, widzę krawędź skrzynki z kwiatami za oknem.

– Nie zamierzasz pytać o ojca? – odzywam się.

– To w sumie nie moja sprawa, prawda?

– Pewnie nie. W każdym razie nie ma żadnego. Chociaż to bez znaczenia. Oddaję je do adopcji, żeby odzyskać swoje życie – stwierdzam, unoszę

podbródek i staram się, żeby brzmiało to bardziej stanowczo, niż czuję.

Nie mam pojęcia, czemu mówię mu to wszystko. Żeby go zaszokować? Zrazić do mnie? Ponieważ, nawet jeśli zamieniliśmy do tej pory dosłownie kilka słów, jest w nim coś, co polubiłam.

Felicity uważa, że gram, żeby przetestować ludzi. Może istotnie to robię. Po prostu lubię mieć pewność. Ponieważ zazwyczaj mogę być pewna, że ludzie mnie zawiodą, lepiej popchnąć ich w tym kierunku szybciej niż później. Ludzie są dość przewidywalni.

Robin mnie obserwuje. Nie w jakiś nieprzyjemny sposób, ale z zaciekawieniem i odrobiną dystansu, jakby mnie studiował.

– Czyli odzyskasz swoje życie, tak? Moja babcia zawsze powtarza, że życie to cenny dar. Dlatego właśnie kocha storczyki. Czasem ich wyhodowanie może być prawie niemożliwe, ale to nasze zadanie, spróbować sprawić, żeby zakwitły. To chyba tak jak w życiu. – Przerywa, zakłopotany pociera głowę i znowu patrzy na mnie. – A co planujesz zrobić potem z odzyskanym życiem?

Zastanawiam się nad tym i nie wiem, czy mi się to podoba, czy to kolejny pozytywno-myśleniowy bełkot, jak w kukułczym gnieździe... to znaczy, w ośrodku. Z jakichś powodów wydaje mi się, że brzmi to jednak trochę inaczej. Mam tylko jeden plan na potem: Nię. Ale oczywiście nie mogę mu tego powiedzieć.

– No, sam wiesz... – odpowiadam z uśmiechem.

On nie odwzajemnia uśmiechu. Wygląda poważnie.

– Coś wymyślę, kiedy już tam będę – stwierdzam. Nie jestem pewna, co mnie podkusiło, żeby to mówić. – A ty?

Wydaje się, że przez jego twarz przemyka cień.

– Też coś wymyślam.

– Jasne.

Jednocześnie sięgamy po herbatę.

– Yy... Od jak dawna tu mieszkasz? – pyta.

– Kilka miesięcy.

– Strasznie wczesnie zaczęłaś samodzielne życie – zauważa.

– Przyganiał kociół garnkowi.

Kiwa lekko głową, jakby chciał powiedzieć „punkt dla ciebie”.

– Podoba ci się tutaj?

Śmieję się, ale przestaję, gdy zauważam, że pyta poważnie.

– Nie bardzo miałam wybór. Mama nie chciała, żebym tym razem wróciła do domu po... No, w sumie trudno się jej dziwić.

– Naprawdę trudno?

Zastanawiam się nad tym.

– To zabawne. Mama wyrzuciła mnie z domu kilka miesięcy temu, to znaczy powiedziała, że mam nie wracać, co w sumie wychodzi na to samo. Znaczący, przez całe lata doprowadzałam ją do ostateczności, więc pewnie wcześniej czy później musiała się poddać. Właściwie nie wiem, dlaczego powiedziałam, że to zabawne. Chyba że uznamy mnie za pośmiewisko.

– Dlaczego? To przecież nie tylko twoja wina, że znalazłaś się w... takiej sytuacji. Chyba że to było niepokalane poczęcie – mówi Robin, a potem spuszcza wzrok i pociera kark.

Milczę przez chwilę, a potem wyjaśniam:

– To nie... Widzisz, jestem anorektyczką.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, ale nie wydaje się zaszokowany, nie robi też tej okropnej miny, pół na pół współczującej i pełnej ciekawości.

– Przyjaciółka mojej młodszej siostry miała to przez jakiś czas. Ale teraz wszystko już z nią dobrze.

– Ma szczęście – mrużę. Unoszę podbródek. – W każdym razie w tym momencie też nią nie jestem. Zrobiłam sobie małe wakacje ze względu na to.

– Wachluję ręką nad brzuchem.

– Mhm.

– Mhm? Co to ma znaczyć? Tak jak mówiłam, nie zamierzam go wychowywać ani nic takiego. Jestem tylko... babysitterką. – Zaczynam się uśmiechać, ale Robin marszczy brwi. – Nie wiedziałabym, co mam z tym zrobić, no nie? – dodaję.

Robin milczy. Wpatruje się w ścianę ponad moją głowę, jakby przypomniał sobie coś, czego wolałby nie pamiętać.

– A co z tobą? Skąd się tu wzięłaś? – pytam.

Mniejsza o moją zwykłą zasadę, żeby o nic nie pytać i niczego nie mówić – naprawdę chcę wiedzieć, jak to się stało, że mieszka tutaj sam, czy też jest tym przerażony. Może muszę wypełnić ciszę, którą pozostawiła ostatnia wymiana zdań. Ale chodzi też o coś jeszcze. On wydaje się... miły. I chyba w sumie to nieźle, móc porozmawiać z kimś, kto nie ma nic wspólnego z – no wiecie – z Nią, z ośrodkami. Czy jakoś tak. Pewnie to te głupie ciążowe hormony sprawiają, że mięknię i zaczynam się rozmywać.

Tym razem zauważam to z całą pewnością: świeży ból, który wykrzywia jego wargi.

– Chyba... – Wraca myślami z miejsca, gdzie dotąd przebywał, i patrzy na mnie. – W sumie podobnie jak ty. Różnice światopoglądowe między mną a rodzicami. Takie nie do pogodzenia. Wyprowadziłem się, zanim mnie wyrzucili, ale później... – Wydyma policzki jak chomik, a potem wypuszcza powietrze, jakby się czegoś pozbywał. – Nieważne. Opowiem ci przy okazji.

Unoszę brew.

– Niezłe różnice światopoglądowe, skoro wylądowałaś tutaj.

– Ano. Znaczy, jeśli chcesz znać prawdę, nie mogę wracać z powodów, którymi nie będę cię zanudzać, a to było jedyne miejsce, na które było mnie stać. Ledwie. W Aldi nie zarabia się kokosów.

– Pracujesz w Aldi? – Zaczynam się znowu śmiać.

– Co w tym złego? Dostaje się rabat pracowniczy – mówi i na pół się uśmiecha, a na pół krzywi.

– Nic, absolutnie – odpowiadam, ale teraz uśmiecham się już naprawdę, tak samo jak on.

Przez chwilę szczerzymy się do siebie, a ja uświadamiam sobie, że to chyba pora, żeby zakończyć to małe cokolwiek-to-było. Nie znam nawet tego gościa i nadal nie jestem do końca pewna, dlaczego postanowiłam wpakować mu się do mieszkania i podzielić się z nim toną osobistych informacji. Mimo to lubię go.

Wstaję.

– Dzięki za herbatę.

– Polecam się na przyszłość. Szczerze.

– A, i dzięki za kwiaty – mówię od drzwi.

Robin przechyla głowę i uśmiecha się.

Co jest do dupy w ośrodku

Punkt 7.

Jest przerażający

Chyba nie muszę tego tłumaczyć.

# ROZDZIAŁ 10

## JESZCZE DZIESIĘĆ TYGODNI

Lubię wszystko sprawdzać. To moje przekleństwo. Ludzie tacy jak ja powinni mieć zakaz korzystania z internetu.

Dzień po rozmowie z Robinem krążę po osiedlu, żeby uspokoić myśli, chociaż liczę przy tym kroki. Zdecydowanie za dużo czasu spędziłam na czytaniu historii adopcyjnych. Czytałam o dziewczynach takich jak ja, które przypadkiem zaszły w ciążę i oddały dzieci do adopcji. Niektóre z nich były spokojne, nawet zadowolone, twierdziły, że podjęły dobrą decyzję. Ale były też inne. Takie, które czuły, że wyrwano z nich coś wielkiego i została im tylko wielka, boląca dziura wypełniona poczuciem winy, tęsknotą i wszystkimi tymi rzeczami, które straciły i których już nie odzyskają. Nawet te starsze, które po latach nawiązały kontakt ze swoimi dziećmi, były trochę nienormalne. Ale może po prostu czytałam niewłaściwe historie.

Spróbowałam przeczucić się na historie pisane przez adoptowane dzieci, ale to nie okazało się lepszym pomysłem. Tkwiły w mojej głowie jak resztki owsianki na brzegach talerza, oślizgłe i zakrzepnięte. Wielokrotnie w swoim życiu siedziałam przed wieloma talerzami zimnej owsianki. Pewnego pamiętnego dnia obiad wjechał na stół, zanim jeszcze skończyłam poranny posiłek. To były piękne czasy.

Teraz, kiedy już to przeczytałam, nie potrafię wyrzucić tamtego zdarzenia z głowy. Naprawdę chciałabym mieć takie urządzenie, którym można wymazywać wspomnienia, takie jak w filmie, który pokazała mi kiedyś Molly, *Zakochany bez czegoś tam*, nie zapamiętałam pełnego tytułu. Najwidoczniej mam dobrą pamięć tylko do głupot.

Robię jeszcze jedno kółko po osiedlu. Jest już prawie pora, żeby pójść do ośrodka na spotkanie z Felicity – naprawdę się tam wybieram, sytuacja musi być poważna – kiedy widzę, jak z naprzeciwka, po drugiej stronie ulicy idzie ta kobieta. Nazywam ją Spacerowniczką.

Prawie przechodzę przez jezdnię, żeby się przywitać, ale w ostatniej chwili tchórzę. Nie przeszkadza mi to zastanawiać się, jak zwykle, kim ona jest.

Oto, co o niej myślę:

## SPACEROWICZKA

Widzę, jak krąży po osiedlowych ulicach. Może być po siedemdziesiątce, ale nie jestem pewna. Włosy jak puch dmuchawca. Spodnie, które, no cóż, wiszą na niej jak worki. Albo grube rajstopy tworzące obwarzanki pod prostą spódnicą. Pochylona, z przygarbionymi plecami, idzie przed siebie sztywno, z podbródkiem wysuniętym jak dziób kury. Czasem niesie torby zwisające z jej cherlawych ramion. Wyobrażam sobie, że ma w nich pomidory w puszkach, mielonkę i środki na przeczyszczenie.

Pojawia się niezależnie od pogody, zawsze idzie prosto przed siebie.

Zauważyłam ją niedługo po tym, jak wprowadziłam się do Yewlings, a od kiedy zwróciłam na nią uwagę, zaczęłam ją widzieć wszędzie. Jej wzrok, pełen determinacji, koncentruje się na czymś, co tkwi w jej wnętrzu. Nie da się przez to przebić.

Ale ja wiem, kim ona jest. To Nia. Może od zawsze była Nią. Ta myśl przeraża mnie, nawet gdy dziwię się jej nogom, które wydają się zbyt cienkie, żeby ją podtrzymać, i podziwiam jej determinację.

Myślę, że pewnego dnia Spacerowiczka umrze, tak po prostu, na ulicy. Jej serce odmówi posłuszeństwa i stanie. Nic innego jej nie zatrzyma.

Widzę ją w snach, idącą zawsze przed siebie.

Czasem myślę, że mogłaby być mną.

Tak, wiem. Takie bardziej ponure myśli. Jestem już zresztą prawie pod ośrodkiem, więc staram się oderwać od Spacerowiczki i skoncentrować na tym, co zamierzam powiedzieć Felicity. Spóźnia się, jak zwykle, ale nie mam pretensji, bo to oznacza mniej czasu dla mnie.

Opuszczam głowę, kiedy mijam część ośrodka przeznaczoną dla pacjentów. Na zewnątrz kilka dziewczyn pali papierosy, ich palce to same kości. Nie znam ich i myśl o tym sprawia, że serce zaczyna mi mocniej bić. Zostawiłam za sobą życie w ośrodku, teraz tylko patrzę na nie z zewnątrz.

Nagle nabieram okropnej ochoty na skręta, ale nie poddaję się jej. To

dziecko musi znosić wystarczająco wiele nawet bez wrodzonego uzależnienia od nikotyny w pakiecie.

Pozwalam, żeby Felicity mnie zważyła. Przybrałam na wadze, mówi mi o tym wyraźnie zdumiona. Walczę ze sprzecznymi impulsami, żeby uśmiechnąć się z wyższością i powiedzieć: „A nie mówiłam?” i żeby wyrwać jej moją kartę i spojrzeć na liczbę. Oczywiście sama to sprawdzam, ale waga w ośrodku to „prawdziwa” waga.

Felicity kończy pisać coś w karcie i odwraca się do mnie.

– No to... co u ciebie?

– W porządku – mówię i po sposobie, w jaki to brzmi, wiem już, że to będzie jedno z tych spotkań.

Felicity także to wyczuwa, jej skóra napina się wokół ust, a brwi musi się przywrócić do neutralnej pozycji.

Mija kilka minut.

– Wie pani co, chrzanić to. Nie jest w porządku. Myślę... że jestem popaprana. To znaczy bardziej niż zwykle.

Felicity wydaje zachęcający dźwięk i stara się nie wyglądać na tak zaskoczoną, jak ja sama się czuję tym, że łamię Zasady. Naprawdę zaczynam rozmowę, zamiast uciec się do zwykłego patrzenia w przestrzeń, podczas gdy Felicity czeka mniej lub bardziej cierpliwa, albo do gadania o głupich rzeczach w odpowiedzi na wszystkie jej starannie formułowane pytania i próby sondowania. Czasem – no dobra, może częściej niż czasem – krzyczę. Wyrzucam z siebie wszystko, co moim zdaniem mogłoby ją zranić. Staram się, żeby mnie znienawidziła.

Nigdy nie twierdziłam, że jestem dobrym człowiekiem.

Ale dzisiaj z jakiegoś powodu mówię wprost i nie potrafię przerwać.

– Czytałam wszystkie te historie o adopcji i chyba tak jakby... no, nie wiem, minął już pierwszy szok? Teraz zaczynam sobie uświadamiać, że... że... – Cholera jasna, zaczynają mi łzawić oczy.

To chyba pierwszy raz, kiedy Felicity musi podsunąć mi zawsze obecne pudełko chusteczek. Podaje mi je powoli, jakbym była ptakiem, którego stara się nie spłoszyć.

Wycieram nos i mówię dalej spokojniejszym już głosem, starając się opanować, ale nadal odczuwam ten nieznośny przymus wygadania się, wyrzucenia myśli z głowy.

– Uświadomiłam sobie, że zrobiłam coś... Jakie to słowo?



Nieodwracalnego. Nie tylko sobie, ale... no, wie pani. – Skinieniem głowy wskazuję brzuch, który zaczyna napierać na bluzę. – Znaczy, teraz to wszystko dotyka jeszcze kogoś i czuję się... chyba czuję się winna.

– Mmm... – Felicity zapada w Wymowne Milczenie.

Nie zamierzam mówić nic więcej.

Tyle że jakoś mówię.

– Poszłam spotkać się z mamą, powiedzieć jej o tym. Była wściekła. Nazwała mnie egoistką. Powiedziała coś jeszcze o tym... – Urywam, staram się przypomnieć sobie słowa mamy.

Felicity pochyla się do przodu na krześle.

– Jak to szło... Coś o tym, że miałam wpływ nie tylko na swoje życie. Wiem, że to prawda. Wiedziałam to już wcześniej, naprawdę. Ale teraz chyba to czuję.

Felicity otwiera usta, a w jej oczach pojawia się blask, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej. To mieszanina podniecenia i nadziei, a ja przez sekundę mam wrażenie, że kościste palce wbijają się w moje serce, ponieważ ona myśli, że nastąpił we mnie Przełom albo przynajmniej Punkt Zwrotny.

Powiedziałam za dużo.

Śmieję się z przymusem.

– To na pewno przez te ciążowe hormony. Albo może dziecko jest jak w tym filmie, jak on się nazywał, i może czuć różne rzeczy, więc dlatego ja je też czuję? Jak osobista fabryczka uczuć. Nie mówię, że się tym martwię. Kiedy już będzie po wszystkim... – Teraz naprawdę muszę się zamknąć.

Felicity patrzy na mnie, a potem nagle siada prosto.

– Jak rozumiem, wracamy do zwykłego programu? – Nigdy nie słyszałam, by jej głos brzmiał tak lodowato.

– Coś w tym rodzaju. – To miało zabrzmieć buntowniczo, ale czerwienię się.

– Mmm.

Znowu milczenie. Tym razem to ja się czuję niezręcznie. Felicity obserwuje mnie patrzącą na zegar odliczający ostatnie minuty spotkania i starającą się odzyskać panowanie nad sobą.

Kiedy przychodzi czas, żeby się pożegnać, uśmiecham się tak promiennie, jak tylko mogę, i mówię:

– Do zobaczenia za tydzień!

Wstaję i wychodzę, zanim ona zdąży coś jeszcze powiedzieć, ale z jakichś

powodów nie czuję jak zwykle triumfu.

W drodze do domu towarzyszy mi Molly.

Co jest do dupy w ośrodku

Punkt 8.

Najlepsza przyjaciółka umiera na twoich oczach

Molly. Po tym pierwszym dniu na terapii grupowej, kiedy rzuciła brzydkim słowem i zaczęliśmy się śmiać, spędzałyśmy razem praktycznie cały wolny czas, którego w szpitalu jest bardzo dużo. Posiłki, szkola i terapie zajmują tylko kilka godzin dnia, nawet dla tych z nas, które potrafią siedzieć w nieskończoność nad talerzem z zupą.

Molly była bulimiczką. Najcięższego typu. Jak się teraz nad tym zastanowię, nauczyłam się od niej sporo sztuczek na pozbywanie się jedzenia.

Widzicie, w szpitalu nie zawsze jest do dupy. To nigdy nie jest takie proste. Molly była bulimiczką i była porąbana, to jasne, ale miała także najradośniejszy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszałam, i potrafiła niesamowicie przedrzeźniać ludzi. Przede wszystkim personel - lekarki to uwielbiały. Kłamię, jasne że nie, ale my wszystkie to uwielbiałyśmy.

Poza tym umiała grać na saksofonie jak profesjonalny muzyk jazzowy i ubierała się w niesamowicie efektowny sposób: nosiła zawsze mnóstwo warstw i kapelusze. Wiem, że to brzmi, jakby była całkiem dziwaczna, ale w przypadku Molly to działało. Była po prostu sobą i miała gdzieś, co inni o niej myślą. Nie domyślilibyście się, że coś jest z nią nie tak, chyba że wiedzielibyście, na co patrzeć. Zawsze miała perfekcyjny makijaż, a jeśli była blada - to cóż, wszystkie byłyśmy. Jej bladość była interesująca, a nie pospolita, żółtawo-ziemista.

Na krótko przed śmiercią Molly zrobiła dla mnie listę. Czasem się zastanawiam, czy wiedziała, co się stanie. Była trochę dziwna, nawet jeśli naśmiewała się z hippisowskich ciągót personelu - tego machania kryształowym wahadłem i wcielania w życie pozytywnych afirmacji. Nie wierzę w duchy ani nic takiego, ale mogę przysiąc, że to prawda - ona umiała robić różne rzeczy.

Wieczorami, kiedy grałyśmy w planszówki (naprawdę grałyśmy - naszą ulubioną były Scrabble), jeśli trzeba było rzucić kostką, Molly szeptała numer, na którym jej zależało, a potem on wypadł w dziewięciu przypadkach na dziesięć.

Może to był przypadek. Pewnie był. Albo to, że się zauważa tylko rzeczy zgodne z twoją teorią - Google nazywa to efektem potwierdzenia. Ale nie jestem przekonana. Chcę tylko powiedzieć, że miała w sobie coś takiego, jakby była nie z tego świata. Poza tym zawsze, ale to zawsze pokonywała mnie w Węże i Drabiny.

W każdym razie gadałyśmy któregoś wieczoru, stojąc razem przy oknie i patrząc na księżyc, a ona wpadła na pomysł tej listy. Nie wiedziałam, co próbuje przez to powiedzieć.

A potem dostała zawału serca i umarła w łazience, a reszta z nas patrzyła, jak pielęgniarki próbują ją reanimować.

Tego samego dnia pod poduszką znalazłam listę.

# ROZDZIAŁ 11

## JESZCZE DZIESIĘĆ TYGODNI

Kiedy stwierdziłam, że tamtego dnia towarzyszyła mi Molly, nie mówiłam oczywiście dosłownie. Nie wierzę w duchy ani w nic takiego. Ale czasem mam wrażenie jej obecności, ledwie uchwytną, jakby nie odeszła na dobre – nadal jest tutaj, czuwa nade mną. Zastanawiam się, co by powiedziała o dziecku, ale chyba się mogę domyślić. Na pewno pękałaby ze śmiechu.

Wydaje się również z jakichś powodów zainteresowana Robinem, a przynajmniej wyczuwam ją w powietrzu, kiedy go widzę. Może uważa, że powinnam go lepiej poznać. Kilka razy spotkaliśmy się na korytarzu i raz omal nie zaprosiłam go do środka, ale wyglądał, jakby się dokądś wybierał. Jestem zdania, że ma ładny uśmiech, tyle że jest strasznie cichy. Nigdy nie słyszałam żadnych dźwięków dobiegających z jego mieszkania, nie tak jak od tego podejrzanego faceta po drugiej stronie, który wczoraj znowu prawie do rana puszczał muzykę.

Jestem dzisiaj na dworze, po prostu spaceruję. Początkowo myślałam, że może pójść do college'u, ale moje nogi same skręciły i szłam przed siebie, aż znalazłam się niedaleko Dewhurst House. Zatrzymuję się za rogiem, tak żeby nie widzieć jeszcze ośrodka. Wyobrażam sobie personel przygotowujący posiłek, gładkie blaty stolików, sęki w surowym drewnie pokryte przezroczystą plastikową powłoką.

Wracam do domu trochę inną, krótszą trasą, omijając centrum miasta i przecinając ścieżkę dla rowerzystów, która ciągnie się wzdłuż rzędów ładnie utrzymanych szeregowców w jednej z bardziej eleganckich dzielnic. Domy mają na tyłach długie ogrody i coś wiktoriańskiego w klimacie, to przez te spadziste dachy i okna w wykuszach. Kiedy byłam mała, chciałam mieć okno w wykuszu, z urządzonym miejscem do siedzenia i zasłonami, żebym mogła czytać książki we własnej kryjówce. Najbardziej lubiłam te o balecie. Czasem się zastanawiam, czy Nia zaczęła się dlatego, że chciałam być jak

jedna z tych tancerek. Unosząc się w powietrzu poezją z długimi nogami. Artystką, a nie zwyczajnym człowiekiem. Może właśnie dlatego przestałam ufać książkom, przynajmniej tym, które kiedyś mi się podobały. A może to wszystko jedna chuda wymówka.

Obserwuję mijane domy i zauważam przed jednym z nich uroczy prowizoryczny stragan z napisem, który wygląda jak zrobiony przez małe dziecko. *Ważywa 20 pensów* głosi napis z błędem, wykonany kolorowym flamastrem nad stołem pełnym powykręcanych marchewek i pokrytych błotem ziemniaków.

Zatrzymuję się i zaglądam do portmonetki. Mam niecałego funta drobnymi, więc biorę pięćzek marchwi i trzy ziemniaki, a potem wkładam pieniądze do skarbonki w kształcie motyla.

Widzę też karton jajek, ale nie wiem, ile kosztują. Zastanawiam się, czy ci ludzie hodują kury w ogrodzie.

Z domu wychodzi kobieta i uśmiecha się do mnie.

– Chciałabyś też jajka? – pyta i wskazuje na nie. – Mamy więcej, niż jesteśmy w stanie zużyć.

– Nie mam już drobnych – odpowiadam z przepaszającym uśmiechem.

Zarzucam plecak na ramię. Paski wbijają się trochę w moje ciało, więc poprawiam go tak, żeby było mi wygodniej. Ciężar sprawia, że bluza opina mi się ciasniej na brzuchu.

– Kiedy termin? – pyta kobieta.

– Szesnastego maja – odpowiadam.

– Och, to cudownie. Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka. – Odpowiadam tak, chociaż nie mam żadnego potwierdzenia.

Podczas ostatniego USG lekarka zapytała, czy chcę wiedzieć, a ja powiedziałam, że tak, ale dziecko nie współpracowało. Mimo wszystko wydaje mi się, że to ona. Skądś wiem, że to ona.

Kobieta uśmiecha się.

– Dziewczynki są najlepsze. Chociaż strasznie dużo z nimi kłopotów, kiedy już pójda do szkoły. Te wszystkie grupki towarzyskie! Zapomina się, jak to było w tym wieku.

Zastanawiam się, co by powiedziała, gdybym wspomniała, że nie zobaczę, jak to dziecko idzie do szkoły, nie będę musiała sobie radzić z prasowaniem mundurka ani błędami ortograficznymi. Poza moimi błędami

ortograficznymi. Poprzestaję na uprzejmym uśmiechu.

– Zastanawiałaś się już nad imieniem? – pyta kobieta.

– Jeszcze nie. – Nowi rodzice pewnie i tak je zmieniają. Ale kobieta patrzy na mnie tak wyczekująco, że dodaję: – Myślałam, że może Molly. – Prawie słyszę Molly stojącą obok mnie i mówiącą ze śmiechem: „Nie ma mowy! Dlaczego miałybyś obciążyć biedne dziecko takim imieniem?”.

– To śliczne imię – przyznaje kobieta.

Od strony domu dobiega wrzask.

– To któreś z moich – mówi kobieta. – Powodzenia. – Odwraca się, żeby odejść, ale cofa się i podaje mi karton jajek. – Nie musisz płacić. Dorzucę jeszcze funta na wypadek, gdyby Kayleigh zauważyła. Nie umie jeszcze zbyt ładnie pisać, ale z pewnością umie liczyć. Są świeżutkie, dzisiejsze. Chyba powinnaś lepiej jeść.

Biorę jajka, chociaż minęły całe wieki, odkąd je ostatni raz jadłam, i nie mam ich w moim planie posiłków.

– Dziękuję – mówię.

Niosę jajaka ostrożnie przez całą drogę do domu – nie mieszczą się w plecaku – i stawiam je na podłodze, kiedy szukam kluczy, które w końcu znajduję po wyjęciu większości rzeczy z plecaka na podłogę.

– Potrzebujesz pomocy? – Robin pojawia się znikąd w korytarzu, a ja odskakuję i omal nie przygłaznęłam przy tym jajek, co by rozwiązało jeden problem, ponieważ nie jestem pewna, czy uda mi się je zjeść.

Pochyla się i podnosi pęczek marchewki, podczas gdy ja otwieram drzwi, a potem, zanim zdążam go powstrzymać, wraca po resztę rzeczy.

– Gdzie to położyć? – Trzyma karton jajek.

– Gdziekolwiek – mówię. – Jedna kobieta mi je po prostu dała. Okazuje się, że bycie w ciąży ma jakieś zalety. Nie wiem, co z nimi zrobić.

– Omlet? – proponuje Robin po dłuższej przerwie. Muszę mieć wyraz kompletnego niezrozumienia na twarzy, ponieważ dodaje: – Umiąłabyś go usmażyć, prawda?

– A co, ty nie?

– Cóż, dałoby się wygooglować. Ostatecznie to chyba nie takie skomplikowane? – Wyciąga komórkę.

Naprawdę nie wiem, co mam odpowiedzieć. Jak powinnam wyjaśnić, że jajka w moim świecie są wyjątkowo trudne?

Robin przewija kilka stron, a potem odkłada telefon.

– Dobra, możemy zaczynać – mówi i patrzy na mnie z pewnością siebie. Widzę, że udaje. Zaczyna nawet zawijać rękawy. To urocze. – Gdzie masz patelnię?

– Nie mam. – Przecież nie zanosi się, żebym miała coś smażyć w najbliższym czasie.

– Nie szkodzi, ja mam. – Znowu sprawdza coś w komórce. – Masło? Przyprawy?

Potrząsam głową.

– Mam sól. – Wskazuję skinieniem głowy dużą torebkę soli, która pękła, kiedy ją otwierałam, więc teraz siedzi w jednej z dwóch misek, jakie mam.

– Zaczekaj.

Robin wychodzi z komórką i wraca z naręczem rzeczy, którym przyglądam się nieufnie. Wydaje mi się, że jak na omlet to okropnie dużo składników. Poza tym nie mam go w planie posiłków.

– Dostałem to wszystko w pracy – wyjaśnia. – Nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić, ale teraz już wiem. Czas na Operację Omlet.

Staje na baczność i nieoczekiwanie cichy śmiech wyrywa mi się z ust i leci do unoszącej się pod sufitem Nii. Nia nie jest zachwycona.

– Lepiej usiądź. Czy w ogóle powinnaś chodzić z takim wielkim plecakiem?

– Sorki, przypomnij mi, jaki mamy rok? Bo przez chwilę przysięgłabym, że lata pięćdziesiąte – mówię, ale siadam.

Nie mam ochoty tego przyznawać, ale jestem zmęczona. Może pokonałam dzisiaj zbyt duży dystans – nigdy nie przypuszczałam, że takie zdanie przyjdzie mi do głowy.

Robin, pochylony nad telefonem, mruczy coś do siebie. Zamykam oczy i otwieram je znowu, gdy słyszę jajko uderzające o podłogę, a zaraz potem skwierczenie i zapach przypalonego masła.

– Cholera – mówi Robin.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie, odpoczywaj – odpowiada, ze wszystkich sił starając się promieniować pewnością siebie, chociaż w oczach ma lekką panikę.

Ten uśmiech znowu próbuje się wydostać, więc zaciskam powieki i pozwalam Robinowi pracować dalej.

Zanim się orientuję, Robin budzi mnie, lekko kładąc mi rękę na ramieniu.

– Podano do stołu. A tak poza tym: chrapiesz. – Uśmiecha się złośliwie.

– Na pewno nie!

– Voilà! – oznajmia i zamaszystym gestem wskazuje stół, na którym stoją dwa talerze. Wygląda na bardzo, bardzo zadowolonego z siebie.

Siadam przed omletem, który wygląda jak zrobiony chyba z dwudziestu jajek. I jakiejś czerwonej oraz zielonej materii. Omlet Robina wygląda na lekko przypalony, ale z bólem serca muszę przyznać, że ostatecznie sprawia wrażenie jadalnego.

– Co w tym jest? – pytam i oglądam talerz zmrużonymi oczami, jakby jego zawartość mogła podskoczyć i dziobnąć mnie.

– Jajka, masło, pomidory, bazylika, ser. Moja krew, pot i łzy. Dobra, to ostatnie zmyśliłem. – Wpycha wielką porcję do ust i zaczyna przeżuwać. – Pycha, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Patrzę na mój talerz. Powtarzam sobie, że to bez znaczenia, że nie ma tego w moim planie posiłków, miło ze strony Robina, że to przyrzadził, a poza tym Nia i ja zrobiłyśmy sobie Przerwę (w ośrodku oglądałyśmy często powtórki prastarych sezonów *Przyjaciół*; Laurel miała lekką obsesję na ich punkcie, chociaż wszystkie wiedziałyśmy, że to dlatego, że Monica robi się coraz chudsza i chudsza), ale nie pomaga mi to zmusić ręki, żeby się poruszyła. Puls mi przyspiesza, a dziecko chyba to wyczuwa, ponieważ zaczyna imprezować, kopiąc energicznie w mój brzuch tuż ponad miednicą. To naprawdę boli.

– Uufff – mówię.

Kładę w tym miejscu rękę i czuję mały, twardy guzek. To może być stopa. Pokój na chwilę zaczyna się kołysać.

– W porządku? – Robin wstaje i podchodzi do mnie.

– Tak – udaje mi się wykrztusić. – Kopie, to wszystko.

Zdjęłam bluzę, a koszulka opina ciasno mój brzuch. Robin patrzy w dół i oboje widzimy, jak wypukłość się porusza.

– Oranyboskie – mówię. To jak scena z *Obcego*. Zaraz coś wyskoczy przez dziurę w moim boku i ucieknie. Prawie mogę zobaczyć Nię skręcającą się jak czarny kłęb dymu na suficie.

– Mogę? – pyta Robin i zanim zdążam zapytać, co takiego może, kładzie mi ostrożnie rękę na brzuchu.

Dziecko nieruchomieje.

Ja nieruchomieję.

Potem ono rusza się znowu, a on się uśmiecha.



– Rany! Poczułem to. Chyba trafiło ci się wyjątkowo silne.

– Owszem – odpowiadam słabo.

Robin wraca na swoje miejsce i znowu bierze widelec. Dziecko skręca się wewnątrz mnie, jakby chciało powiedzieć, żebym się pospieszyła i zaczęła wreszcie jeść. Myśl, że może to, czego dziecko naprawdę, ale to naprawdę potrzebuje w tej chwili, to są jajka, pomidory, bazylia i co tam jeszcze jest, sprawia, że podnoszę widelec i wkładam malutki kęs do ust.

Jest całkiem niezły. Nie, kłamię. Jest przepyszny. Przełykam kolejny kęs i nagle głód przejmuje nade mną kontrolę, a ja zaczynam pospiesznie jeść. Zawartość talerza znika w trzy minuty, a ja pijam ją obficie.

Robin kończy swoją porcję, ale – co chyba bardzo rozsądne z jego strony – nie komentuje tego, jak szybko rozprawiłam się z moją.

*Co się dzieje?*

Przypominam sobie Molly. Kiedy wpadała w szal obżarstwa, dosłownie wpychała jedzenie do gardła i przełykała bez gryzienia czy choćby oddychania – a potem panika na jej twarzy i wyraz ulgi, kiedy wreszcie kończyła i mogła się tego pozbyć. Mój żołądek jest teraz twardy i nieprzyjemnie napęczniały.

Czy to był napad żarłoczości? Tak trzeba by to nazwać? Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Zawsze byłam z tego bardzo dumna. W głębi ducha, gdy inne rozmawiały o tym udreńczonym szeptem, ja z satysfakcją milczałam, pewna swojej samokontroli. Niezłomna. Nia nigdy się tak wobec mnie nie zachowywała, aż do teraz.

Oczami duszy widzę twarz Felicity i wiem, co by powiedziała: że zjedzenie normalnej porcji nie jest napadem żarłoczości. Mimo to ogarnia mnie silny przymus, żeby pobiec do łazienki i pozbyć się tego wszystkiego – i w tym momencie dzieje się coś jeszcze, inny impuls zaczyna z tym walczyć. Przez chwilę dwa impulsy zmagają się w mojej głowie, Nia i... kto? Nia jest częścią mnie od tak dawna, zawsze chciałyśmy tego samego. Więc kto się z nią wyklóca? Kto się z nią wyklócał przez te wszystkie tygodnie? Czuję, że głowa mi zaraz pęknie, więc z rozpaczą patrzę na Robina, który sięga przez stół, jakby chciał mnie wziąć za rękę, ale w ostatniej chwili zmienia zdanie.

– Mów do mnie – proszę go. – Muszę się czymś zająć.

– O czym?

– Nie wiem. O czymkolwiek. O czymkolwiek. – Ostatnie słowa mówię szeptem.

Robin zaczyna mówić. Opowiada mi o swojej pracy w Aldi, o tym, jak wysyła CV we wszystkie miejsca, w których mogą płacić wystarczająco dużo, żeby starczyło mu na rachunki, i nie będą oczekiwać niekończącego się wykładania towarów. O tym, jak ma już dość gotowych posiłków i tostów, dlatego zaczyna się uczyć gotować. Stopniowo uczucie paniki zaczyna słabnąć i udaje mi się skoncentrować na jego słowach.

Przerywa i przygląda mi się uważnie.

– Już wróciłaś?

Kiwam głową.

– Przepraszam. Naprawdę nie jestem przyzwyczajona... Zwykle trzymam się planu posiłków.

– Widziałem – mówi, a ja patrzę w tę samą stronę co on, do aneksu kuchennego, gdzie na ścianie przypięty jest kolorowy grafik, a pod nim leży otwarty notes, w którym zapisuję wszystko, co jem i piję, zawartość kalorii, wagę rano, przed południem, po lunchu, po obiedzie, przed pójściem spać.

Nagle widzę to mieszkanie jego oczami. Nieobecność czegokolwiek na ścianach, gołą podłogę. Brak duszy. Czuję wstyd w każdym kawałeczku mojego ciała, aż do palców u nóg.

To nie jest przyjemne uczucie – mówiąc wyjątkowo eufemistycznie – więc poruszam się, jakbym mogła je strząsnąć, jeśli tylko będę dość szybka.

– Dlaczego posadziłaś kwiaty? – pytam, ponieważ lepiej jest coś powiedzieć, niż siedzieć i czuć się w taki sposób.

– Babcia uwielbiała swój ogródek. Kiedy byłem mały, moi rodzice często wyjeżdżali służbowo, a babcia, czyli mama mojego taty, zajmowała się wtedy mną i moją siostrą. Kazała nam pielnić, podlewać, przesadzać rośliny i tak dalej.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę. Starszą czy młodszą?

– Młodszą. Właśnie podchodzi do egzaminów.

Przypomniałam sobie, że na zdjęciu na ścianie były dwie dziewczynki.

– Tylko jedną siostrę? – pytam.

– A ty? Jacyś bracia, siostry? – odpowiada szybko pytaniem.

Przypominam sobie jego słowa, że wyprowadził się, zanim rodzice wyrzucili go z domu. Pewnie nie chce o tym opowiadać, co mi nie przeszkadza. Powinnam doskonale wiedzieć, jak to jest mieć rzeczy, o których nie ma się ochoty mówić głośno.

Zamiast tego myślę o Tammy i wraca do mnie wspomnienie, rozmyte,

jakby widziane przez wiele warstw brudnego szkła. Mama trzyma malutkie zawiniątko i uśmiecha się do niego, a towarzyszy temu moje ledwie wyczuwalne uczucie, niedobre, gorzkie i godne potępienia.

Dzisiaj wyraźnie mam dzień uczuć, jakbym była na kolejce górskiej w wesołym miasteczku, tylko że nie ma nikogo, kto nacisnąłby przycisk, żeby ją zatrzymać. Ślady omletu i pomidorów utrzymują się w moim nosie i u nasady języka, a ja znowu walczę z impulsem, żeby pobiec i się ich pozbyć.

– Tak, jedna młodsza siostra. Tammy. Albo Tamara, bo mama upiera się, żeby ją tak nazywać.

– Jaka ona jest?

– Zdolna i Utalentowana – oznajmiam szorstko.

– Aha.

– Cóż, chyba po mnie mama i tata zasługiwali na bardziej udany model. – Próbuję się roześmiać, ale bez szczególnych sukcesów.

– Auć, to bolało.

Udaje mi się wzruszyć ramionami.

– To prawda. Raczej nie grozi mi zdobycie tytułu Córki Roku.

– Ale Tammy tak?

– Chyba tak. Nie widziałam jej od jakiegoś czasu. Mama obawia się, że mogę mieć Zły Wpływ.

– Powiedziała ci to?

– Prawie że. – Wzdycham. – Z Tammy jest tak, że zawsze wszystko jej się udaje. Wydaje mi się, że po prostu wyszła taka, rozumiesz? Kiedy poszła do szkoły... – Urywam, żeby sobie to przypomnieć. – Tammy poszła do zerówki kilka lat po mnie i od samego początku była niesamowita. Potrafiła już czytać i pisać, była dobra we wszystkim. Naprawdę we wszystkim. Została od razu przeniesiona do pierwszej klasy, pamiętam, jak mama bez końca rozwodziła się nad tym, jaka jest utalentowana, a to było zanim jeszcze oficjalnie zakwalifikowano ją jako Wybitnie Uzdolnioną i tak dalej. Zawsze z łatwością nawiązywała przyjaźnie, w całym domu poniewierały się te drobne upominki, takie jak te okropne plastikowe labirynty, które przynosiła z różnych przyjęć urodzinowych. – Nie dodaję, że w odróżnieniu ode mnie, ponieważ nie chcę wyjść na całkowicie żaloszny przypadek. Oczywiście miałam przyjaciółki, w każdym razie Sal i Natalie, ale nie tak jak Tammy. Patrząc na Robina i dodaję najlepsze na koniec. – Do tego w jasełkach grała Marię i śpiewała solo. Pamiętam, jak oglądałam ją z widowni. Do dziś w

domu jest oprawiona w ramkę fotografia, jak stoi na scenie w błękitnej szarfie.

Robin uśmiecha się.

– A ty kim byłaś?

– Oczywiście owieczką.

Zaczyna się śmiać, a mnie też udaje się uśmiechnąć, ale tylko na chwilę.

– W każdym razie jej niesamowitość trwa nadal i mama nie chce, żebym ją denerwowała. Powiedzmy, że nie skakali ze szczęścia, kiedy ostatnim razem byłam w ośrodku i musieli przywlec Tammy na terapię rodzinną. Powiedziałam Felicity, mojej terapeutce, że to zły pomysł.

– Naprawdę?

– Łagodnie powiedziane. Tak czy inaczej chyba im wszystkim lepiej beze mnie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie wiem. Czasem.

Pochyla głowę, zamyka oczy na odrobinę dłużej, niż potrzebowałyby, żeby mrugnąć. Kiedy znowu na mnie patrzy, urzeka mnie wyraz tych brązowych oczu, ciepłych i lśniących czymś, czego nie rozumiem.

– A co z dzieckiem? – pyta. – Myślisz, że jemu też będzie lepiej bez ciebie?

Patrzy na mnie z napięciem, nie jakby potępiał mój wybór, tylko jakby naprawdę chciał znać odpowiedź.

W końcu muszę odwrócić spojrzenie.

– Cholera jasna. To... bardzo osobiste. Ale... tak, właśnie tak myślę. Ono potrzebuje porządných rodziców, ludzi, którzy są okej, którzy będą mogli się nim opiekować.

– Skąd wiesz, że ty nie możesz?

Mam już dość. Zrywam się i zaczynam zbierać talerze, a potem wrzucam je do zlewu. Robin staje obok mnie, żeby je powycierać, ale nie zadaje dalszych pytań. Opowiadam mu o kobiecie z jajkami i jej odrobinę chciwej córeczce, co sprawia, że zaczyna się śmiać, a potem opowiada mi historię o tym, jak jego siostra, kiedy była mała, przekradła się kiedyś w nocy na dół i została przyłapana na wyjadaniu cukru prosto z torebki. Gdzieś w tym wszystkim uczucie przepełnienia zaczyna słabnąć i kiedy w końcu mówię Robinowi dobranoc, uświadamiam sobie dwie rzeczy: dobrze się bawiłam i nie mam już ochoty wymiotować.

## Co jest do dupy w ośrodku

### Punkt 9.

#### Szaleństwo szydełkowania

Szydełkowanie to był pomysł Molly.

- Musimy się czymś zająć, bo inaczej naprawdę wszystkie ześwirujemy i będzie jak w kukuczym gnieździe - powiedziała.

Czy wspominałam o tym, że pożyczłam to porównywanie z Lotem nad kukuczym gniazdem od Molly (która pewnie zapożyczyła je od kogoś innego)? Nie miałaby nic przeciwko temu, że go używam, była pod tym względem wspaniałomyślna.

W każdym razie Molly uznała, że skoro połowa ośrodka przymusowo leży w łóżkach i/lub jest karmiona przez sondę albo porusza się tylko na wózkach inwalidzkich, reszta z nas powinna może coś robić poza próbami spalania kalorii i szmuglowania pamiętników anorektyczek z jednego pokoju do drugiego, kiedy wydawało się nam, że nikt nie patrzy. Dlatego nauczyła nas wszystkie szydełkowania.

Oczywiście szło nam to okropnie, ale to, co robiła Molly, było prześliczne. Wydziergała dla siebie niesamowite różowe ponczo, a kiedy zobaczyła, jak bardzo mi się podoba, oddała mi je i zrobiła następne dla siebie, a potem dla każdej dziewczyny, która takie chciała, więc wkrótce większość z nas chodziła w zrobionych szydełkiem ponczach, jakby to były nasze mundurki. Nadal mam je w pudełku, gdzieś pod łóżkiem.

Właściwie lubiłam szydełkowanie. Nawet się zastanawiałam, czy mogłabym zrobić coś szydełkiem dla dziecka, żeby to zabrano do nowych rodziców.

# ROZDZIAŁ 12

## JESZCZE OSIEM TYGODNI

Coś dziwnego zaczyna się dziać po Omletgate. Kiedy Robin powiedział, że chce się nauczyć gotować, mówił poważnie. A ja zaczynam rozumieć, że kiedy Robin ma plan, to się go uczciwie trzyma. Zaczął pojawiać się u mnie z tymi wszystkimi rzeczami, które dostawał w pracy i miał ich „przypadkiem” za dużo, prosząc, żebym mu pomogła przy nowym przepisie. Zupełnie jakby obsadził siebie na stanowisku jakiegoś szefa kuchni i trenera osobistego. Nie jestem głupia, widzę, co on robi. Nie rozumiem tylko dlaczego.

Przez większość czasu chcę, żeby sobie poszedł. Bywają dni, kiedy nie otwieram mu, ale obserwuję go przez wizjer w drzwiach. Czeka w nieskończoność w tym swoim głupim stroju, zawsze pełen nadziei, aż w końcu wracam na palcach do mojego planu posiłków.

Ale czasem go wpuszczam.

Na początek to głównie on zajmował się gotowaniem, kiedy jednak wygłosiłam o jeden „pomocny” komentarz za dużo, uznał, że powinnam zostać zastępcą szefa kuchni. Wziął taki gadzecik z Aldi, którym trzeba uderzać naprawdę mocno, i na zmianę rozdrabnialiśmy cebulę. Nawet mi się to podobało, aż do chwili, gdy facet z sąsiedztwa zaczął walić w ścianę i musieliśmy siekać cebulę trochę ciszej.

Zdarzyły się jedna czy dwie katastrofy – suflet okazał się o wiele zbyt poważnym wyzwaniem – ale zazwyczaj wytwarzamy coś, co mniej więcej nadaje się do jedzenia. Czasem jest nawet całkiem smaczne.

W miarę kolejnych sesji kulinarnych zaczynam zauważać, że zapamiętuję różne drobiazgi, żeby powiedzieć Robinowi – rzeczy wyczytane w internecie albo przypadkowych książkach, które czekały na odstawienie w bibliotece. Na przykład to, że ciąża u słoni trwa sześćset osiemdziesiąt dni.

– A ja myślałam, że mnie jest ciężko – mówię. – Najwyraźniej to dlatego, że muszą mieć okropnie wielkie mózgi, kiedy się rodzą, żeby móc używać

trąby i tak dalej – dodają.

Robin uśmiecha się, ale nie dopuszczam go do słowa.

– A wiedziałaś, że niedźwiedzie polarne w ciąży tyją sto pięćdziesiąt kilo? Sto pięćdziesiąt kilo! Może to nie tak źle być człowiekiem... – Urywam, a on klepie mnie niezręcznie po ramieniu i patrzy naprawdę dziwnie.

Któregoś dnia Robin przyrządził kurczaka z ryżem i nałożył mi pół porcji, głównie sałaty. Zjadam kilka liści, ignoruję stojący na stole dressing. Robin macha w powietrzu pełnym widelcem.

– No dalej, spróbuj. Zrobiłem marynatę. – Mówi to takim tonem, jakby właśnie udało mu się przemienić ołów w złoto.

Nadiewam kawałek na widelec, zmieniam zdanie, przekrawam kostkę mięsa na pół i odkładam widelec na talerz.

– Co w niej jest? – pytam.

– Pomidory, trochę przypraw.

– Naprawdę? – Patrzę znowu na kurczaka i serce zaczyna mi bić mocniej. Chciałabym, żeby było jak u normalnej osoby. Dziecko kopie mnie w żebra.

– To wszystko, słowo honoru – zapewnia.

Wraca do jedzenia, a ja zsuwam kurczaka z widelca i chowam go pod listkiem sałaty. Robin nie zauważa.

Kiedy kończy swoją porcję, zrywam się i zbieram talerze, a moje resztki lądują prosto w koszu pod zlewem, zanim zdąży ocenić, ile zjadłam.

Nia leciutko, triumfalnie kiwa głową z kąta pokoju, ale nie odzywa się ani słowem.

– Może miałabyś ochotę gdzieś się wybrać? – mówi Robin stojący tuż za mną.

Muszę mu przyznać, że umie się cicho poruszać.

Zatrząskuję drzwi szafki z koszem i odwracam się jednym ruchem.

Wzrok Robina przeskakuje na moment na pusty talerz w moim ręku.

– Na przykład gdzie? – pytam.

– Do kina? Na kręgle? Nie wiem. Pomyślałem, że może chciałabyś się wyrwać z tego mieszkania – odpowiada.

Uśmiecham się mimo woli, ale szybko tłumię uśmiech. Nie chcę, żeby coś sobie zaczął wyobrażać.

– Byłoby fajnie – mówię. – Kiedyś. Możesz już lecieć, ja pozmywam. Dziękuję za obiad.

Kiedy Robin wychodzi, ważę się i sprawdzam plan posiłków. Towarzyszy mi naglące uczucie, tak jak wtedy, gdy jesteś w szkole i wiesz, że nie odrobiłaś pracy domowej. Staram się je odepchnąć, ale unosi się w powietrzu, a Nia czai się za moimi plecami jak bokser stający do walki z niewidzialnym przeciwnikiem.

Uświadamiam sobie, że nie lubię oszukiwać Robina. Z jakichś powodów czuję się wtedy podła.

*Mniejsza o to* – mówię sobie. *Wszystko będzie okej*. Jasne, brzucha nie da się już nie zauważać i z trudem potrafię znieść widok odbicia w lustrze, ale radzę sobie, ledwie ledwie, z tym czymś, co zdaniem wszystkich było niemożliwe. Jeszcze tylko kilka tygodni.

Sięgam, żeby uszczypnąć się w pośladek i w udo od tyłu, a potem dla pewności biorę miarkę. Tylko mój brzuch ma prawo rosnąć. Liczby owijają się wokół mnie jak podtrzymujące mnie dłonie, mówiąc, że jest okej. Poza tym lubię widywać się z Robinem, nawet jeśli przynosi jedzenie. Podoba mi się na przykład, jak marszczy się skóra wokół jego oczu, kiedy się uśmiecha. Poza tym jest zabawny.

Trudno by mnie nazwać szczęśliwą, ale jest mi odrobinę lżej. Chociaż można to przypisać temu, że jest wiosna i różne rzeczy naprawdę robią się lżejsze.

Egzystuję w ten sposób przez dwa tygodnie. Idę na spotkanie z Felicity i udaje mi się opowiedzieć o moich eksperymentach z Ciemną Stroną Mocy, czyli o gotowaniu z Robinem. Próbuję nawet wtrącić jakieś porównanie do księżniczki Lei – chyba zaczynam się zarażać tym od Robina.

Ale Felicity marszczy brwi i pyta:

– Czy po porodzie zamierzasz wrócić do stałego programu?  
– Cóż, jestem już w połowie drogi. Jeszcze tylko osiem tygodni. To... – przerywam, żeby policzyć na głos. – Sto sześćdziesiąt osiem posiłków.

Felicity rzuca mi Spojrzenie.

– Mmm.  
– Co?  
– Dla mnie to brzmi, jakbyś traktowała to jak grę, Heddo. Nadal wszystko liczysz?

– Tak. I co? Dlaczego nie?

– Ponieważ wiesz, że wykorzystujesz te liczby jak protezy. Są dla ciebie



siatką zabezpieczającą. Nawykiem, który powinnaś porzucić.

– Wszyscy to robią. Wszyscy coś liczą.

– Nie mówimy o wszystkich.

Felicity wyraźnie chce postawić na swoim i możecie to nazwać ciężowymi hormonami, ogólnym zmęczeniem albo po prostu moim charakterem, ale prostuję się i patrzę na nią ze złością.

– Proszę dać spokój. Weźmy ma przykład panią. – Ignoruję jej ostrzegawcze spojrzenie, jej usta, które zaraz się otworzą, żeby przypomnieć o „granicach”, i mówię dalej. – Ma pani dwoje nastoletnich dzieci, tak? Założę się, że liczy pani dni do chwili, gdy się usamodzielnia, bo chce pani, żeby się wynieśli, albo nie może pani znieść myśli o rozstaniu. Albo jedno i drugie.

Felicity wzdryga się lekko, a ja myślę: *Trafiony*.

– A pani dwa tygodnie w słońcu... Założę się, że wie pani, ile jeszcze tygodni upłynie, zanim będzie mogła pani polecieć... chwila, niech zgadnę... na Kos?

– Heddo, to nie jest...

– I z całą pewnością liczy pani minuty do końca naszego spotkania, prawda?

Policzki Felicity robią się odrobinę zaróżowione, a ja opieram się wygodniej. Ale nie czuję się dzięki temu lepiej. Właściwie to wręcz przeciwnie.

Wzdycham i mówię spokojniejszym głosem:

– W każdym razie myślałam, że będzie pani zadowolona, że jem. Znaczy, nie oczekiwałam baloników i konfetti, ale mimo wszystko...

Ona także wzdycha.

– Jestem zadowolona, że jesz. Ale martwię się tym, co będzie po porodzie. Czy sytuacja się w jakiś sposób... wyklarowała?

To pytanie pada, ponieważ chyba tak jakoś zapomniałam o umówionym spotkaniu czy dwóch z Joanną z pomocy społecznej.

Nie odpowiadam, ale kiedy kończy mi się spotkanie z Felicity, mam nagraną wiadomość w poczcie głosowej.

– Witaj, Heddo, mówi Joanna. Trochę się niepokoję, że się nie odzywasz. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że znalazłam potencjalnych opiekunów. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, możemy załatwić, żeby dziecko zostało im przekazane zaraz po porodzie. To urocze małżeństwo. Proszę, oddzwoń. Jeśli

nie dostanę od ciebie żadnej wiadomości, wpadnę w przyszłym tygodniu.

Ale nie mam ochoty jeszcze teraz rozmawiać o tym z Joanną. Muszę zebrać informacje... o czym? Nie wiem. Po prostu nagle odczuwam przymus zgromadzenia wszystkich faktów w równych rzędach, żeby zrozumieć ich wagę.

Wchodzę do internetu i zafascynowana spędzam godzinę, oglądając wideoblog anorektyczki, która także była w ciąży. Nawet w ósmym miesiącu pozostała bardzo, bardzo szczupła. Na filmie opublikowanym kilka tygodni po porodzie straciła całą nadmiarową wagę i wyglądała jak modelka. Dużo bym dała za takie kości policzkowe.

Tej nocy leżę w łóżku, nasłuchuję własnego przyspieszonego i spanikowanego oddechu, a dziecko bezustannie przewraca się w moim brzuchu jak ryba, więc nie mogę zasnąć. Szczypię się w biodra i ramiona. Jeśli jestem dostatecznie zajęta w dzień, potrafię ją uciszyć, ale w moich snach Nia wrzeszczy na mnie: *Spaślak, spaślak, spaślak*.

Spędzam przedpołudnie, wchodząc na wagę i schodząc z niej, a liczby napełniają mnie zimnym, niemiłym uczuciem. Staram się powtarzać sobie w kółko, że to dla dziecka, nie dla mnie, ale Nia nie zamierza tego słuchać. Odwracam wysokie lustro w sypialni do ściany, a łazienkowe zasłaniam ręcznikiem. Biorę prysznic tak szybko, jak potrafię, i staram się nie patrzeć w dół, ale wieczorem nie mogę tego uniknąć. Robię się olbrzymia.

Po tym incydencie z wagą idę do miasta okrężną drogą i wchodzę do starego sklepu charytatywnego. Zatykam nos, żeby nie czuć stęchłego zapachu starości, wybieram jakieś legginsy i kolejne długie, workowate T-shirty. Nie mierzę ich. Lustra sprawiają, że moje serce zaciska się tak mocno, że się boję, czy w ogóle się nie zatrzyma.

Kładę ubrania na ladzie, żeby zapłacić, i czekam na nieuniknione pytanie.

– Kiedy termin? – Kobieta za ladą z uśmiechem podaje mi resztę.

– W maju – mówię. I dodaję, zanim ona to zrobi pierwsza: – Już niedługo!

Kobieta z wielką torbą zabawek cmoka z niezadowoleniem, kiedy się odwracam, chcąc wyjść. Patrzy ze złością na mój brzuch i przepycha się koło mnie tak, że jakaś ostra krawędź drapie mnie w bok. Cofam się, jedną ręką instynktownie zasłaniam brzuch, zbyt zaskoczona, żeby coś jej powiedzieć. Słyszę, jak mamrocze coś o „pasożytach”, więc wychodzę ze sklepu i muszę się naprawdę postarać, żeby uspokoić oddech.

Po drodze do domu widzę siebie kątem oka w szybie wystawowej. Rozrastam się niepowstrzymanie, jakby wszystkie te gumki, którymi się ciasno obwiązałam, pękały jedna po drugiej i strzelały we wszystkich kierunkach, a ja wylewam się spomiędzy nich, tłusta i łakoma. Nawet mój pępek zaczął wystawać i wydaje się dziwaczny i miękki w porównaniu do reszty mojego ciała. Z trudem się zmuszam, żeby go dotykać.

Na wizycie u lekarki położnej zostaję zważona i podglądam liczbę, która zbliża się do wartości z moich najgorszych koszmarów.

*To dla dziecka. Zrzucę to wszystko w kilka tygodni.*

Nia nie jest przekonana. Czuję, że siedzi mi na ramieniu jak drapieżny ptak, kiedy schodzę z wagi.

– Jesteś trochę blada. Jak się czujesz? – pyta lekarka.

Nie mówię jej, jak bardzo się boję.

Natomiast dziecko jest szczęśliwe. I jest dziewczynką.

Podczas wizyty mam zrobione USG. Leżę i patrzę, jak dziecko tańczy w środku, a rytm jego serca błyska w ciemności.

– Jestem prawie pewna, że to dziewczynka, chociaż tego nigdy nie można zagwarantować tak na sto procent – mówi lekarka.

*Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam* – myślę.

Dziewczynka.

Ale czyja?

Kilka tygodni temu wszystko wydawało się całkiem proste, teraz jednak nie jestem już tego taka pewna.

Kiedy po całym dniu łażenia bez celu po mieście wracam do domu, ktoś czeka na mnie na korytarzu. To nie Robin. To ktoś, kogo nie byłam pewna, czy jeszcze zobaczę.

Tata z mamą praktycznie chowającą się za nim.

Stoję i patrzę na nich przez absurdalnie długą chwilę. W końcu otwieram drzwi i mówię:

– Yyy, cześć. Wejdziecie?

Tata wchodzi pierwszy, nadal jest w garniturze z pracy. Pracuje w firmie ubezpieczeniowej w Londynie. Zajmował się tym, odkąd pamiętam, co wiązało się z idiotycznie długimi godzinami pracy, półtoragodzinnym dojazdem w jedną stronę, mnóstwem przepracowanych weekendów i

wyjazdami zagranicznymi. Gdybym zsumowała cały czas, jaki spędziliśmy w jednym pokoju, od kiedy się urodziłam, chyba nie wyszłoby tego dużo.

– Cześć, kochanie – mówi i całuje mnie w policzek. – Wyglądasz naprawdę dobrze.

To zakodowana wiadomość: „Przytyłaś”.

Oddycham z syknieniem, jakby uderzył mnie w brzuch.

Mama rzuca mu jadowite spojrzenie, a potem patrzy na mnie i uświadamiam sobie, że pod tym całym makijażem jest okropnie zmęczona. A poza tym zdenerwowana, sądząc po jej dłoniach drgających na za dużym naszymniku. Przypominam sobie, co się stało, kiedy ją ostatnio widziałam.

– Herbata czy kawa? – pytam mocno lodowatym tonem.

– Poproszę kawę – mówi tata.

– Czajniczek herbaty? – dodaje w tym samym momencie mama.

– Jedna kawa i jedna herbata, zaraz będą. Nie mam czajniczka. Ani dzbanka na kawę. – Nie przepraszam za to.

Kiedy woda się gotuje, patrzę, jak mama i tata rozglądają się po mieszkaniu. Tylko tata widział je wcześniej raz, kiedy się tu wprowadzałam. Nie odważam się spojrzeć na twarz mamy, ponieważ wiem, co myśli o tym miejscu. Krzaczaste brwi taty marszczą się, zmrużonymi oczami patrzy na plamki grzyba w narożnikach pod sufitem. Chyba mruczy coś w rodzaju „Cholerny wstyd”, kiedy mieszam cukier w jego kawie, ale mama go ucisza.

– Powinnaś zrobić coś, żeby trochę zadbać o to miejsce. Powiesić porządne zasłony – mówi i wskazuje stare prześcieradła, które przypięłam nad oknami.

– Nie mam kasy – odpowiadam i wpycham jej w dłoń kubek herbaty.

Wymieniają spojrzenia, a ja próbuję zgadnąć, co to znaczy.

Tata odchrząkuje.

– Chcieliśmy z tobą porozmawiać o tej sprawie z dzieckiem. Widzisz, twoja matka uznała... – patrzy na mamę – uznaliśmy... cóż. Mama powiedziała, że zastanawiasz się nad adopcją. Nie jesteśmy pewni, czy chcemy się na to zgodzić. Nadal jesteśmy twoją rodziną i...

– Jesteście? – pytam.

– Tak, jesteśmy, czy ci się to podoba, czy nie. – Tata rzadko podnosi głos, więc się zamykam.

Zauważam, że mama nie patrzy ani na niego, ani na mnie, tylko na jakiś niewidzialny punkt wysoko na ścianie. Odnoszę wrażenie, że wstrzymuje

oddech. Ręce trzyma sztywno po bokach.

Tata stawia stopy szerzej i pochyla się do przodu, przybierając pozycję Mówię Serio.

– Uznaliśmy, że powinnaś wziąć pod uwagę, że twoja matka... że my... moglibyśmy zaopiekować się dzieckiem.

Przez moment nie potrafię nic powiedzieć, więc tata naciska dalej.

– To nasz wnuk i to nie w porządku, żeby poszedł do obcych ludzi.

– Ona – mówię.

– Słucham?

– Ona. Dziecko to dziewczynka. A ja jestem ciekawa: czy oboje podjęliście taką decyzję, czy tylko ty, mammo?

Tata waha się, ale kiedy mama rzuca mu spojrzenie, mówi:

– To nasza decyzja. Wspólna.

Poprawiam się na małym składanym krześle. Na kanapie nie ma miejsca dla nas wszystkich.

– Jakoś w to wątpię.

– To absurd myśleć o tobie samej w tym mieszkanku z dzieckiem – wybucha mama. – Powinnaś... – Zaciska mocno wargi.

– Chcielibyśmy, żebyś wróciła do domu, kochanie. Razem z dzieckiem – mówi tata.

– A co z Tammy? Nie boicie się, jaki to będzie miało na nią wpływ? – Nie staram się szczególnie ukrywać sarkazmu w głosie.

– Tamara to zrozumie – oznajmia tata.

Kątem oka widzę, że mama porusza się niespokojnie.

Przeszywa mnie nagły ból w klatce piersiowej, więc wydaję cichy dźwięk.

– Co się dzieje? Heddo? – pyta mama i podchodzi do mnie. Widzę niepokój w jej oczach i to sprawia, że ból staje się gorszy.

– Nic takiego. Jakaś zgaga – odpowiadam i wstaję. – Dziękuję. Za wizytę i za to, co powiedzieliście. Ja... zastanowię się nad tym.

Znają mnie na tyle dobrze, żeby się nie kłócić.

Ale po drodze do drzwi tata wpycha mi do garści czek.

– Zadzwoń, jakbyś tylko czegoś potrzebowała – mówi.

Kiedy wychodzą, rozwijam czek. Jest na pięćset funtów. Może jednak będę mogła kupić ten wózek dziecięcy.

Co jest do dupy w ośrodku

## Punkt 10.

### Terapia rodzinna, część 2

Oszukuję. To już jest na liście. Ale teraz cały czas myślę o jednym konkretnym spotkaniu, ostatnim, zanim mama zdecydowała, że to za dużo dla biednej Tammy, tuż przed wypisaniem mnie z ośrodka. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, to właśnie wtedy mama podjęła decyzję. Tammy czy ja. Wiadomo kogo wybrała: córkę, która nie była straconym przypadkiem.

Felicity znowu nas pitowała, próbowała nas skłonić, żebyśmy się otworzyli na Uczucia, Dynamikę Rodziny oraz skupili się na Roli Odgrywanej Przez Moją Anoreksję, a także przekonać, że to wszystko musi się zmienić, kiedy wrócę do domu, chociaż ja nie widziałam w tym sensu. Jeśli by mnie ktoś zapytał, mieliśmy pecha, a ja byłam taka, jaka byłam, ponieważ - tak po prostu, bo tak. To wszystko.

Tamtego dnia w ogóle przyszedłam na spotkanie dlatego, że zaledwie tydzień wcześniej był wieczór Listy, kiedy Molly i ja patrzyłyśmy na księżyc i prowadziłyśmy jedną z tych rozmów, jakie w ośrodku czasem pojawiają się znikąd.

- Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdę - powiedziała Molly.

- Mmm, no.

Odwróciła się do mnie i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Strasznie szczerze to zabrzmiało.

Nigdy nie słyszałam jej mówiącej takim tonem, nie do mnie.

- To znaczy?

Molly znowu popatrzyła na księżyc, który był ogromny i wisiał nisko na niebie, niezastonięty żadnymi chmurami.

- Wiesz, czasem myślę, że lubisz tutaj być.

- Jasne że nie!

- O, nie chodzi mi o jedzenie. Tylko... tutaj jest inaczej, prawda? Żadnej szkoty, żadnego martwienia się o egzaminy i o to, co mamy zrobić ze swoim życiem. Wszyscy ci ludzie krzątający się wokół nas, każący nam jeść,

zabierający nas na wycieczki.

- Takie jak ta do akwarium?

Molly roześmiała się. Akwarium było pomysłem jednej z wolontariuszek. Wszystko szło całkiem dobrze do chwili, gdy Charlotte, anorektyczka z Newcastle - rozsyłała nas po całym kraju, tam, gdzie jest wolne miejsce, więc nie widziała rodziców od kilku tygodni - nagle uznała, że żółwie przypominają jej o młodszym bracie i że tęskni za domem, po czym wpadła w histerię. Inni zwiedzający gapili się na nas, a ona zawodziła, siedząc na wózku inwalidzkim, my otaczaliśmy ją, wszystkie w sztykawkowych ponczach, a opiekunki trzepotały wokół.

- Tak, to była beczka śmiechu - powiedziałam.

Molly przygryzła z boku jeden króciutki paznokieć. To na pewno bolało, ale nic nie okazywała. Wycięła dziury w rękawach na wysokości nadgarstków, żeby wystawiać przez nie kciuki, ale ja wiedziałam, co ukrywa: rzędy blizn po cięciach, krzyżujące się jak ślady na desce do krojenia.

- Wiesz, co myślę, tak serio? Myślę, że jesteś tutaj, ponieważ się boisz.

- Skoro tak mówisz - mówię i zaczynam się śmiać, ale przestaję, widząc, że ona mówi poważnie. - Co, zmieniłaś się teraz w Felicity?

- To nie jest gra, Heddo! - mówi Molly, a jej blada twarz robi się czerwona.

- Wiesz, że możesz umrzeć. Umrzesz, całkiem niedługo, jeśli nie zaczniesz się ogarniać.

- No to co?

- No to co? Jesteś na to za dobra! Ot co. Popatrz tylko na siebie.

Muszę przyznać, że nie wyglądałam wtedy kwitnąco. Właściwie zbliżałam się już do docelowej wagi wyznaczonej dla mnie w ośrodku, ale zachorowałam na jakąś infekcję dróg oddechowych i nie mogłam się jej pozbyć, więc byłam zmordowana ciągłym kaszlem.

Molly mówiła dalej.

- Jesteś o wiele milsza, niż udajesz, Hed. Nie chciałybyś się stąd wydostać i czegoś zrobić?

- Na przykład co?
- Nie wiem! Cokolwiek. Co chciałabyś robić?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, i nagle uświadomiłam sobie, że nie wiem.

- Jeszcze nie jest dla ciebie za późno. Możesz mieć wspaniałe życie, pełne... pełne... nie wiem, najróżniejszych wspaniałych rzeczy. Naprawdę chcesz je spędzić w takich miejscach jak to?

- No a co z tobą?

- Nie mówimy o mnie. - Jej głos był stanowczy jak zamknięty sejf. Nie było mowy, żebym się kiedykolwiek dostała do środka inaczej, jak tylko na jej warunkach. Mimo to uwielbiałam ją, nie potrafiłam nic na to poradzić. - Nie chcesz wiedzieć, kim jesteś? Albo kim mogłabyś się stać?

Problem polegał na tym, że nie miałam pojęcia, kim jestem, jeśli nie liczyć Nii.

- No dawaj, coś musi być. Jedna rzecz, którą chciałabyś zrobić - naciskała.  
- Chciałaś kiedyś podróżować? Zobaczyć piramidy albo coś takiego?

- Nie zastanawiałam się właściwie nad tym - powiedziałam i ze zranionego spojrzenia, jakie mi rzuciła, odczytałam, że nie powinnam była używać tonu „nic-mnie-to-nie-obchodzi”, zarezerwowanego zazwyczaj na spotkania z Felicity.

- No to zacznij się zastanawiać - powiedziała Molly. Odwróciła się i uściskała mnie.

Podniosłam rękę i odwzajemniłam uścisk. Tuliłyśmy się do siebie przez chwilę, chociaż wiedziałam, że ona wyczuwa mój kręgosłup i żebra od tyłu.

- Pomogę ci na początek - powiedziała. - Zrobię listę. Dzięki temu będziesz miała się czym zająć, kiedy mnie już tu nie będzie.

Molly często mówiła podobne rzeczy, więc nie zwróciłam na to takiej uwagi, jak powinnam. Nie wiedziałam, że następnego dnia będę patrzeć, jak jej serce zatrzymuje się na podłodze w łazience.

Dlatego na tej terapii rodzinnej po śmierci Molly byłam chyba trochę wytracona z równowagi. Dobra, byłam wściekła. Wiedziałam, że to nie jest wina mamy, ale jakoś tak wyszło, że Felicity zadała pytanie, mama udzieliła nic niemówiącej odpowiedzi, a ja popatrzyłam jej prosto w oczy i zapytałam:



- Dlaczego dataś mi na imię Hedda?

- Przepraszam? - powiedziała mama z eleganckim akcentem mającym naśladować sposób mówienia królowej, co oznaczało, że przechodzi na pozycję obronne.

- Słyszataś. Serio chcę to wiedzieć. Mogłaś mnie nazwać Kate, Helen, Jane albo dać mi dowolne pospolite imię, ale nie zrobiłaś tego. Muszę się męczyć z Heddą i chciałabym wiedzieć dlaczego.

Tata poprawia garnitur - widziałam wyraźnie, że nie może się doczekać, kiedy stąd wyjdzie i wsiądzie do pociągu, żeby jechać do pracy.

- Cóż, opowiadaliśmy ci już o tym - powiedział. - Twoja matka i ja poznaliśmy się na spektaklu teatru studenckiego...

- Tak, wiem o tym. Że wpadłeś na nią w barze w antrakcie i całą resztę tej historyjki, bla-bli-bla. Chociaż, tak swoją drogą, rzucenie aktualnej dziewczyny, żeby spotykać się z mamą, dowodzi prawdziwej klasy. Mówię, jakby ktoś chciał wiedzieć. - Wyraźnie nikt nie chciał.

Tata udawał, że jest gdzieś bardzo daleko.

Mama była biała jak ściana.

Mimo to mówiłam dalej.

- Wiem, że ten spektakl to była Hedda Gabler, ale serio, oglądaliście w ogóle tę pieprzoną sztukę?

- Heddo. - W głosie Felicity pojawiła się ostrzegawcza nuta.

Tammy siedziała cicho, nie odrywała wzroku od dywanu. Trzymała w ustach kciuk, jakby miała trzy lata.

Ale ja? Ja się dopiero rozkręcałam.

- Bo ja ją przeczytałam. Hedda nienawidzi swojego życia. Nienawidzi swojego małżeństwa. Na koniec strzela sobie w głowę. Tak się zastanawiam, dlaczego mama wybrałaby takie imię dla swojej córki? No, chyba że może ty uważasz się za Heddę.

- To... - zaczęła mama.

- Uważam, że ją przypominasz. Uważam, że jesteś wściekła, bo nie możesz

pracować zawodowo, tylko spędzasz cały czas, polerując te głupie bibeloty i zapelniając zamrażarkę. Uważam, że nienawidzisz tego wszystkiego tak samo jak ja, tylko...

W tym momencie urwałam, ponieważ mama zerwała się na równe nogi. Nie patrzyła na mnie, tylko na Felicity.

- Te spotkania zdecydowanie nie służą mojej córce. Uważam, że nie ma sensu ich kontynuować. - Mówiąc „moją córkę”, mama zdecydowanie nie miała na myśli mnie. - Chodźmy, Tamaro.

Zaraz potem wyszły z pokoju, Tammy zdążyła rzucić mi jeszcze triumfalny uśmiezek, nie wyjmując kciuka z ust.

Tata wydawał się trochę zaszokowany, ale po kilku nieskładnych słowach poszedł w ich ślady.

- Ale był ubaw - stwierdziłam tak sarkastycznym głosem, jak tylko potrafiłam.

Zazwyczaj Felicity wytknęłaby mi to, powiedziała, że używam humoru jako mechanizmu obronnego czy coś w tym rodzaju, a ja bym się zaczęła z nią kłócić. Ale po śmierci Molly chyba żadna z nas nie miała do tego siły.

Popatrzyła tylko na mnie i oznajmiła:

- Hmm.

W jej głosie nie było zwykłego namysłu, poirytowania ani niczego takiego. Brzmiał po prostu smutno.

# ROZDZIAŁ 13

## JESZCZE SZEŚĆ TYGODNI

– Chcesz posiekać cebulę? – pyta Robin.

Znowu gotujemy, tym razem domowe curry, a na blacie leży otwarta książka *Gotowanie dla opornych*. Robin kupił sobie prawdziwy moździerz i tłuczek. Nie wiedziałam, że ludzie tego faktycznie używają, myślałam, że robią to tylko kucharze w telewizji. Tłucze coś energicznie, a ja patrzę na ścianę i boję się o reakcję sąsiadów.

Pachnie naprawdę przyjemnie.

Nia syczy mi ostrzegawczo do ucha.

Zaczynam siekać, ale po chwili Robin mówi:

– Trochę drobniej.

– Chcesz sam to zrobić? – pytam, machając nożem blisko jego klatki piersiowej.

Wycofuje się i udaje, że kuli się w kącie.

– Jak się teraz przyglądam, jest po prostu idealnie.

Oczy zaczynają mi łzawić od cebuli, więc przechodzę do części dziennej, żeby otworzyć okno. Kwiaty w skrzynce nadal rosą bujnie, czerwone i pomarańczowe. Nawet moje. Robin powiedział mi, kiedy je podlewać – wieczorem, żeby słońce ich nie spaliło – i to nieprawdopodobne, ale jeszcze ich nie zabiłam.

– Wiesz co, uwielbiam je – wołam do Robina mieszającego coś na kuchence.

– Kwiaty? Ja też. Babcia zawsze mówiła, że w życiu potrzeba trochę koloru.

Myślę o tym, co mama powiedziała o zasłonach.

– Naprawdę nie mam pojęcia, jak urządzać wnętrze – mówię później, siedząc przy rozchwianym stoliku.

Robin poprawia się na krześle.

– Jeśli chcesz, mogę ci pomóc z malowaniem – proponuje.

Przypominam sobie plamy farby na jego suficie.

– Naprawdę? Ale może nie na niebiesko.

Jeszcze jem. Udało mi się pokonać mniej więcej jedną trzecią, co chyba należy uznać za niezły wynik. Nie wiem tylko, w jakiej kategorii. Mam wrażenie, że Nii znowu wyrosły skrzydła i krąży nad moją głową. Zjadam jeszcze jeden kęs i wiem, że to wszystko, na co mnie stać. Tak czy inaczej wydaje mi się, że potrzebuję jakichś trzech litrów wody, żeby ochłodzić wewnątrz ust.

Dziecko w środku tańczy pogo, jakby nie mogło się doczekać, aż się wydostanie. Mały głuptas.

Przyciskam mocno dłoń do brzucha. *Przestań* – myślę. – *To i tak twoja pieprzona wina*. Ponieważ obwinianie dziecka o moją własną głupotę to na pewno rozsądne wyjście.

– Jasne, czemu nie. Chętnie pomogę – mówi Robin.

Kiedy sobie przypominam, o co mu chodzi, odpowiadam:

– Okej, dzięki.

Podejrzewam, że potrzeba jednak czegoś więcej niż tylko farby, żeby to miejsce przestało przypominać śmietnik.

– Nie zjesz już nic więcej? – pyta Robin.

Potrząsam głową. Mam wrażenie, że jedzenie utknęło mi u nasady gardła. Zmieniam pozycję, ale pochylenie się do przodu tylko pogarsza sprawę.

– DVD? – proponuje Robin. – Najwyższy czas, żebyś obejrzała pierwszy film.

To dlatego, że chyba mi się wymknęło, że DVD, które oglądałyśmy kiedyś w ośrodku, to było *Imperium kontratakuję* i że właściwie nie oglądałam pozostałych.

Godzinę później w końcu przestaję nerwowo przytupywać i zaczynam oglądać film.

Kiedy się kończy, Robin odwraca się do mnie.

– I co?

– No...

Na jego twarzy maluje się zawód.

– Nie podobało ci się?

- Nie, nie, podobało. Było bardzo... kosmiczne.
  - Kosmiczne? To wszystko?
  - Przypomnij mi, kim był ten starszy gość?
  - Obi-Wan. Zaraz, ty w ogóle nie uważałaś, tak?
  - Przepraszam... jestem trochę roztargniona.
- Robin potrząsa głową, ale się uśmiecha.

Następnego dnia idziemy do miasta i w dużym dyskoncie kupujemy farbę, zasłony i chodnik. Upieram się przy białej farbie, ponieważ jest najtańsza, ale Robin zmusza mnie, żebym kupiła także kolorową reprodukcję ze słonecznikami.

Resztę przedpołudnia spędzamy, mażąc farbą po ścianach. Mamy nią pobrudzone włosy i ramiona. Potem Robin bierze nową wiertarkę, którą kupił, i śmieje się jak maniakałny morderca, zanim naciśnie włącznik. Porusza przy tym brwiami tak, że nie mogę się nie zacząć śmiać.

Kilka podejść i jakieś czternaście „próbnych” dziur, później zasłony i reprodukcja wiszą na swoich miejscach, najwyżej odrobinę krzywo. Wnętrze wydaje się czystsze, mniej przygnębiające. Słońce pada na świeże, białe ściany. Przecieram szyby w oknie, cały czas kątem oka obserwując karnisz na wypadek, gdyby miał zlecieć mi na głowę, ale trzyma się na miejscu.

Jeśli się spojrzy poza park i osiedle, widać w oddali krawędź lasu i wzgórze, wyraźne i zielone w świetle słońca. Unoszę ręce do oczu i robię ramki, żebym mogła udawać, że mieszkam na wsi, a nie na którymś piętrze w wysokim bloku.

Robin rozwija chodnik, jaskrawoniebieski w małe kremowe kwadraciki. Plecy zaczynają mnie boleć i podczas chodzenia czuję uporczywy, kłujący ból w dole miednicy, ale jestem przyzwyczajona do tego, że coś mnie boli. Mimo wszystko kładę rękę na kręgosłupie.

- Daj, pozwolisz? – Robin staje za mną i przyciska mi kciuki do krzyża.

Wydaję jęk, ponieważ to boli.

- Zrelaksuj się – mówi Robin.

Nadal naciska dłońmi i robi nimi kółka.

Ból powoli mija, a ja odwracam się i uśmiecham z wdzięcznością. Patrzymy na siebie.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? – pytam. Bez podejrzliwości czy ironii. Naprawdę chcę to wiedzieć.

– Ponieważ potrzebujesz pomocy, a ja cię lubię i mogę coś zrobić – odpowiada Robin.

– Nie potrzebuję, żeby ktoś mnie żałował.

– Kto powiedział, że ja cię żałuję?

Ale jego twarz mówi co innego i przyjemne uczucie rozplywa się bez śladu. Słyszę echa głosu Felicity, przypominam sobie wyraz jej twarzy, kiedy powiedziała, że staję się zawodową anorektyczką. Może odpycham od siebie ludzi, nie pozwalam im się zbliżyć.

Myślę o notesie wepchniętym do szafki przy łóżku, w którym mam listę wszystkich rzeczy, jakie były do dupy w ośrodku. Kiedy zaczęłam ją spisywać w tych cichych, przerażających pierwszych tygodniach tutaj, nie przypuszczałam, że mi się uda. Pomyślałam, że własna lista pomoże mi pamiętać. Pomoże mi dotrzymać obietnicy danej Molly, że tam nie wrócę. Nie wiem. Ale im więcej pisałam, tym bardziej się zastanawiałam. Czy w szpitalu było tylko źle? Nie, nie zawsze. Nie zawsze.

Po wyjściu Robina znowu oglądam wideoblog tamtej anorektyczki i wchodzę na wagę.

Potem czytam w internecie kolejne historie adopcyjne, próbuję się zastanowić nad tym, co zamierzam zrobić, i uświadamiam sobie, że naprawdę nie wiem. Ale uporczywe ruchy dziecka przypominają mi bezustannie, że nie mogę odkładać tego w nieskończoność.

Biorę komórkę i wybieram numer Joanny.

Spotykamy się następnego dnia w Starbucksie w centrum. To był mój pomysł, żeby umówić się w neutralnym miejscu, zamiast w biurze Joanny albo u mnie w mieszkaniu. Na szczęście w dzień powszedni jest tu niedużo ludzi.

Joanna ma na sobie nieśmiertelne dzinsy i tunikę.

Zamawia herbatę ziołową, a ja z trudem powstrzymuję krzywy uśmiech. Dlaczego pracownice pomocy społecznej zawsze piją ziołową herbatę? Napar pachnie jednak bardzo przyjemnie, postanawiam więc wziąć to samo, co okazuje się błędem, ponieważ nie smakuje tak, jak pachnie. Odsuwam kubek na bok.

– No więc... – zaczyna Joanna.

Ma ze sobą ogromną torbę, ale na szczęście nie wyciągnęła jeszcze żadnych notatek.

– No więc – odzywam się.

Joanna czeka, a milczenie ciągnie się w nieskończoność.

Nie wiem, od czego zacząć, w końcu mówię:

– Nie wiem, od czego zacząć.

Joanna kiwa głową.

To jest nieznośne. Gorsze od spotkań z Felicity.

– Chyba zmieniłam zdanie – wypalam.

Joanna starannie odstawia kubek.

– Słucham – zachęca.

– Może... może... nie wiem. Nie jestem już niczego pewna – mówię. – Rodzice niedawno mnie odwiedzili. Zaproponowali, że mogą adoptować dziecko. Tata powiedział, że to także jego pomysł, ale przecież to nie on się będzie nim zajmował, prawda? Powiedzieli, że powinnam wracać do domu.

– To byłaby jakaś możliwość. Co o tym myślisz? – pyta Joanna.

– Myślę, że to się nie uda. Mama tak naprawdę mnie tam nie chce. Nie wyobrażam sobie, żeby dziecko ułatwiło stosunki między nami.

– Nie mogę podjąć decyzji za ciebie, Heddo. Ale powinnaś wiedzieć, że moim naczelnym priorytetem jest dobro dziecka. Zatrzymanie go jest potencjalną możliwością, muszę jednak mieć pewność, że będziesz dobrą matką. Uważasz, że jesteś do tego zdolna?

– Szczerze? Nie wiem. Co to znaczy być dobrą matką? Jak to powinno wyglądać? – Mówię bardziej do siebie niż do niej.

Następuje chwila ciszy.

Joanna dmucha na swój kubek i czeka.

– Może powinnam się spotkać z tą parą – proponuję. – To mogłoby mi pomóc w podjęciu decyzji.

– Na tym etapie to nie byłby najlepszy pomysł – odpowiada Joanna.

– Dlaczego nie? – W moim głosie dźwięczy nuta paniki.

– Czy to cię niepokoi?

– No jasne. Muszę wiedzieć więcej o... Muszę mieć... – Urywam. Kontrola. Chciałam powiedzieć „mieć kontrolę”. Od kiedy dowiedziałam się o dziecku, wszystko wymknęło się spod kontroli, a ja chciałam ją odzyskać.

Kończymy spotkanie bez rozstrzygnięcia, tylko to uczucie nagiej paniki wydaje się rosnać tak samo szybko jak dziecko. Czuję się dalsza niż kiedykolwiek od podjęcia jakiegokolwiek decyzji, a czas mi się kończy.

Po spotkaniu z Joanną muszę iść na zajęcia szkoły rodzenia. Nie jestem zachwycona tą perspektywą. Mam podejrzenia, że zobaczę mnóstwo dumnych brzuchów i przyszłych tatusiów, a wszystkich rzucających mi spojrzenia mówiące, że nie powinno mnie tu być. Że w odróżnieniu od nich, mój brzuch to koszmarne pomyłka.

Moje życie wydaje się cyklem spotkań. To chyba rzeczywiście jakiś zawód.

Siedzę w sali z innymi ciężarnymi, jako jedyna bez osoby towarzyszącej, i myślę o wszystkich ludziach zamieszanych w moje życie: pracownica pomocy społecznej, terapeutka, położna, lekarka. Mama i tata. Robin. Laurel i Molly. Ale ich wszystkich jak mur fortecy otacza Nia. Ponieważ nawet jeśli ci wszyscy ludzie uczestniczą w moim życiu, Nia jako jedyna jest teraz tutaj ze mną, nawet jeśli mogę za to obwiniać tylko siebie.

Dwa rzędy ode mnie dziewczyna mniej więcej w moim wieku siedzi obok kobiety, która pewnie jest jej mamą. Jak widać, nie tylko ja jestem tu pomyłką. Pochylają się do siebie i śmieją z czegoś, co oglądają na komórcie dziewczyny.

Dziecko napiera mi na żebra, więc pochylam się na bok i opieram rękę na sąsiednim pustym krześle.

Szkoła rodzenia to chyba jedna z najstraszniejszych rzeczy, jakich doświadczyłam. Położna puszcza po sali narzędzia, które mogą być wykorzystywane przy „porodzie wspomaganym”, a kleszcze wyglądają jak coś używanego w średniowieczu. W sali tortur. Jedna kobieta robi się biała. Partner pomaga jej wyjść z sali.

Inna pyta o poród naturalny. Patrę na nią jak na wariatkę, ale wszystkie pozostałe z zapalem kiwają głowami. Jedna robi notatki, jakby przepchnięcie gigantycznego dziecka przez nieprawdopodobnie ciasny otwór miało być egzaminem, który zamierza zaliczyć na szóstkę.

Kobieta, która mało nie zemdląła, człapie z powrotem na miejsce, a ja gapię się na nią. Znaczący, zakładam, że reszta ludzi tutaj (jeśli nie liczyć dziewczyny z mamą) faktycznie to zaplanowała. To dziwne, że teraz sprawiają wrażenie tak zszokowanych.

Wyłączam się podczas wykładu o karmieniu piersią; nie ma mowy, że bym to robiła.

W drodze do wyjścia mijamy następną grupę usiłującą powymijać się nawzajem nowiutkimi wózekkami i powodującą korek. Jedna kobieta siada



po turecku na podłodze, podciąga bluzkę, odsłania ogromną, pokrytą żyłkami pierś, i przyciska do niej dziecko. To jak kraksa samochodowa, od której nie można oderwać wzroku.

– Witam ponownie!

Potrzebuję chwili, żeby umiejscowić w pamięci tę kobietę z kręconymi włosami, ponieważ wygląda, jakby się postarzała jakieś dziesięć lat, ale potem przypominam sobie Lois z poczekalni w przychodni. Miałam zamiar wysłać jej esemesa, ale właściwie nie wiedziałam, co napisać. Trzyma na ręku malutkie, pomarszczone niemowlę, jakby robiła to od zawsze.

– To jest Ethan – mówi, a gdy patrzy na niego, jej twarz mięknie i wydaje się jednocześnie jeszcze starsza i w jakiś sposób pełna światła.

– Jest śliczny – mówię, chociaż to właściwie nie jest prawda. Wydaje się jakiś pognieciony z tymi podwiniętymi nóżkami i intensywnie czerwoną buzią.

Zanim zdążam coś powiedzieć, inna kobieta, z idealnie wyprostowanymi włosami, manikiurem i koszmarnie brzydkim niemowlakiem wita się z Lois.

Lois odwzajemnia uśmiech, który wydaje mi się lekko wymuszony.

– Jak sobie radzi? Zaczął już więcej spać? – pyta kobieta.

Lois wydaje nieokreślony pomruk.

Kobieta gada dalej.

– Chloe ostatniej nocy spała od dziesiątej do siódmej, prawda, kochanie? – Uśmiecha się do łysego niemowlaka.

Lois z trudem utrzymuje uśmiech, a ja widzę na twarzy tamtej kobiety leciuteńki wyraz satysfakcji. Mnie nie zaszczycą choćby jednym spojrzeniem.

– Muszę koniecznie iść do toalety. Możesz go potrzymać? – mówi mi do ucha Lois i zanim zdążam wymyślić jakąś wymówkę, wpycha mi Ethana w ramiona i znika.

Zamieram. Ethan się wierci, więc przytrzymuję go mocniej i gorączkowo zastanawiam się, co robić. Otwiera oczy, które wydają się naprawdę inteligentne, jakby wiedział, co się dzieje. Na pewno wie, że nie jestem jego mamą, ponieważ jego malutka buzia wykrzywia się, otwiera usta, odsłaniając bardzo różowe dziąsła – i wrzeszczy.

*No nie.*

– Cśśśś – mówię i próbuję go trochę kołysać, ale to go chyba tylko bardziej irytuje.

Wierci się teraz, machając rączkami na boki. Jestem pewna, że zaraz go upuszczę.

– Ojej, co to za zamieszanie? – Lois pojawia się, bierze Ethana, układa go sobie na ramieniu i klepie po plecach.

Mały się uspokaja.

– Przepraszam – mówię. – Nie bardzo sobie radzę z... Nigdy wcześniej żadnego nie trzymałam. Znaczą, dziecka.

Jestem czerwona jak burak, ale nie mogę się doczekać chwili, gdy stąd wyjdę, ucieknę daleko. Przydałby mi się taki statek kosmiczny jak w *Gwiezdnym wojnach*.

Dlaczego myślałam, że będę się mogła opiekować dzieckiem? Nie potrafię go nawet trzymać prawidłowo.

Kobiety zaczynają wchodzić na kolejne zajęcia.

Lois macha do mnie lekko.

– Powodzenia! Do zobaczenia po drugiej stronie – mówi. Potem zniża głos i podchodzi do mnie. – Wiem, że dobre rady są nieznośne, ale jeśli chcesz wysłuchać jednej ode mnie: poproś o znieczulenie zewnątrzoponowe.

Po tym, czego się dowiedziałam na zajęciach, wbicie mi ogromnej igły w kręgosłup nie brzmi aż tak źle, jeśli oznacza, że potem nie będę już niczego czuła.

– Miałam taki zamiar – mówię słabo, kiedy Lois znika w sali.

Szkoda, że nie można dostać znieczulenia na życie.

Chyba że będziemy liczyć Nię.

Co jest do dupy w ośrodku

Punkt II.

Wyjście

W szpitalu żyje się właściwie dniem bieżącym. Spędzasz czas, narzekając na to, że porcje są za duże, a waga docelowa zbyt wysoka. Plotkujesz o tym, jak nieznośny jest personel albo kto się komu podoba. Chodzisz na terapię i na lekcje. Raz w tygodniu spotykasz się z psychiatrą i narzekasz na terapię rodzinną. Wymyślasz sposoby na oszukanie systemu, żeby udawać, że ważysz więcej niż w rzeczywistości. To cały świat, który dobrze znasz.

A potem osiągasz wagę docelową, zostajesz wypisana i nagle znajdujesz się w innym świecie, zewnętrznym, w którym masz funkcjonować, mieć plany i tak dalej, podczas gdy możesz myśleć tylko o tym, że chcesz być znowu bezpieczna. Że chcesz wrócić tam, gdzie obowiązują jasne zasady. Parszywe zasady, to jasne, zasady, na które narzekasz, ale też, co dziwne, zaczynasz je kochać.

Może Molly miała rację. Może lubiłam być w ośrodku.

Czasami.

# ROZDZIAŁ 14

## JESZCZE CZTERY TYGODNIE

Przez kilka dni po zajęciach w szkole rodzenia nie spotykam się z Robinem. Zamykam się w mieszkaniu i tak jakby pozwalam, żeby zwyciężyło przerażenie. Niewiele jem. Jednej nocy śni mi się, że pożeram ogromną figurkę z czekolady, tak jak te bałwanki, które dostaje się na Gwiazdkę, ale uświadamiam sobie z mdlącym uczuciem, że to dziecko. Chociaż staram się z całych sił, nie mogę przestać go jeść. Z kąta pokoju obserwuje mnie Molly z całkowicie białą twarzą, tak jak wtedy w łazience.

– Musisz wybrać – mówi.

Budzę się drżąca i spocona, z okropnym bólem ściskającym mnie w boku, i nie mogę już zasnąć. Czytałam o tym. To są skurcze Braxtona Hicksa, i to mi przypomina, że poród jest już idiotycznie blisko.

Nagle zaczynam się czuć okropnie zmęczona i to dziwne, ale tęsknię za mamą. Chcę, żeby przyszła i powiedziała, że wszystko już dobrze, tak jak wtedy, gdy byłam mała. Chcę, żeby się mną zaopiekowała, powiedziała, co mam robić.

Ubieram się i wychodzę, chociaż jest dopiero szósta rano. Nie zatrzymuję się do samego domu. To znaczy, do domu mamy, taty i Tammy.

Pukam do drzwi. Mija dłuższa chwila, zanim się otwierają, i zamiast mamy stoi w nich Tammy w puchatych kapciach i szlafroku. Jej zazwyczaj idealnie lśniące włosy trochę sterczą na boki, a na podbródku ma trzy pryszczki. To przewrotnie poprawia mi nastrój.

– A, to ty. Cześć – mówi i patrzy na mnie spod grzywki.

Podejrzewam, że zapuściła ją, żeby ukryć trądzikowe krostki, które widzę pod spodem.

– Mogę wejść?

Wchodzimy i siadamy w salonie.

– Chcesz, żebym zawołała mamę? – pyta Tammy, a jej głos jest uprzejmy,

jakbym była wężem, który może zaraz ugryźć.

Nie może przestać patrzeć na brzuch, szczególnie gdy dziecko się przewraca i jedna strona robi się większa. To boli. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad brzuchami ciężarnych i nadal szokuje mnie to, jak twarda i napięta jest moja skóra. Poza tym dziecko ani na chwilę nie przestaje się ruszać. Nie mogę leżeć na brzuchu, bo to fizycznie niemożliwe, ani na plecach, ponieważ wtedy się czuję, jakby brzuch miażdżył mi płuca. Muszę spać na boku jak wieloryb wyrzucony na plażę. Dziecko napiera mocno na moją rękę leżącą na brzuchu, jakby chciało mnie odepchnąć. Albo zamierzało wyjść bezpośrednio przez skórę. Wydaje mi się, że jest na to dość silne. Po raz tysięczny staram się nie myśleć o porodzie ani o tym, co może być później.

– Chcesz dotknąć? – pytam Tammy.

Podchodzi, spogląda nieśmiało i waha się.

– Wszystko okej – mówię. – Połóż tutaj rękę.

Tammy przyciska jedną rękę do mojego brzucha, a dziecko ją kopie.

Tammy podskakuje chyba na kilometr i zaczyna się śmiać. Znowu kładzie rękę i pochyła się tak, żeby zbliżyć do niej usta.

– Cześć, jestem ciocia Tammy!

Łzy napływają mi do oczu. Tammy zauważa, że ucichłam i patrzy na mnie pytająco zza tych swoich długich rzęs. Chwilę później zakłęcie rzucone na nas przez dziecko pryska, ponieważ do pokoju wchodzi mama.

– Hedda! – mówi.

Trudno powiedzieć, czy cieszy się na mój widok, czy też nie.

Tammy wstaje i idzie do kuchni.

– Co tu robisz? – pyta mama.

– Właściwie nie wiem. Chyba po prostu chciałam cię zobaczyć.

Coś w wyrazie twarzy mamy łagodnieje. Patrzy na brzuch.

– Też chcesz dotknąć? – pytam.

Mama przyciska rękę i jej wzrok robi się bardzo odległy. Na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

Chcę mieć maszynę czasu albo coś w tym rodzaju. Chcę, żeby ostatnie pięć lat w ogóle się nie wydarzyło, żeby ktoś je zabrał.

– Pamiętam, że kiedy byłam w ciąży z tobą, okropnie się wierciłaś – mówi mama. – Nie zapomnę tego uczucia, jak kopałaś mnie prosto w zębra.

– Tak, czasem czuję, jakbym mnie coś zgniatało.

– Tak to jest z dziećmi – przyznaje mama, a ja znowu czuję chłód.

– Podjęłaś już decyzję? – pyta. – Nie masz już wiele czasu.

Wydawało mi się, że podjęłam decyzję, idąc tutaj, ale teraz, kiedy siedzę z nią w jednym pokoju, wydaje mi się, że nie zdołam tego powiedzieć. Nie zapytam, czy mogę wrócić.

– Ktoś ma ochotę na tosta? – woła Tammy z kuchni.

– Już jadłam – wołam w odpowiedzi.

Kłamstwa wracają tak gładko, że prawie tego nie zauważam.

Mama patrzy na mnie bardziej surowo.

– Wydajesz się inna.

– Owszem, noszenie w brzuchu całej ludzkości tak wpływa na człowieka.

– Nie mogę się powstrzymać przed tą odpowiedzią, ale obie wiemy, że nie o to jej chodziło.

Patrzemy na siebie przez dłuższą chwilę, a ja się zastanawiam, co ona czuła, kiedy była ze mną w ciąży. Jakie nadzieje i marzenia wiązała ze mną, a jakie ze sobą. Możliwe, że już dawno nie byliśmy tak blisko jak w tej chwili, chociaż się nie odzywamy. Oczy mamy lśnią jaśniej, jej wzrok wydaje się sięgać poprzez czas i poruszać wspomnienia, rozmyte i niewyraźne, ponieważ zasłoniły je wszystkie te rzeczy, które przysły później.

Tammy wraca z masłem orzechowym na toście i właśnie zaczyna jeść, kiedy mama otrząsa się z zamyślenia.

– Tamaro, okruchy! – mówi.

To tak, jakby ktoś wcisnął przycisk i chwila zniknęła. Czuję, jak się wyłączam.

Podnoszę się ciężko, żeby pójść za Tammy do jadalni, i w tym momencie to się dzieje. Czuję z tyłu silne uczucie napierania, jak najgorszy skurcz, a potem wody mi odchodzą prosto na nowy dywan mamy.

**CZĘŚĆ  
TRZECIA**

# **LICZENIE OD NOWA**



# ROZDZIAŁ 15

Anoreksja boli. Głodzenie się nie jest przyjemne. Kiedy twoja waga staje się dostatecznie niska, wszystko cię boli, przez cały czas. Robi ci się tak zimno, jakby twoje kości były z lodu. Włosy ci wypadają, a skóra wysycha na milion małych pęknięć. Na plecach rosną ci włosy. Stawy wydają się zardzewiałe. Masz wrażenie, że mózg ci zamarza. Nawet poduszki są za twarde, żeby na nich siedzieć, tak bardzo wszystko cię boli.

Poród boli bardziej.

Wrzeszczę podczas skurczów, zasysam przez maskę tlenową gaz i powietrze, ale to kompletnie nie pomaga na ból. Słabnie po całej wieczności.

– Gdzie jest, kurwa, to znieczulenie – dyszę.

Mama nie zwraca mi nawet uwagi za przekleństwa, co oznacza, że musi być źle.

Położna wydaje kojące dźwięki.

– Już niedługo. Anestezjolog zaraz tu będzie...

Znowu wrzeszczę, bo przychodzi kolejny skurcz. Myliłam się – tamte kleszcze to nie były tortury. To jest tortura. Kolejne skurcze nadchodzą bezustannie jak fale na morzu. Klęczę teraz, ściskając boki łóżka, a oczy mam puste z przerażenia. To wszystko dzieje się za szybko, nie jestem gotowa i próbuję to powiedzieć, ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów.

– Napij się, skarbie – mówi mama i wpycha mi słomkę do ust.

Przełykam wodę, a potem znowu gaz i powietrze, gdy nadchodzi kolejny skurcz i wydaje mi się, że oszaleję z bólu. Może już nie żyję. Szarpnię koszulę, którą na mnie założono, ciągnę się za włosy, kompletnie nad niczym nie panuję.

Nagle czuję nieznośny przymus, jakbym wzięła sto tabletek na przeczyszczenie, tyle że nie z tyłu.

– Chyba prę! – sapię.

Mama jest gdzieś przy mojej głowie. Słyszę jej głos dochodzący z daleka, kojący, przerażony.



Masuje mi plecy, ale gwałtownie poruszam ramionami.

– Nie dotykaj mnie!

Przesuwa rękę, ale kiedy odwracam głowę w bok, nadal przy mnie jest. Zaciskam oczy, gdy przychodzi kolejny potężny skurcz, i czuję koszmarnie tarcie gdzieś w rejonie miednicy. Odchylam głowę do tyłu i wyję, jakbym była zwierzęciem.

Tracę rachubę, ile czasu pcham. Czas to coś z innej planety. Nie ma nic poza mną i bólem, a jedyną nicią trzymającą mnie przy zdrowych zmysłach jest głos mamy, powtarzający, że wszystko okej, że radzę sobie bardzo dobrze.

Ale nie radzę sobie dobrze. Jestem okropnie zmęczona. Mam wrażenie, że całą wieczność jestem w tym gabinecie. Położna przewraca mnie na bok, a ja płaczę pomiędzy falami parcia, przełykając gaz i powietrze.

Słyszę z daleka głos mamy:

– Nie można by jej czegoś dać?

– Jest już za późno na znieczulenie zewnątrzoponowe – odpowiada położna.

– No. To. Dajcie. Mi. W. Łeb – cedzę przez zęby.

Potem otwieram usta i wyrywa się z nich dźwięk, niski zwierzęcy ryk, donośniejszy niż jakikolwiek głos wydany przeze mnie w życiu. Na dole czuję przeokropne pieczenie.

– Spokojnie, widać główkę. Teraz na chwilę przestań przec. Spokojnie. Oddychaj głęboko. Dobra robota. Dzielna dziewczyna – mówi położna.

– Nie dam rady, nie dam rady, nie dam rady – szlocham.

– Owszem, dasz. O, sama dotknij. – Wciąga moją rękę między moje nogi, a ja natrafiam na coś przedziwnego, miękkiego i gorącego.

*O Boże* – myślę, ale w tym momencie przychodzi następny skurcz.

– Przyj! – mówi położna.

Robię to, wszystko we mnie strzela, nade mną unosi się twarz mamy, mokra od łez.

– No, dalej, Heddo.

Patrzę mamie w oczy, prę i prę, wrzeszczę, a potem nagle coś się rusza i zwalnia, a ból znika. Opadam na poduszki.

Położna trzyma coś małego i szarego, a ja właśnie to zauważam, podobnie jak fakt, że z jakiegoś powodu nie mam nic na sobie, gdy położna kładzie mi to na piersi. Dziecko jest bardzo ciepłe i pasuje do miejsca na moich żebrach,

jakby zawsze tam leżało.

Ale nie płacze.

– Ona nie płacze. Dlaczego nie płacze? Czy wszystko z nią dobrze? – pytam i odchylam głowę do tyłu, żeby się jej przyjrzeć.

Położna wyciera plecki dziecka ręcznikiem, a po chwili, która trwa w nieskończoność, dziecko odwraca główkę na bok, bierze głęboki oddech i otwiera oczy.

Czuję w środku najcichsze kliknięcie.

– Cześć – mówię.

Patrzy na mnie. Jej oczy są pełne tajemnic, jakby wróciła z długiej podróży. W pokoju panuje dziwna cisza, wypełnia go jakaś starożytna magia.

Położna pyta, czy chcę przeciąć pępowinę, ale potrząsam głową. Nie mogę poruszyć rękami, zmienić ich ułożenia, które same przyjęły, obejmując odruchowo dziecko. Chyba robi to mama.

Potem położna mówi coś o łożysku i kolejnych skurczach, ale ja prawie nie zwracam na to uwagi, ponieważ nadal patrzymy na siebie z dzieckiem.

Kiedy położna zabiera ją, żeby ją zważyć, puste miejsce wydaje się zimne. Zaczynam się cała trząść. Kiedy zostaje zważona i zbadana, znowu kładą ją na mnie. Jest mała – dwa i pół kilograma – ale dobrze rozwinięta, biorąc pod uwagę, że pojawiła się tak wcześnie.

– Chcesz spróbować karmienia piersią? – pyta położna.

Ku własnemu zaskoczeniu zgadzam się.

Dziecku nie idzie to najlepiej. Tak jakby wysuwa język i chowa go z powrotem raz za razem. Szczerze mówiąc, to trochę szokujące.

– Nauczy się – mówi położna.

– Jestem z ciebie taka dumna – odzywa się mama, pochyla się nade mną i całuje mnie w policzek.

To uczucie jest tak znajome, a jednocześnie tak odległe jak echo.

Mama kołysze dziecko, podczas gdy położna pomaga mi przejść do łazienki i wejść pod prysznic, żebym mogła się umyć. Potem układa mnie do łóżka i znowu kładzie mi dziecko na piersi.

Teraz mała zaczyna płakać. Jej buzia otwiera się i zamyka jak u ryby.

Znowu i znowu próbuję ją karmić, ale nic z tego nie wychodzi.

Trochę później przychodzą tata i Tammy. Jestem już na oddziale, otoczona płaczącymi niemowlakami i długimi sygnałami dzwonek wzywających

pielęgniarki. Jestem wykończona. Dziecko leży w małym łóżeczku obok mojego łóżka. Ciągle jeszcze nie zjadło porządnego posiłku.

Ja zjadłam pół kawałka tosta i wypłam kubek herbaty, do którego mama uparła się wrzucić dwie kostki cukru. Wypłam to, żeby sprawić jej przyjemność, ale okno na drugim końcu sali jest otwarte, a za nim, daleko stąd, wydaje mi się, że słyszę Nię przemykającą po niebie wypakowanym warstwami białych chmur. *Miałyśmy umowę* – wydaje się mówić.

Odwracam głowę od chmur, żeby znowu popatrzeć na dziecko.

– Mała lalczka – mówi tata i wygląda na bardzo dumnego.

– Mogę jej dotknąć? – pyta Tammy, a ja kiwam głową.

Tammy wyciąga rękę do rączki dziecka, które otwiera oczy i zaciska piąstkę na jej palcu.

– Czy ma już imię? – pyta Tammy.

– Jeszcze nie.

Nie wiem nawet, czy to ja mam nazwać dziecko.

Wygodnie przesypiam porę obiadową, ale zjadam małą miseczkę owsianki, którą mama wyciągnęła dla mnie z kuchni. Podczas jedzenia obserwuje mnie jak jastrząb. Prawie jak za dawnych czasów.

Dziecko cały czas śpi. Najwidoczniej urodzenie się jest okropnie męczące.

Tuż przed końcem godzin odwiedzin przychodzi Robin. Kiedy proszę mamę, żeby do niego zadzwoniła, widzę, że umiera z ciekawości, czy to on jest ojcem, ale nie mam siły na tę rozmowę.

– Cześć – mówi Robin, podchodząc do mnie. Przyniósł kwiaty, malutki bukietik białych róż. – Babcia mówiła mi, że to na nowy początek.

– Wierzę na słowo – odpowiadam z uśmiechem.

Mama wkłada je do wazonu, a ja mam właśnie zapytać, czy podlewał moją skrzynkę za oknem, kiedy Robin pochyła się nad łóżeczkiem i wygląda, jakby ktoś go uderzył w splot słoneczny.

– Jest prześliczna – mówi, uśmiecha się, a ja zaczynam się zastanawiać, czy wyobraziłam sobie to spojrzenie, czy też jestem jeszcze na prochach.

Przedstawienie go mamie i tacie jest trochę krępujące, bo wcześniej się nie poznali, ale Robin szybko wciąga tatę w dyskusję – nie uwierzycie – na temat krykieta. Przynajmniej mama orientuje się od razu, że Robin nie może być ojcem, skoro dziecko jest takie jasne, więc nie muszę odbywać z nią szeptanej dyskusji na ten temat.

Odwracam się do dziecka.

– Naprawdę myślę, że trzeba jej znaleźć imię – mówi mama.

– A może Rose? – pyta Tammy, patrząc na kwiaty.

Powtarzam je w myślach. Wydaje mi się, że pasuje.

– Rose – mówię.

W środku nocy budzi mnie płacz Rose. Próbuję przystawić ją do piersi, ale nadal nie umie ssać, a położna zaczyna się niepokoić. Jestem bliska łez ze zmęczenia, z szoku i miliona innych powodów, ale przede wszystkim chcę spać. Rose nadal płacze, a ja czuję przebłysk ohydnej irytacji.

– Czy mam ją zabrać na trochę i dać jej butelkę? – pyta położna. – Powinnaś odpocząć.

Wiem, kiedy przyznać się do porażki. Kiwam głową.

Kładę się z ulgą, podczas gdy położna zabiera Rose. Jej płacz cichnie.

Śpię jeszcze trochę, ale potem budzę się i zastanawiam, gdzie jestem.

Wtedy sobie przypominam.

Rose.

I Nia.

Rose.

Nia.

Nia.

Znajoma obecność wypełnia salę, unosi się pod sufitem, obserwuje mnie. Jest spokojna, jakby wiedziała, że jej czas już prawie nadszedł.

Czuję ją, jak zmienia kształt, staje się czymś materialnym.

Wróciła.

# ROZDZIAŁ 16

## DRUGI DZIEŃ

Następnego dnia rano położna przynosi mi Rose. Przytulam ją na trochę, a skoro mam zajęte ręce i nie mogę jeść śniadania, przegryzę coś później.

Nia trzepie skrzydłami z aprobatą.

– Najprawdopodobniej wypiszemy cię dzisiaj po południu – mówi położna.

– Jest pani pewna? – pytam.

Tak naprawdę chcę ją przytrzymać i zapytać: „Naprawdę? Naprawdę pozwalacie mi stąd wyjść razem z nią?”. A także: „Nie wypuszczajcie mnie stąd razem z nią. Nie wiem, co mam robić”.

Rose jest taka drobna. Wcześniej nie miałam pojęcia, że to może być wada, ale jest.

Mama poszła na zakupy i przyniosła mi trochę drobiazgów – malutkie dziecięce kaftaniki i śpioszki, pieluchy, kocyki. Ponieważ, oczywiście, nie mam niczego takiego, a najwyraźniej na oddziale położniczym oczekują, że przyniesiesz własne pieluchy. A także własne podpaski. Nikt ci nie mówi, ile będziesz krwawić po porodzie. To prymitywne, obrzydliwe i sprawia, że znowu mnie mdli.

Rose zasypia, a ja obserwuję ją przez jakiś czas. Potem ktoś odsuwa kotarę i przede mną staje Joanna w kolejnej wzorzystej tunice, z wielką teczką na dokumenty.

Zagląda do łóżeczka.

– Czyli to jest Rose – mówi.

– Tak.

Siada na krześle przy moim łóżku.

– Jak sobie radzisz?

– Chyba w porządku, biorąc pod uwagę okoliczności. Ma problemy ze ssaniem.

Joanna kartkuje papiery, a potem patrzy na mnie.

Wyjmuję Rose z łóżeczka i przysuwam usta do miękkich włosów na jej głowie. Jej ciemczko, malutki kawałek, gdzie czaszka jeszcze się nie zamknęła, pulsuje rytmicznie. Znowu przypomina mi się *Obcy*. Ta istota w moich ramionach wydaje się nieprawdziwa, nie potrafię uwierzyć, że była wewnątrz mnie.

– Musimy omówić twoje plany – oznajmia Joanna.

– Zatrzymuję ją – odpowiadam w czubek główki Rose.

To było przesądzone od chwili, w której położna ułożyła ją na mnie. Jest moja.

Joanna oddycha głęboko.

– A gdzie...

– Wrócę do domu z mamą – mówię.

Mogę być pewna, że Rose jest moja, ale to nie znaczy, że jestem pewna, że będę umiała się nią sama zająć. Mama zresztą bardzo na to nalega. Dobrze jest pozwolić jej decydować o wszystkim. Przynajmniej na razie.

– Na stałe?

– Jeszcze nie wiem, okej?

Rzucam Joannie przeciągłe spojrzenie, spojrzenie, które zadaje pytanie i dostaje wymijającą odpowiedź.

– Będziemy musieli obserwować uważnie rozwój wypadków – mówi tylko, a ja wiem, że jestem na najsurowszym okresie próbnym.

Gdyby to zależało od Joanny, Rose już byłaby w drodze do lepszych rodziców. Ale na razie umawia się tylko na wizytę kontrolną u mnie za kilka dni.

Chmury zniknęły, a ostre, żółtawe światło odbija się od rzędów samochodów na parkingu. Tata musiał kupić nowy fotelik, a teraz w nieskończoność reguluje paski i marszczy brwi, podczas gdy ja stoję, trzymam Rose i staram się nie chwiać na nogach. Cierpię z powodu spojrzeń, jakie kilka starszych pań rzucało mi w windzie, a poza tym naprawdę boli mnie w miejscach, w których naprawdę nie chciałybyście, żeby was bolało. Położna oglądająca mnie po porodzie orzekła, że wszystko „wygląda świetnie”, ale mnie się tak nie wydaje. Czuję się, jakby kopnął mnie koń.

Mama zauważa, że jestem zmęczona.

– Peter, pospiesz się, na litość boską! – mówi ostro i dodaje: – Ja ją

wezmę.

W jej głosie jest nuta zaborczości, ale naprawdę czuję się, jakbym miała zaraz zemdleć – znajome kropki tłoczą mi się przed oczami – więc podaję jej Rose. Mama bierze ją, a ja bardzo ostrożnie wsiadam do samochodu. Czuję, że muszę usiąść, ale nie potrafię znaleźć wygodnej pozycji. Mama na pół się odwraca i szepcze do Rose coś, czego nie słyszę, ponieważ ruchem biodra zatrzaskuje drzwi. Patrzę na nie obie przez szybę.

Droga do domu jest mało przyjemna. Tata jedzie może trzydzieści kilometrów na godzinę, ale nadal mam wrażenie, że najeżdża na każdą nierówność na drodze, więc zaciskam zęby z bólu. Mam ochotę zapytać mamę, dlaczego nikt mi o tym nie powiedział, ale wyobrażam już sobie, jak wzdycha cierpiętniczo, unosi wzrok na sufit i mówi: „A czego innego się spodziewałaś, na miłość boską?”.

Czego właściwie się spodziewałam?

Nie wiem.

Nie spodziewałam się tego, jak się będę czuła podczas porodu, kiedy ból ogarniał każdą molekułę mojego ciała, całkowicie mnie z niego wypychając.

Nie spodziewałam się tego, że kiedy patrzę na Rose, na długie chwile nie istnieje, nie liczy się nic oprócz niej.

Nawet Nia.

Upieram się, że sama wniosę Rose do domu, ale mama nie odstępuje mnie na krok i wyczuwam, że ręce ją świerzbią, żeby zabrać małą. Stawiamy fotelik ze smacznie śpiącą Rose na podłodze w salonie, a ja się zastanawiam, co dalej.

– Powinnaś się przespać, skoro ona śpi. Powiedziałam ojcu, żeby przyszykował dla ciebie wolny pokój.

Kilka miesięcy temu ten pokój był tak właściwie moim pokojem, ale od tamtej pory mama kupiła chyba pół magazynu Laura Ashley. Kwiecista tapeta zakrywa ślady zostawione przez moje plakaty z kotkami i baletnicami, pochodzące z czasów, zanim zaczęła się Nia. Kiedy wypisano mnie po raz pierwszy, niedługo przed moimi trzynastymi urodzinami, nie powiesiłam już nowych plakatów. Potem ten pokój i tak bardziej przypominał mi klatkę. Był tymczasowy. Kiedy widzę dopasowane zasłony w kwiaty, narzutę i poduszki na fotelu, który mama ustawiła w kącie, zaczynam się zastanawiać, czy dobrze wybrałam Rose imię. Możliwe, że kiedy się na nie zgadzałam, byłam

jeszcze pod wpływem leków. W głębi duszy lubiłam zawsze uniwersalne imiona albo takie z charakterem, solidne i ostre. Mniej kobiece. Patrząc jednak na jej skórę, miękką jak płatki kwiatu, i myślę, że róże też właściwie są całkiem twarde, z tymi swoimi kolcami. Tak czy inaczej Rose jest teraz Rose. Za późno, żeby zmieniać zdanie.

Żeby zrobić mamie przyjemność, kładę się na łóżku i zapadam w półsen, ale zostaję z niego wyrwana przez wysokie wrzaski dobiegające z dołu. Naprawdę, ale to naprawdę nie mam ochoty wstawać, ale płacz brzmi rozpaczliwie, więc jakiś instynkt zmusza mnie, żebym zerwała się z łóżka i zeszła chwiejnie po schodach.

Mama i tata rozmawiają w kuchni przyciszonymi głosami.

– Musisz sprawdzić na grzbiecie dłoni – mówi mama. – Daj to, na litość.

Spoglądam za mamę i widzę, że tata trzyma butelkę z mlekiem. Oddaje ją mamie, która kołysze Rose na rękach. Rose drze się jak opętana.

– Dlaczego mnie nie obudziliście? – Podchodzę, żeby zabrać Rose, przez chwilę napotykam opór, a potem mama odpuszcza.

Przechodzę do salonu, mama idzie za mną z butelką.

– Dlaczego nie pozwolisz mi jej nakarmić? – pyta. – Musisz odpoczywać.

Tata kręci się przy nas ze ścierką kuchenną w ręku.

– Nie, dziękuję – mówię tak stanowczo, jak tylko potrafię.

Podciągam bluzkę. Tata odkasłuje i zaczyna oglądać z bliska framugę. Odwracam się do Rose i próbuję ją naprowadzić, ale jest tak głodna i zdesperowana, że rzuca się gwałtownie i w końcu uderza się w twarz własną piąstką. Zaskoczona na moment przestaje płakać. Mam wrażenie, że nie oddycha. Trwa to najwyżej dziesięć sekund, ale przez ten czas słyszę powolne łup-łup-pauza – uderzenia mojego serca. Potem Rose otwiera buzię tak szeroko, jak jeszcze nie widziałam, i zaczyna wrzeszczeć.

Kołyszę ją trochę, próbuję ją uciszyć, ale krzyczy wysokim głosem, który wydaje się rozbrzmiewać nawet na wdechu.

*Co teraz?*

Mama macha butelką.

– Naprawdę uważam...

– Daj mi chwilę! – krzyczę, co zaskakuje Rose.

Mam wrażenie, że ten płacz nigdy się nie skończy. Czuję narastającą panikę, gorącą i dławiącą, a także poczucie winy, że przestraszyłam Rose.

Rozbawiona Nia obserwuje nas z kąta.



Mama wpycha mi do ręki butelkę, ale upuszczam ją na podłogę. Mama czerwienieje i widzę toczącą się w niej wewnętrzną walkę między chęcią pójścia po ścierkę i natychmiastowego wyczyszczenia dywanu a zostaniem tutaj i zmuszeniem mnie, żebym dała dziecku butelkę.

Otwiera usta, ale mówię głośno:

– Poradzę sobie! Dajcie mi tylko minutę spokoju, dobrze?

Tata wycofuje się, mruczając coś o herbacie, a mama idzie po ścierkę. Robię kilka kółek z Rose i śpiewam jej do ucha jedyną kołysankę, jaką pamiętam, *Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma*, ale nie pamiętam wszystkich słów, więc potem już tylko nucę. Rose nie jest zainteresowana.

Kołyszę ją, ale zaczyna tylko bardziej płakać.

– Cicho, cicho... proszę, bądź cicho! – To ostatnie mówię głośniej, niż zamierzałam, i oczywiście właśnie w tym momencie mama wraca do pokoju.

– Wystarczy – mówi stanowczo i wyjmuje mi Rose z ramion.

Chwilę później przysuwa do jej buzi butelkę i w pokoju zapada taka cisza, że słyhać, jak Rose pije z szybkością tysiąca kilometrów na sekundę.

Mama patrzy na mnie i mówi lodowato:

– Nie pozwolę ci głodzić tego dziecka.

Znowu zajmuje się Rose, zostawiając mnie z otwartymi ustami i bez tchu.

Idę na sam koniec ogrodu za domem, żeby uciec od zapachu jednego ze „specjalnych dań” taty, zawierającego doprowadzające mnie do wymiotów smażone jajka, frytki, fasolę i szynkę. Najwyraźniej przepadałam za tym, kiedy byłam mała, chociaż kompletnie tego nie pamiętam. Chcę także uciec od dźwięku pomruków Rose, która zasysa resztki z butelki.

Bardzo długo gapię się w niebo, ale kiedy wracam do domu, nie potrafię sobie nawet przypomnieć, czy na zewnątrz świeciło słońce – tylko to, że Nia obserwowała mnie z gałęzi drzewa, jakby czekała.

Mama klęczy w salonie przy nowiutkiej różowej macie do przewijania i zakłada Rose pieluszkę. Następna rzecz robiona po raz pierwszy poza szpitalem, którą nie zajęłam się sama. Mama zapina rzepy na śpioszkach i kładzie Rose do kołyski, której wcześniej nawet nie zauważyłam.

– Proszę, gotowe – mówi.

Rose śpi spokojnie. Staję nad kołyską i patrzę na światło lśniące na jej gładkich policzkach, malutkie zaciśnięte piąstki, na pół schowane w rękawach śpioszków. Nie bardzo mnie przypomina. Nie wygląda, jakby należała do kogokolwiek poza sobą – jakby została wypożyczona.

– Zastanawiam się, czy wie, w co się wpakowała, wybierając mnie –  
mruczę.

– Słucham? – mówi mama.

– Nic takiego.

# ROZDZIAŁ 17

## CZWARTY DZIEŃ

Rose urodziła się przed czterema dniami, całą wieczność temu.

Wszystko zaczyna się zlewać w niekończący się cykl: płacz, karmienie, przewijanie, płacz, karmienie, przewijanie.

Czwartego dnia budzę się z uczuciem, że kwiaty na tapecie stały się trójwymiarowe i sięgają, chcąc mnie udusić. Rose śpi w kołysce przy moim łóżku po całej nocy, kiedy próbowałam ją bezskutecznie uspokoić.

Nic nie idzie tak, jak powinno. Nie potrafię nawet karmić jej sama. Po tamtej pierwszej butelce wrzeszczy, jeśli próbuję ją karmić piersią, jesteśmy więc skazane na mleko w proszku.

Płaczę, zanim ona jeszcze się obudzi.

Nie kąpałam się od powrotu ze szpitala. Tata udał się na wyprawę do mojego mieszkania, żeby przywieźć mi trochę rzeczy, chociaż wolałabym, żeby tam nie jechał i nie oglądał moich wykresów i planów posiłków. Słyszałam, jak przyciszonym głosem zdaje mamie relację, którą przerwał, kiedy weszłam z Rose do kuchni.

Mama wpadła w szał gotowania, zapachy wciskają się pod moimi drzwiami i sprawiają, że żołądek mi się skręca.

Część z tego jem. Tak jakby. W każdym razie to, co jest zdrowe.

W nocy, kiedy Rose się budzi, rozpaczliwie chcę spać, ale kiedy ona usypia, nie potrafię pójść w jej ślady. Cały czas trzymam jedną rękę w kołysce, jakby Rose mogła przestać oddychać, jeśli odsunę się za daleko. Albo zniknąć jak fatamorgana. Przewijam strony na komórce, czytając, jak sprawić, żeby dziecko spało. Nie widzę w tym temacie zgody. Raz czy dwa razy oglądam także wideobloga tamtej anorektyczki, żeby sprawdzić, jak szybko straciła wagę po porodzie. Którejś nocy, kiedy próbuję przejść na inną stronę internetową, komórka wysuwa mi się i uderza Rose w rączkę. Budzi się, zaczyna wrzeszczeć, a kiedy w końcu ją usypiam, leżę bardzo

długo w ciemności i trzęsę się.

– Mnargh. – Cichy pomruk daje mi znać, że Rose się porusza i zaraz zacznie płakać.

Siadam ostrożnie na łóżku, ponieważ wszystko nadal mnie boli, i uświadamiam sobie, że z przodu jestem całkiem mokra. Potrzebuję bardzo dużo czasu, żeby się domyślić, że ten ostry, zatęchły zapach to mleko. Biegnę do łazienki i wymiotuję, a potem wpycham T-shirt do kosza i wracam do łóżka.

Chwilę później mama puka do mnie.

Rose już zasnęła, a ja płaczę.

Mama staje nade mną i mówi:

– Baby blues.

– Co?

– To się nazywa baby blues. Każda to przechodzi. Za dzień czy dwa poczujesz się lepiej, ale na razie powinnaś wziąć prysznic. Położna przychodzi o dziesiątej.

Pozwalam jej zabrać Rose na dół i biorę prysznic. Wzdrygam się, gdy woda uderza w moje piersi, obolałe i nabrzmiałe. Po raz pierwszy od wieków widzę swoje podbrzusze. Wygląda ohydnie. Jest obwisłe jak balon, z którego zaczęło schodzić powietrze, poprzecinane ciemnoczerwonymi znakami rozstępów. Patrzę bardziej w dół, widzę swoje uda i muszę się przytrzymać ściany, żeby nie upaść.

*Spasiona maciora* – mówi Nia siedząca na zasłonie prysznicowej.

Podskakuję i omal się przewracam, a potem szybko odwracam się w drugą stronę i koncentruję się na pozwalaniu, żeby gorąca woda piekła mnie w piersi.

Z trudem wychodzę spod prysznicza i zakładam najbardziej obwisłe ubranie, jakie mogę znaleźć, ale wyglądam w nim jeszcze grubiej. Na dnie torby przywiezionej przez tatę są dzinsy sprzed ciąży, ale nie mogę zapiąć guzika. Przygryzanie wargi nic nie pomaga, nie mogę przestać płakać.

– Heddo! Przyszła Mary – woła z dołu mama.

Nie zawracam sobie nawet głowy wycieraniem łez, kiedy Mary mi gratuluje. Waży Rose i mówi, że przybiera na wadze i jest w dobrym stanie. Mary ogląda także mnie i bardzo mocno naciska mój brzuch, żeby sprawdzić, czy wszystko tam na dole idzie tak, jak powinno. Najwyraźniej tak. Nie dość szybko, moim zdaniem.

Łzy nadal płyną, krople gonią jedna drugą po policzku i spadają z podbródka.

– To przez hormony – mówi Mary.

To jednak nie poprawia mi nastroju.

Godzinę po wyjściu Mary przychodzi kolej na Joannę. Nieludzkim wysiłkiem zdołałam przestać płakać, uczesałam się i nałożyłam trochę makijażu, ale jestem całkiem pewna, że nadal wyglądam jak śmierć.

– Co słyhać?

– W porządku.

Joanna coś zapisuje.

– A jak twoje plany?

Patrzę na nią, nic nie rozumiejąc.

– Zamierzasz tutaj zostać? – dopytuje się.

– Tak, zostaną tutaj – odpowiada mama.

– Chyba tak – mówię jednocześnie.

Obie milkniemy i patrzymy na siebie.

– Na razie – dodaję.

Szyja mamy robi się różowa.

Joanna zadaje jeszcze mnóstwo pytań, mówi, że będzie się kontaktować z Mary i prosi mamę na słowo. Przechodzą do kuchni, a ja muszę naprawdę się starać, żeby nie rzucić szklanką o ścianę. Rose śpi mi na kolanach, a jej malutka buzia układa się w lekki uśmiech. Patrzę jak urzeczona, aż przypominam sobie, że pewnie właśnie teraz siusia.

Kiedy wracają, mama jest bardziej zaczerwieniona, a Joanna po prostu umawia się na wizytę w przyszłym tygodniu.

Mama nie chce powiedzieć, o czym rozmawiały.

Rose znowu uśmiecha się przez sen.

## **SZÓSTY DZIEŃ**

Kiedyś w ośrodku była dziewczyna, która praktycznie przestała spać. Próbowali dawać jej tabletki, ale nawet one nie potrafiły jej wyłączyć. Słyszałyśmy ją całymi godzinami, kiedy chodziła po korytarzu, wyklócając się z personelem z nocnej zmiany, odmawiającą powrotu do łóżka. Po kilku

dniach zupełnie przestała nad sobą panować i po raz ostatni widziałam ją, jak była zabierana do izolatki.

Myślę o tej dziewczynie o trzeciej nad ranem, kiedy Rose budzi się po raz czwarty tej nocy. W uszach słyszę bezustanne brzęczenie. Przygotowuję jej butelkę, udaję, że nie słyszę siorbania i pomruków. Odkładam ją do kołyski, ale krzyczy i rzuca się, podciąga kolana pod brodę i kopie nimi. Próbuję ją gładzić i powstrzymać zamykające się oczy, ale to też nie działa.

Słyszę, że mama wstała i kręci się pod drzwiami, a potem rozmawia syczącym szeptem z Tammy, która narzeka, że została obudzona. Znowu.

– Czy ona nie może po prostu jej jakoś uspić? – W głosie Tammy słychać senne narzekanie.

Ku mojemu zdumieniu mama śmieje się dziwnie, a potem mówi:

– Z dziećmi nie ma tak łatwo.

– A nie możesz ty jej zabrać?

– Nie, nie mogę. Musisz być bardziej wyrozumiała dla siostry.

– Ale...

– Mówię serio – syczy mama głośniej. – Teraz wracaj do łóżka.

W końcu biorę Rose do łóżka i znowu ją karmię, próbuję ją uspokoić mlekiem.

Pomału przestaje płakać. Jej usta z miękkim „plop” ześlizgują się ze smoczka butelki i zasypia głęboko. Zasłony nie są zaciągnięte do końca, a przez szparę wpada blask księżyca, oświetlając krzywiznę jej policzka. Przyglądam się plamie światła, a potem rzęsom i malutkim wargom, wreszcie linii włosów. Wydaje się taka świeża i nowa, a ja nie mogę znieść myśli o tym, że będzie rosnąć i zrozumie, jak bardzo do dupy jest ten świat przez większość czasu. Kiedy jednak patrzę na tę nieprawdopodobną, małą osobę w moich ramionach, zaczynam się zastanawiać – może dla niej nie musi taki być.

W myślach zaczynam składać najdziwniejsze obietnice. Obiecuję, że będzie bezpieczna, że nie pozwolę, aby stało się jej cokolwiek złego.

Ale nie mówię tego na głos.

Jak można coś obiecywać, jeśli się wie, że nie da się tego dotrzymać?

## **SIÓDMY DZIEŃ**

– Co ty wyprawiasz?

Potrzebuję chwili, żeby otworzyć oczy i skoncentrować wzrok na mamie, która stoi nade mną jak anioł zemsty.

Rose nadal leży w zgięciu mojego ramienia i śpi smacznie.

– Mogłaś ją przygnieść – mówi mama twardym, donośnym głosem, co oczywiście budzi Rose.

– Zasnęłam – mówię w kierunku szpary w zasłonach.

– Mogłaś ją zabić!

– Ale nic się nie stało. Nic jej nie jest.

Jestem zbyt zmęczona, żeby się porządnie kłócić, ale mama jeszcze nie skończyła.

Idzie za mną na dół do kuchni i gwałtownymi ruchami wyciera całkowicie czysty blat, kiedy gotuję wodę i wyjmuję butelkę ze sterylizatora. Te z nocy stoją w rzędzie koło zlewu i czekają na umycie.

– Dlaczego ją znowu karmisz? Zaczynasz mieć jakąś obsesję. – Mama mruży oczy. – Widziałam cię wczoraj przy obiedzie, zjadłaś tylko warzywa.

– Karmię ją, bo jest noworodkiem, mamó. Wiesz, one muszą jeść. A moja waga jest w porządku.

– Dziecko powinno być karmione o regularnych porach – oznajmia mama.

– Powinna wiedzieć, kto tutaj rządzi. Przekarmiasz ją.

Ignoruję ją i przyglądam się proszkowi w łyżeczce z miarką.

– Wydawało mi się, że się bałaś, że ją głodzę.

Mama zasysa policzki i wydaje prychnięcie w kierunku sufitu.

– Dam Rose butelkę, a ty zjedz jakieś śniadanie.

– Nie, dziękuję. Wezmę coś sobie za chwilę – odpowiadam.

Usta mamy są ściągnięte w wąską kreskę, ale biorę butelkę i zanoszę Rose na górę, żeby ją nakarmić.

## ÓSMY DZIEŃ

Przy śniadaniu Tammy ziewa teatralnie, a ja przyłapuję mamę na tym, że piorunuje ją wzrokiem. Rose leży na foteliku dla niemowląt i patrzy, jak zjadam omlet z białek z pomidorami. To sprawia, że myślę o Robinie. Przesłał mi kilka esemesów, ale zwykle byłam zbyt zmęczona, żeby pamiętać o odpowiedzi. Brak snu sprawia, że szumi mi w uszach, i mam wrażenie,

jakby ktoś mi napchał waty do głowy.

Nie pamiętam, ile kalorii ma białko jajka. Ani pomidory, skoro już o tym mowa. Mój widelec nieruchomieje, palce mnie świerzbią, żeby wyjąć komórkę i sprawdzić to, ale mama mnie obserwuje, więc nic nie mówię i jem dalej, aż czuję się przepełniona. Zauważyłam, że to następuje szybciej niż przed urodzeniem Rose. Odczuwam nieznośną potrzebę sprawdzenia, ile ważę, ale to na nic – jeśli w domu jest jakaś waga, to została dobrze schowana.

Nie muszę dodawać, że tata pojechał już do pracy.

Tammy znowu ziewa i przeciąga się, podnosząc ręce.

– Może nie pójdę na muzykę i wrócę dzisiaj do domu zaraz po szkole – mówi.

Mama odwraca się gwałtownie.

– Nie ma mowy. Niedługo masz egzamin.

– Ale jestem naprawdę zmęczona – jęczy Tammy.

Nawet z tyłu głowy czuję wściekłe spojrzenie mamy.

## **DZIESIĄTY DZIEŃ**

Mary znowu przychodzi z wizytą i przekazuje mnie i Rose pod opiekę zwykłej pielęgniarki, co wydaje się jakimś kamieniem milowym. Przed wyjściem ściska mi grzbiet dłoni.

– Powodzenia – mówi.

Chcę jej powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna – za jej spokój, za powstrzymanie się od potępienia mnie – ale jak zwykle nie potrafię znaleźć słów, więc staram się tylko włożyć to, co czuję, w uśmiech.

Dzień jest słoneczny, z czyściutkim niebieskim niebem i świeżą trawą. Blask słońca wyostrza brzegi chmur, tak jak na puzzlach, które układałyśmy w ośrodku. Molly nie miała do tego cierpliwości, ale ja potrafiłam siedzieć nad nimi godzinami, dopasowując wszystkie te puste kawałki, aż znalazłam właściwy.

Kładę Rose na kocyku w cieniu pod drzewem, w ogrodzie, tym samym, z którego patrzyła na mnie Nia. Wydaje mi się, że teraz jej tam nie ma, w każdym razie wtedy, gdy koncentruję się na obserwowaniu Rose przyglądającej się mozaice liści. Myślę o tym, żeby ją gdzieś zabrać, może na



spacer, ale nie mam jeszcze wózka.

Czekam, aż tata wróci do domu około dziesiątej wieczorem, i kręcę się w pobliżu, kiedy je odgrzane risotto. Mama jest w salonie z Rose.

– Tato? Czy moglibyśmy się wybrać do sklepu i kupić wózek?

Tata wypija trochę wina.

– Oczywiście, ale w tym tygodniu jestem zavalony pracą. Może pojedziesz z matką?

Krzywię się, ale nic nie mówię.

Tata odkłada widelec.

– Ona się bardzo stara. Wiesz, jej też nie jest łatwo. Powinnaś trochę wyjść jej naprzeciw.

Czuję, że moje wargi się wydymają.

– Niby jak? – pytam. – Ona chce tylko krytykować wszystko, co robię.

– Chce dla ciebie jak najlepiej. I tak samo dla Rose. – Tata bierze widelec i zjada jeszcze kęs. – Pozwól jej, żeby pojechała z tobą na zakupy.

– Zgoda – mówię, ponieważ, bądźmy szczerzy, nie bardzo mam wybór.

Zaczynamy się kłócić jeszcze przed wyjściem z domu. Rose jest przypięta w foteliku samochodowym, a ja upieram się, że będę go niosła, chociaż mój obolały brzuch protestuje. Od porodu mięśnie przepony miednicy, te, które powinny wszystko podtrzymywać, zrobiły się jak galareta, jakby miało mi zaraz wszystko wylecieć.

Mama cały czas mi przeszkadza. Zakłada Rose czapkę, chociaż na zewnątrz jest ponad dwadzieścia stopni, i opatula kocykiem jej bose stópki – Rose zrzuca skarpetki i wydaje mi się, że woli mieć gołe nogi.

Następny dramat rozgrywa się, kiedy próbujemy przypiąć fotelik w samochodzie. Kiedy w końcu orientujemy się, jak zapiąć na nim pas bezpieczeństwa, Rose zaczyna płakać.

– Może powinnam ją wyjąć i nakarmić – mówię.

– Zostaw ją – warczy mama. – Zaśnie, kiedy ruszemy.

– Ale...

Mama podchodzi do samochodu z drugiej strony i otwiera przede mną drzwi. Wiem, że jeśli spróbuję wyjąć Rose, mama będzie zła przez resztę dnia, więc tylko wzdycham.

– Dobra – zgadzam się i wsiadam do środka.

Rose płacze i płacze, a ja mam już ochotę wrzeszczeć: „Zatrzymaj

samochód!” , kiedy na szczęście zasypia.

Śpi w foteliku noszona po całym sklepie Mothercare, gdzie oglądamy jeden wózek za drugim. Jest tu ta sama sprzedawczyni, co ostatnio, ale rozmawia z mamą, a nie ze mną. W końcu wybierają model.

– Odpowiada ci? – pyta mama patrząc na mnie.

Przełykam sarkastyczną odpowiedź i kiwam głową, nie odrywając wzroku od Rose.

Mama odwraca się do sprzedawczyni.

– A teraz jeszcze łóżeczko...

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale zastanawiam się nad tym i pozwalam, żeby mama robiła, co chce. Kupuje mnóstwo rzeczy: torbę do przewijania, łóżeczko i pościel, ubranka, coś w rodzaju śpiworka. Zastanawiam się, czy sprzedawczyni ma od tego prowizję. Omal nie mdleję, kiedy widzę kwotę na rachunku, ale mama bez komentarza podaje kartę. Zapełniamy bagażnik rzeczami, ale w tym momencie Rose otwiera oczy i zaczyna się rozkręcać z wrzaskiem. Wiem na pewno, że już nie zaśnie w drodze do domu.

– Muszę ją nakarmić – mówię.

Mama prycha.

– Minęły cztery godziny – przypominam. – W książce pisali, że powinna wypijać od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu mililitrów mleka co cztery godziny.

Wyjmuję mleko w proszku i odmierzam je na masce samochodu. Dłoń mi się trzęsie, więc trochę rozsypuję, ale wycieram to rękawem, zanim mama zauważy.

Rose zjada, a ja orientuję się, że trzeba jej zmienić pieluchę. Wyjmuję z nowej torby zwiniętą matę do przewijania i rozkładam ją na tylnym siedzeniu.

– Co ty robisz? – pyta mama. – Na litość boską, nie możesz jej tutaj przewijać.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ... ponieważ to nieprzyzwoite.

Mam ochotę wrzasnąć: „A kogo niby miałyby to obchodzić?!”. Ale chcę jej zrobić przyjemność, więc idę z powrotem do sklepu i znajduję stół do przewijania w toalecie. Zajmuje mi to mnóstwo czasu, ponieważ Rose się wierci, a ja się boję, że jakoś uda jej się zlecieć ze stołu na brudną podłogę.

Wchodzi kobieta z małym chłopczykiem, rzuca mi znękaną spojrzenie i znikają w kabinie. Rozlega się szeleszczenie, kiedy on korzysta z toalety, a potem jego matka mówi:

- Zaczekaj, muszę... Nie! Nie otwieraj!
- Widzę twoją pupę – odpowiada dziecko.
- Prawie się śmieję, ale jestem zbyt zmęczona.
- Nareszcie – mówi mama, kiedy wychodzę.
- Przypinamy Rose i w milczeniu jedziemy do domu.

## **DWUNASTY DZIEŃ**

To mój pierwszy spacer z wózkiem. Pakuję ogromną torbę do przewijania na każdą ewentualność, jaką mogę wymyślić, wpycham komórkę do bocznej kieszeni i przypinam Rose do wózka. Mama stoi na dole schodów i patrzy, jak dwa razy uderzam wózek we framugę, zanim udaje mi się wydostać.

– Wracam niedługo – mówię.

Wykonuje gest, jakby chciała mnie zatrzymać, a potem unosi dłoń do ust, tak jak robiła to Molly, kiedy obgryzała paznokcie. Mama hamuje się jednak i mówi tylko:

- Masz komórkę?
- Tak, niedługo wrócę. Zrobię tylko kółko po osiedlu.

Ale nie robię tylko kółka po osiedlu.

Kiedy jestem już na zewnątrz i idę przed siebie, nie zatrzymuję się, dopóki równe rzędy identycznych domów nie zostają daleko za mną. Nie wiem nawet, dokąd idę. Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy jestem sama z Rose. Żadnych położnych ani pracownic opieki społecznej, ani mamy kręcącej się w pobliżu. Naprawdę jesteśmy tylko we dwie.

– Dobra, to jak się czujesz? – pytam.

Patrzy na mnie przez chwilę poważnie, a potem rzuca obojętne spojrzenie na „stymulujący” czarno-biały mobil, który mama koniecznie chciała przyczepić nad wózek. Chwilę później zasypia.

Wędruję przed siebie i uświadamiam sobie, dokąd idę: do Yewlings. Może chcę pokazać Rose, gdzie mieszkam – sama nie wiem. Kiedy docieram do bloku, windy jak zwykle nie działają, więc muszę albo wnieść Rose na górę i wrócić po wózek – mało prawdopodobne – albo jakoś wepchać wózek z Rose

na ósme piętro.

Zastanawiam się, co mam robić, czy powinnam wracać do mamy i czy dam radę przejść taki dystans, bo jestem wykończona, kiedy słyszę głos za plecami.

– Cześć.

Odwracam się z sercem łomoczącym milion razy na godzinę i widzę Robina.

Coś we mnie się rozjaśnia. Nie zauważałam, że za nim tęsknię, dopóki go nie zobaczyłam.

– Śmiertelnie mnie przeraziłeś – mówię.

– Mnie też miło cię widzieć. – Zagląda do wózka. – Cześć, maleństwo.

Rose ignoruje go, nadal śpi głęboko.

– Wróciłaś czy tylko wpadłaś z wizytą towarzyską?

– To drugie. Ale nie wiem, jak mam to wniesić po schodach.

– Żaden problem. – Robin podnosi wózek od tyłu. – Ja wezmę cały ciężar, ty musisz tylko sterować z przodu.

Mimo wszystko to ciężka praca, kiedy więc docieramy na nasze piętro, pot się ze mnie leje. Bez końca grzebię w torbie do przewijania, a potem patrzę na Robina.

– Chyba mamy mały problem techniczny – mówię.

– Nie masz kluczy?

Potrząsam głową.

– Najwyraźniej nie.

– No to wchodź – proponuje Robin.

Wchodzimy do jego mieszkania, a Rose wyczuwa, że coś się zmieniło, i budzi się. Robin robi herbatę, a potem siada na drugim końcu kanapy, kiedy ją karmię. Później rozkładam jej muślinową chustkę pod głowę i kładę ją na dywanie, a potem przyglądam się wreszcie Robinowi. Wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy go ostatni raz widziałam, i wydaje mi się dziwaczne, że cały świat i jego mieszkańcy nie ulegli zmianie.

– To... yyy, jak sobie radzisz? – pyta.

– Chyba w porządku.

Rzuca mi spojrzenie, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– Ale mama mnie doprowadza do furii – dodaję.

– Dlaczego?

Tu zaczynam długą listę narzekań na mamę, na to, jak się we wszystko

wtrąca i jakie to wkurzające. Nie wspominam o tym, że bezustannie piłuje mnie o to, ile sama jem. Podejrzewam, że pod tym względem Robin mógłby nie okazać zrozumienia. Słucha mnie spokojnie, dopóki nie skończę.

– To brzmi, jakby się po prostu martwiła o ciebie – zauważa.

Tęskniłam za tym – za tym, że próbuje spoglądać na sprawy z różnego punktu widzenia. Nawet jeśli bym wołała, żeby brał pod uwagę tylko mój.

Robin upiera się, że da mi pieniądze na powrót autobusem, a ja się zgadzam, bo szczerze mówiąc, sama wiem, że przeszłam dzisiaj za dużo. W myślach przewijam dni do chwili, gdy na tyle dojdę do siebie po porodzie, żeby zacząć porządnie ćwiczyć.

Robin znosi wózek po schodach i ściska mnie na pożegnanie.

– Do zobaczenia? – pyta, ale w jego oczach jest inne pytanie.

Wsiadam do autobusu i marnuję mnóstwo czasu, próbując wepchnąć wózek w przeznaczone dla niego miejsce. Mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią, a kiedy w końcu siadam, jestem spocona i czerwona. Nikt nie proponuje mi pomocy. Rose się tym nie przejmuje, znowu śpi.

Patrzę przez okno na znikający w oddali blok. Myślę o tym, jak dobrze było wyjść na trochę i jaką przyjemność sprawiło mi spotkanie z Robinem.

Kiedy wracam do domu, prawie się uśmiecham.

Awantura trwa chyba całe godziny.

– Nie wiedziałam, gdzie jesteś... Nie odbierasz telefonu... Byłam gotowa zawiadomić policję... – Mama gada i gada, a ja przewijam Rose i kładę ją w kołysce.

Idę do kuchni i wyjmuję makaron błyskawiczny, ale to moje bezpieczne jedzenie, a mama wie o tym.

Patrzy na mnie gniewnie.

– Nie możesz jeść tylko tego.

Omal nie odpowiadam: „No to patrz”.

– Była tu Joanna – mówi nagle mama niebezpiecznie cichym głosem.

Zamieram z makaronem w rękę.

– Co jej powiedziałaś?

– Tylko tyle, że wyszłaś. Powinnam była powiedzieć o wiele więcej. Przyjdzie tu jeszcze raz jutro.

Nie wierzę, że nie powiedziała nic więcej, ale jestem zbyt zmęczona, żeby się dłużej kłócić. Robię sobie makaron i zjadam go w swoim pokoju, jak za dawnych czasów, tyle że teraz obok, w kołysce, śpi spokojnie Rose.

Kiedy w końcu zasypiam, śni mi się, że jestem w ogromnym labiryncie i nie mogę znaleźć drogi wyjścia. Wiem, że coś się zbliża, ale nie mogę tego zobaczyć ani usłyszeć, więc nie wiem, w którą stronę uciekać. Skręcam biegiem za kolejne rogi, przeciskam się przez szczeliny za małe, żeby przez nie przejść, obcieram sobie ramiona na kamieniach. Wszystko się kurczy i ściska mnie mocno.

Budzę się, słucham oddechu Rose i odgłosów mojego serca. Wiem, że nie mogę tu dłużej być. Będzie lepiej, kiedy zostaniemy tylko we dwie.

Razem coś wymyślimy

# ROZDZIAŁ 18

## DRUGI TYDZIEŃ

– To już chyba wszystko. – Tata stoi w drzwiach mojego mieszkania i szura nogami do przodu i tyłu, jakby nie mógł się zdobyć na to, żeby już iść. – Przełałem ci trochę pieniędzy na konto.

– Dziękuję, tato – mówię.

– Będziesz dzwonić i dawać znać, jak sobie radzicie?

– Jeśli chcecie.

– Może dzwoń na moją komórkę – proponuje.

Kiwam głową. Mama się do mnie nie odzywa.

– Pogodzi się z tym – mówi tata. – Po prostu martwi się o ciebie i Rose.

– Nie musi się martwić. Rose przybiera na wadze. Poradzimy sobie.

Tata znowu szura nogami i w końcu idzie.

Zakładam łańcuch na drzwi, a potem odwracam się do Rose siedzącej w foteliku samochodowym, wózka i wszystkich innych nowych rzeczy stojących wokół niej. Tata powiedział, że za kilka dni przywiezie łóżeczko, ale do tego czasu Rose będzie się jeszcze mieścić w swojej kołysce.

– Dobra, no to zostałyśmy we dwie – mówię do Rose.

Odpinam ją i pokazuję jej mieszkanie.

– Wiem, że jest skromne, ale tu będzie nasz dom, zgoda?

Nie czuję się już skrępowana, kiedy mówię do niej na głos. To się wydaje najbardziej naturalną rzeczą na świecie, a poza tym ona jest świetnym słuchaczem.

Jest przyjemnie i cicho, słyhać tylko posapywanie Rose. Pod podbródkiem czuję jej ciepłą główkę. Włosy ma takie gładkie, a kiedy przechyliłam głowę, żeby potrzeć je lekko policzkiem, jak kot, moje podtrzymujące ją ramiona wydają się silne.

Ale po chwili zaczyna mnie ogarniać niepokój. Mieszkanie jest mniejsze, niż zapamiętałam, ściany tak blisko jak w tamtym labiryncie we śnie.

– Może odwiedzimy Robina? – mówię do Rose.

Pukam do jego drzwi, a on uśmiecha się szeroko na nasz widok.

– Wróciłyście?

– Tak.

– W samą porę na lunch!

Z całej siły staram się nie okazać rozczarowania.

Wchodzimy do środka, a Robin bierze Rose. Wygląda na to, że bardzo jej wygodnie w jego ramionach. Trzyma ją prawidłowo, uchwytem na wysokości klatki piersiowej, a nie brzucha, tak jak się wydaje, że należałoby trzymać dziecko. Potrzebowałam trochę czasu, żeby się tego nauczyć.

– Świetnie sobie radzisz – mówię. – Miałeś okazję ćwiczyć?

To tylko żart, ale przez chwilę Robin wygląda dziwnie, jakby znalazł się na innej planecie. Powoli, z niechęcią, oddaje mi Rose. Nie dziwię mu się – jest cudowna.

– Jakies nieporozumienia między tobą a twoją mamą? – pyta.

– Mniej więcej. – Streszczam mu kłótnię z mamą. – Wtedy uświadomiłam sobie, że nie dam rady. Ona zaczęła wszystko kontrolować. Miałam wrażenie, że nie jestem tam w stanie oddychać, i nagle zrozumiałam, że muszę to zrobić sama, po swojemu.

– Jak twoja mama to przyjęła?

– Tak na początek zagroziła, że powiadomi pomoc społeczną. Ale nie przejmuję się tym – odpowiadam.

To kłamstwo. Jestem przerażona, co powie Joanna, ale nie mogłam zostać dłużej w tamtym domu. To nie miało nic wspólnego z mamą stojącą mi nad głową przy każdym posiłku.

Robin patrzy na mnie sceptycznie, ale na szczęście Rose się budzi, więc ją przewijam, kiedy Robin zaczyna gotować.

Ale kiedy stawia talerze na stole, mój żołądek zaczyna się skręcać.

– Jeśli chcesz, potrymam ją, żebyś mogła zjeść – proponuje z zapalem Robin.

– Nie trzeba. Muszę ją szybko nakarmić – mówię i odwracam się, chociaż on rzuca mi badawcze spojrzenie.

W odróżnieniu ode mnie Rose nigdy nie odmawia jedzenia. Zaczyna się już zaokrąglać, na grzbietach jej rączek pojawiły się malutkie dołeczki. To dobry rodzaj pulchności. Zdecydowanie dobry rodzaj pulchności. Okrywam kocykiem jej piąstki i staram się skoncentrować na tym, co mówi Robin.



– ...w przyszłym tygodniu mam kolejną rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko opiekuna. To nielimitowany czas pracy i będą chcieli, żebym brał nocne zmiany, ale płacą nieźle. Lepiej niż w Aldi.

Od ciężaru Rose drętwieje mi ramię. Poprawiam ją i niechcący wyciągam jej z buzi smoczek. Sięga po butelkę.

*Nienazarta.*

Czy to Nia, czy ja?

– Nie musisz być taka przerażona! To nie będzie koniec świata – mówi Robin.

– Co? Nie, ja tylko... Brzmi nieźle.

Zabieram butelkę i przewieszam Rose przez ramię, żeby jej się odbiło. Chwilę później nadmiar mleka wystrzela z jej ust na muślinową chustkę. Kwaśny zapach częściowo strawionego mleka wypełnia mi nozdrza i sprawia, że skręca mi się żołądek.

Oddycham przez usta.

– Będziesz w tym świetny – mówię, bo naprawdę tak uważam.

– Daj, podaj mi ją teraz. Ona chce trochę tulasków z wujkiem Robinem, prawda, Rose? – Podnosi ją i wyjmuję mi ją z ramion. – Usiądź. Jedz. – Pochyliła głowę nad Rose i dotyka jej policzka jednym palcem.

Z ociąganiem idę do stołu, ale kiedy patrzę na niego, trochę się uspokajam. To duszona ryba bez sosu, warzywa i ryż. Wszystko niskokaloryczne. Poradzę sobie. Prawie chcę sobie poradzić, ponieważ Robin wydaje się taki zadowolony i pełen nadziei.

Ale odsuwam talerz, kiedy jest w połowie opróżniony.

– Tylko tyle zjesz?

– Mam troszkę podrażniony żołądek. Chyba odwykłam od lunchu na ciepło. U mamy zawsze były kanapki, sałatki i zupa. Później coś przegryzę. Ale dziękuję, było pyszne – mówię i uśmiecham się tym promiennym uśmiechem, od którego bolą policzki, jeśli próbuje się go utrzymać zbyt długo.

To zdumiewające, że kłamstwa przychodzą mi tak gładko, jakbym wkładała ulubione dzinsy. Nie czuję się nawet winna, że okłamuję Robina. Jest jak jest, to wszystko.

– Heddo...

– Właśnie sobie przypomniałam! Obiecałam, że pójde na spotkanie młodych matek. Musimy się szykować. – Podnoszę Rose. – Jeszcze raz

dzięki. Do zobaczenia jutro?

Jestem już prawie przy drzwiach.

Robin potrząsa głową, ale mówi:

– Jasne, jeśli chcesz.

Spotkanie młodych matek to kolejne kłamstwo. Nie wybieram się na nic takiego. Ale nie mogę siedzieć w domu, skoro mówiłam, że wychodzę. Jedyne problem polega na tym, że nie mam jak znieść wózka na dół, chyba że poproszę Robina, a wtedy on może wpaść na pomysł, że ze mną pójdzie czy coś takiego.

Przechodzę na koniec korytarza, żeby sprawdzić stan windy, która wreszcie „działa”, ale wolę nie ryzykować. Jest bardzo prawdopodobne, że albo utknę tam z Rose, albo z Rose i jeszcze kimś. Zapewne kimś, z kim naprawdę nie chciałabym utknąć w windzie. Sama myśl o tym sprawia, że się wzdrygam.

Rozważam więc możliwości. Do biblioteki od przystanku jest niedaleko. Mogłabym ją zanieść.

Pakuję rzeczy do plecaka, zmieniam Rose pieluszkę i wychodzę.

Na początku wszystko jest dobrze, chociaż zniesienie jej ze schodów zabiera strasznie dużo czasu. Boję się, że spadnę, więc wymacuję każdy schodek jak staruszka. Kiedy jestem już prawie na dole, mam wizję w zwolnionym tempie, jak się potykam, Rose wypada mi z ramion i jej główka rozbija się na brudnym betonie. Zatrzymuję się i oddycham ciężko, przytulając ją z całej siły. Schodzę na parter bez żadnych przygód, ale ramiona mi się trzęsą i nie chcą się uspokoić, dopóki nie przyjeżdża autobus, w którym mogę usiąść. Jak na tak małą osobę Rose jest naprawdę ciężka.

Stoję pod biblioteką. Wymija mnie kobieta z wózkiem będącym odpowiednikiem samochodu terenowego, którym steruje wytrenowanymi ruchami nadgarstka. Łapię drzwi, zanim się zatraskują. Są cięższe, niż mi się wydawało, i przez chwilę boję się, że naprawdę upuszczę Rose, ale otwieram je barkiem i przeciskam się, chociaż szorują mi po tyłku.

Mam wizję siebie jako konkretnego ciała, jednego rozmiaru, więc chwile jak ta są dla mnie nadal szokiem, tak samo jak wtedy, gdy miałam ciążowy brzuch. Powinnam była zmieścić się w tej szczelinie. Nagle jestem całkowicie pewna, że sobie nie poradzę. Tęsknię za Nią. Chcę napisać do niej list miłosny albo grafomański wiersz. Chcę, żeby mnie oplotła, żeby jej

wrzaski uciszyły wszystkie inne dźwięki. Stoję sparaliżowana żalem, przytulam Rose i czuję na policzku jej miękką główkę.

Porusza mi się w ramionach i otwiera szeroko oczy, jakby chciała zapytać: „Gdzie teraz jesteśmy?”. Jak szczeniaczek. Tak właśnie jest z dziećmi. Nie pozwalają ci się nad niczym zastanawiać dłużej niż kilka minut. To właściwie całkiem pocieszające, uczenie się Rose, odgadywanie, czego może potrzebować. To odsuwa ode mnie Nię w miejsce, gdzie potrafię sobie z nią radzić. Chociaż czasem zastanawiam się, jak ktoś, kto pochodzi ze mnie, może być taki zadowolony, przynajmniej w dzień. Równie dobrze mogłaby mieć ogonek.

Biblioteka pachnie tak jak zawsze. Chodzę wzdłuż rzędów książek, trzymając Rose na ramieniu i zastanawiając się, czy powinnam jak zwykle wybrać coś przypadkowego, ale jakoś trafiam do działu „Umysł, ciało, dusza”. A dokładniej do półki z książkami o zaburzeniach odżywiania. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Patrzę na grzbiety książek. Większość z nich znam z widzenia, ale zauważam pamiętnik anorektyczki, którego nie czytałam. Wyciągam i przyklękam na jedno kolano, podtrzymując Rose na ręku, a książkę na drugim kolanie. Każdy rozdział zaczyna się od wagi autorki, zmierzającej niestrudzenie w dół. Wolną ręką przewracam kartki, żeby zobaczyć, jak bardzo zmniejszą się te liczby.

– Witam.

Ręka mi podskakuje, a książka spada na podłogę.

To Lois z Ethanem przypiętym w wózek. Co ja mówiłam o tym, że Rose się zaokrągliła? Ethan jest olbrzymi.

Wstaję, przesuwam się tak, żeby zasłonić książkę, i uśmiecham się.

– Cześć, co u ciebie? – mówię.

– A, jakoś leci. Wiesz, jak to jest – odpowiada Lois i przez moment na jej twarzy maluje się czysta rozpacz. Zastanawiam się, kiedy ostatnio rozmawiała z kimś innym niż nieznośna baba z jej grupy młodych mam. Zaraz jednak uśmiecha się szeroko. – A to kto?

– To jest Rose.

– Co za prześliczne imię! Cała jest śliczna jak laleczka. Nie będę pytać, czy jest grzeczna, bo nie znoszę, kiedy ludzie mnie o to pytają. Tak naprawdę chodzi im o to, czy śpi w nocy. Ethan jakoś nie przepada za takim sposobem spędzania czasu.

Mogę się tego częściowo domyślić po jej długich odrostach i workach pod

oczami. Wygląda na grubszą, niż kiedy ją ostatnio widziałam, jakby się odżywiła ciastkami.

– Fakt, Rose też rzadko to robi – mówię, a Lois wyraźnie się odpręża.

Ethan zaczyna się wiercić w wózek, więc Lois pochyla się, żeby mu podać obślinionego misia. Korzystam z okazji, podnoszę książkę o anoreksji i wsadzam ją na półkę za sobą, grzbietem do środka.

Lois prostuje się.

– Ale popatrzcie tylko na siebie! Gdzie się podziała ta cała ciężowa oponka? Nic już z niej nie zostało – stwierdza, a ja wiem, że jest w dwóch trzecich zazdrosna, a tylko w jednej trzeciej zaniepokojona.

Fala energii przepływa przeze mnie od stóp w górę, zostawiając mnie przepelnioną poczuciem siły.

Wzruszam ramionami.

– Sama wiesz, jak to jest. Przy Rose prawie nie mam czasu usiąść – mówię, najlepiej, jak potrafię, udając osobę dorosłą. – Właśnie, już chyba powinnam lecieć.

– Miło było cię zobaczyć – mówi Lois i widzę, że stara się nie poczuć dotknięta.

Uklucie winy przedziera się przez ogólne poczucie siły, a potem znika. Przekładam Rose na drugą rękę.

– Gdzie twój wózek? – pyta Lois.

– Przyniosłam ją.

– Żartujesz.

– Nie. – Odwracam się do wyjścia.

– Zaczekaj chwilkę. – Lois sięga do koszyka pod wózkiem i wyjmuje pasiaste nosidełko. Wygląda na drogie. – Masz. Ja nie mogę tego używać, bo Ethan wrzeszczy, ile razy próbuję. Może Rose się spodoba.

Podaje mi, ale ja nie ruszam się, żeby je wziąć. Przede wszystkim nie mam kasy na coś takiego.

– Nie krępuj się – mówi Lois. – Miałam je zaproponować komuś z grupy młodych mam, ale o wiele bardziej się ucieszę, jeśli ty je weźmiesz. Zrobisz mi przysługę. Nie znoszę, jak coś się marnuje.

Lois pomaga mi przypiąć Rose. Podoba mi się to uczucie – Rose jest przytulona do mnie, a wyściełane nosidełko rozkłada jej wagę na moje plecy i ramiona.

– Dziękuję – mówię.

– Nie ma za co. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Zawsze możemy wyskoczyć na kawę, gdybyś chciała się powymieniać opowieściami grozy o bezsenności!

– Jasne, wyślę esemesa. Bardzo dziękuję za nosidełko.

Może naprawdę się z nią skontaktuję. Byłoby miło dla odmiany pomóc komuś innemu. Poza tym lubię Lois. Nie może być dużo młodsza od Felicity, ale nie sprawia takiego wrażenia.

Kiedy jestem już pewna, że Lois poszła, pochylam się po książkę i wkładam ją pod pachę. Nagle mam wrażenie, że Molly zagląda mi przez ramię i unosi brew. Zauważam dział dziecięcy z obrazkiem przedstawiającym pociąg pełen książek na ścianie. Zabieram tam Rose, żeby się rozejrzeć.

Trochę trudno jest pochylić się z Rose przypiętą w nosidełku, ale przyklękam i przeglądam rząd książek z obrazkami. Zauważam *Bardzo głodną gąsienicę*, której na pewno nie wypożyczę, a potem biorę *Gdzie jest Spot?*. Waham się między książką o króliczkach a książką o kosmitach. Ostatecznie wybieram tę o kosmitach, bo są uroczy, malutcy i czerwoni, a mnie się z jakiegoś powodu wydaje, że Rose może ich polubić. Niedawno spędziła dobre dziesięć minut, patrząc na reprodukcję ze słonecznikami wiszącą w naszym pokoju, więc doszłam do wniosku, że lubi żywe kolory.

Wypożyczam książki i postanawiam wrócić na piechotę.

Rose zasypia, kiedy tylko zaczynam iść, i budzi się dopiero, gdy odpinam ją po wejściu na schody.

To z jakiegoś powodu wydaje mi się małym zwycięstwem.

# ROZDZIAŁ 19

## TRZECI TYDZIEŃ

Nie żartowałam, kiedy w zeszłym tygodniu powiedziałam Lois, że Rose mało śpi. Po obudzeniu czuję się jak zombi. Przysięgłabym, że ta noc była najgorsza jak do tej pory. Czy noworodki nie powinny spać jakichś dwudziestu godzin na dobę? Rose najwyraźniej potrzebuje mniej. O wiele mniej. Nie czuję się tak obolała jak zaraz po porodzie, ale jeśli robię coś za szybko, od razu to zauważam. Mięśnie brzucha dalej mam zwiotczałe, ale zaczęłam robić przysiady, żeby coś na to poradzić.

Karmię Rose, a potem, zanim położę ją spać, czytam jej bajkę o kosmitach. Wydaje mi się, że lubi, kiedy jej czytam. W każdym razie jest wtedy całkiem cicho i chyba patrzy na obrazki, chociaż pamiętam, że nadal widzi na czarno-biało. Mimo wszystko to przyjemne uczucie, jakbym dla odmiany robiła coś właściwego. Kiedy śpi, gotuję sobie lunch. Nic zbyt trudnego. Potem muszę się przygotować na spotkanie z Felicity. Przeszukuję szafę i szuflady starej komody w sypialni, żeby znaleźć coś, co mogłabym założyć, ale nie potrzebuję na to szczególnie dużo czasu. Stara bluza z kapturem leży skłębiona na podłodze jak porzucona przyjaciółka. Na zewnątrz jest ciepło. Dżinsy nie zapinają się jeszcze tak, jak powinny, ale niewiele brakuje. Jeszcze kilka kilogramów powinno wystarczyć. Wybieram legginsy i długi, obszerny T-shirt, żeby wszystko zamaskować, a potem przygotowuję Rose i wychodzę.

Kiedy wychodzimy, drzwi otwiera podejrzany typ, który mieszka po drugiej stronie. Zauważam tatuaże wspinające się mu po szyi. Rzuca mnie i Rose gniewne spojrzenie.

– Lepiej, żeby ten bachor był cicho – mówi i zatrzaskuje drzwi, zanim zdążam odpowiedzieć.

Przypominam sobie z niepokojem, jak walił w ścianę, kiedy Robin i ja za bardzo hałasowaliśmy przy gotowaniu, i jak długo Rose płakała tej nocy.

Wzgórze po drodze do ośrodka wydaje się wyższe niż wcześniej. Słońce świeci, mam wrażenie, że wypija z mojej skóry całą wilgoć, zostawiając mnie zadyszaną i wyczerpaną. Kiedy wchodzę na szczyt, mam nogi jak z waty. Boję się, że Rose mogła się przegrzać, a kiedy siadam w poczekalni, widzę, że jest gorąca i zaróżowiona na buzi. Przesuwam palcem po jej ciemiączku, wyczuwam puls i martwię się, czy się nie za bardzo zapadło. Czytałam, że u niemowląt świadczy to o odwodnieniu i muszę teraz sprawdzać ciemiączko milion razy dziennie. Rose porusza się i otwiera oczy, ale nie wydaje się szczególnie zachwycona tym, co może zobaczyć, czyli przede wszystkim krzesłami i białymi ścianami. Może wyczuwa atmosferę tego miejsca. Cokolwiek to jest, marszczy buzię i zaczyna płakać. Trudno mi się jej dziwić.

Potrzebuję trochę czasu, żeby ją uspokoić, ponieważ w ciągu dwóch sekund przechodzi od zera do hysterii, ale w końcu udaje mi się dać jej butelkę. Kiedy podnoszę głowę, naprzeciwko mnie siedzi Laurel. Ma szczękę prawie na podłodze. Zastanawiam się, czy powinnam sięgnąć i zamknąć jej usta, ale czekam, aż udaje jej się zamrużyć kilka razy.

– Co to jest? – pyta w końcu.

– Cześć, też cię miło widzieć. A jak myślisz, co to może być?

– Ale... ale... kiedy? Jak? Czy to twoje?

– Chyba mało prawdopodobne, żebym karmiła cudze dziecko, nie? I to jest ona.

Mleko ścieka Rose z boku buzi. Sadzam ją na kolanach, trzymam w pogotowiu ściereczkę i czekam na nieuniknione odbicie, które następuje minutę później.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Laurel jest bliska płaczu.

Siada teraz obok mnie i ostrożnie wyciąga palec – nie mogę nie zauważyć, że jest wyraźnie grubszy niż wtedy, gdy ją ostatnio widziałam – żeby dotknąć policzka Rose.

– No wiesz – mówię powoli. – Byłaś w... – powstrzymuję się w ostatniej chwili – ...Newland i tak jakoś pomyślałam... Wiesz, to był prawdziwy szok. Potem ona się urodziła za wcześnie i chyba ciągle jeszcze sama się staram to ogarnąć.

– Jak się nazywa?

– Rose.

– Jest naprawdę prześliczna – mówi Laurel na wydechu, z tęsknotą w głosie.

Uśmiecham się jak dumna matka, w sposób, na jaki jeszcze parę tygodni temu reagowałam wznoszeniem oczu. Nie mogę nic na to poradzić, Rose jest taka śliczna, że ciągle nie mogę uwierzyć, że jest moja. Nawet jeśli byłabym zdecydowanie szczęśliwsza, gdyby zaczęła porządnie spać.

– A co z tobą? Jak sobie radzisz? – pytam ostrożnie.

Laurel wzrusza ramionami, krzywi się i obciąga bluzkę.

– Zostałam wypisana tydzień temu. Mam dalej przychodzić tutaj na terapię, przynajmniej dopóki nie skończę osiemnastu lat. – Wykrzywia się i dodaje: – To jeszcze parę miesięcy.

– Kto cię prowadzi?

– Angie.

– O, to masz szczęście! Ja ciągle mam...

Urywam, ponieważ do poczekalni wchodzi Felicity.

Uśmiecha się do nas na powitanie, a potem idzie do swojego gabinetu.

Mam właśnie pójść za nią, kiedy Laurel kładzie mi rękę na ramieniu.

– Mogę czasem wpaść do ciebie?

Jakaś część mnie chce odmówić, ale rozpoznaję ten charakterystyczny wygląd osoby po wypisaniu, to spanikowane „co mam teraz robić?”, poczucie wolności, samotności i strachu.

– Tak, jasne – mówię. – Może za tydzień albo dwa. Wyślę esemesa, okej?

– Okej – odpowiada prawie szeptem. – Pa, Rose – dodaje głośniej.

Idę do gabinetu Felicity i staram się nie myśleć o Joannie, która odwiedziła mnie kilka dni temu. O tym, jak obejrzała wszystkie zakamarki mieszkania, obracając głowę w stronę, z której dobiegało walenie i krzyki faceta zza ściany.

– Czy tu często jest tak... niespokojnie? – zapytała Joanna.

– Ależ skąd! Zwykle jest w porządku. Całkiem miły, wie pani? – Przylepiam na twarzy tak promienny uśmiech, jak tylko mogę, i kaszlę, gdy za ścianą słychać kolejny trzask. Brzmi to podejrzenie, jakby ktoś rzucał meblami.

Rozlega się łomot, od którego trzęsą się ściany, a potem wszystko cichnie z wyjątkiem długopisu Joanny, robiącego skrob-skrob w jej notesie. Kiedy podnosi głowę, wiem, że nie jest dobrze.

– Mam pewne zastrzeżenia, Heddo. Nie wydaje mi się, żebyś mogła liczyć na odpowiednie wsparcie.



– Chodzę na spotkania młodych mam – kłamię. – I mam nowe znajome. Umawiam się na kawę z jedną panią z tej grupy, Lois. Ma takiego słodkiego chłopczyka, który ma na imię... – urywam. Nie wiem, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć imienia dziecka. Próbuję i próbuję je przywołać, ale to zupełnie tak, jakby ktoś wymazał miejsce, w którym to imię powinno być.

Joanna wydyma wargi.

– Wyglądasz na wyczerpaną. Nie poradzisz sobie ze wszystkim sama.

– Ale Rose świetnie się czuje! Dopiero co zabrałam ją na wazenie i przybiera na wadze. Według tabeli rozwija się dokładnie tak, jak powinna.

Joanna wzdycha.

– Heddo, tu nie chodzi tylko o to, ile ona waży.

Potem zaczyna mówić o moich spotkaniach z Felicity i każe obiecać, że będę chodzić na wszystkie. Ma wrócić w przyszłym tygodniu, żeby dokonać ponownej oceny. Odprawiam ją do drzwi, trzymając Rose tak mocno, że zaczyna mi się wiercić w ramionach i płakać.

Potrząsam głową, żeby to wszystko od siebie odsunąć, i pukam do drzwi Felicity. Kiedy wchodzę do środka, widzę, że nie jest zadowolona.

– Heddo, nie powinnaś zabierać Rose na te spotkania – mówi.

– No to co mam z nią zrobić? Nie mam jej z kim zostawić – odpowiadam.

– A twoja matka?

– W tym momencie nie rozmawiamy ze sobą.

– Mmm.

Naprawdę, ale to naprawdę nienawidzę tego „mmm”.

– To nie moja wina! – wybucham, co sprawia, że wszystkie, ze mną włącznie, podskakujemy.

Chodzę po gabinecie z Rose, żeby się uspokoiła. Patrę na zielistki na półkach zastawionych książkami o idiotycznych tytułach. Jeden z nich w szczególności przykuwa mój wzrok – coś o „nieadekwatnej opiece matczynej”. To zabawne, że obok stoi inna książka o tym, jak pozwalać dzieciom na samodzielność i wpajać im pewność siebie.

Odwracam się do Felicity i wskazuję książki.

– No to która jest właściwa?

– Chyba nie rozumiem...

– Wydaje mi się, że jeśli się ma dziecko, to zawsze wszystko się robi źle.

– Czy tak myślisz w przypadku Rose?

Potrząsam głową i śmieję się – naprawdę, nie sarkastycznie.

– Nie może pani wyskakiwać z takim pytaniem. Mamy przecież jakieś zasady.

Felicity patrzy mi w oczy, a ja się czerwienię. Obie wiemy, że na tych spotkaniach obowiązują Zasady, ale nigdy wcześniej o nich nie mówiłam głośno. To jest coś w rodzaju mojej zasady. Albo przynajmniej było.

– Sama zaczęłaś – odpowiada natychmiast Felicity, ale także się uśmiecha.

Rozmawiamy o Rose. Felicity słucha, kiedy wymieniam wszystkie niezwykle rzeczy, na przykład to, jakie niesamowite miny potrafi robić albo jakie miękkie są jej stópki.

– Nie wiedziałam, że dziecko może być tak doskonałe – mówię, ale w tym momencie Felicity marszczy brwi.

– Wiesz, że nie ma czegoś takiego jak doskonałe dziecko albo doskonała matka.

– Nie mówię, że ja jestem doskonała, to chyba jasne. Po prostu... czy to nie moje zadanie, uważać, że jest doskonała?

– Powiedziałabym, że twoim zadaniem jest ją widzieć – oznajmia Felicity.

– Razem z jej wadami.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Nie wydaje mi się, żeby moi rodzice kiedykolwiek mnie widzieli, chyba że wtedy, gdy próbowałam zniknąć.

Felicity pochyla się na krzesło.

– To ciekawe. Możesz powiedzieć coś więcej?

Ale nie mogę, ponieważ nagle zaczynam płakać.

Cieszę się, że Laurel nie ma już w poczekalni, kiedy wychodzę z Rose przypiętą w nosidełku. Idę szybkim krokiem, moje stopy tupią na gorącym chodniku, a ja czuję pot spływający mi od linii włosów. Idę na przystanek, zmuszam się, żeby przestać myśleć i zamiast tego zaczynam liczyć, ile dzisiaj zjadłam, na ile jeszcze mogę i powinnam sobie pozwolić, a ile faktycznie zjem, kiedy to się dzieje.

Możliwe, że jestem zmęczona. Niewykluczone, że Rose przesunęła się trochę w nosidełku i sprawiła, że straciłam równowagę. Albo jestem zbyt roztargniona. Ale kiedy po drugiej stronie jezdni podnoszę nogę, zaczepiam o krawężnik i lecę na ziemię jak w moich koszmarach, a malutka główka Rose zmierza w stronę jezdni. Krzyczę i rozpaczliwie szarpię się w lewo. Uderzam

boleśnie o krawężnik łokciem, osłaniam dłonią tył główki Rose, ale szłam za szybko, a plecak mam pełen ciężkich puszek. Impet pcha mnie dalej i czuję, że moje palce są miażdżone o krawężnik.

Czubek głowy Rose uderza w chodnik.

– Nie! – Walczę z plecakiem, staram się podnieść i sprawdzić, czy z Rose wszystko w porządku.

Całą rękę mam zakrwawioną. Przez chwilę nie wiem, czy to moja krew, czy jej. Ogarnia mnie zimne, mdlące przerażenie i sprawia, że moje serce zwalnia. Kropki zaczynają się mnożyć, więc zaciskam zęby, żeby je odpedzić. Rose drze się jak opętana.

– Nic się nie stało? – Jakaś kobieta podbiega do mnie i próbuje wyciągnąć Rose z nosidełka, co tylko sprawia, że zaczyna bardziej wrzeszczeć.

Wykręcam się, udaje mi się zdjąć plecak, a potem odpinam Rose i przechylam ją na swoim ramieniu. Z tyłu główki ma otarcie. Małe i ledwie widoczne, ale jednak.

– Przepraszam, strasznie przepraszam – szepczę do niej, ale głos mi się trzęsie, a ona wyczuwa mój strach, bo zalewa się łzami. Ja także zaczynam płakać.

Kobieta gładzi mnie po ramieniu.

– Nie płacz, skarbie. Nic się jej nie stało, ma tylko małego guza. Wiem, że te nosidełka są teraz w modzie, ale nie mogę pojąć, dlaczego ludziom przeszkadzają wózki. Patrz, już się uspokaja. Na pewno obie się przestraszyłyście, prawda? – Kobieta znowu gładzi mnie po nieuszkodzonym ramieniu.

Wstaję chwiejnie.

Kobieta z namysłem wciąga powietrze przez zęby.

– Powinnaś iść do lekarza. Może potrzebne byłoby założenie szwów – mówi.

Patrzę w dół i uświadamiam sobie, że krew z łokcia spływa na chodnik.

Za kobietą stoi kolejka ludzi czekających na autobus. Dziewczyna młodsza ode mnie pali papierosa ze znudzoną miną. Inna dziewczyna, z wózkiem, esemesuje i nie patrzy w moją stronę. Jestem szczuplejsza od nich obu. Starsza kobieta z siatkami zakupów ustawionymi pod nogami rzuca mi surowe spojrzenie i cmoka gniewnie.

– Powinnaś podjechać szóstką w drugą stronę, do szpitala, żeby rzucili okiem na ciebie i na malutką. Tak dla pewności – mówi kobieta, która mi

pomogła. – Ale nie martw się, są odporniejsze, niż się wydaje, nawet w tym wieku.

Autobus podjeżdża i wszyscy zaczynają wsiadać.

Kobieta kiwa głową, uśmiecha się do mnie i znika w środku.

– Dziękuję – chrypię, ale drzwi już się zamykają.

Kuśtykam na drugą stronę ulicy, kolano mnie piecze w miejscu, gdzie się uderzyłam, upadając. Siadam na przystanku autobusowym, ponieważ moje nogi sprawiają dziwne wrażenie, jakby nie były przymocowane do ciała.

Nie potrafię przestać przeproszać szeptem Rose ani oglądać otarcia na jej główce. Wyjmuję chusteczkę i przyciskam ją sobie do łokcia. Kiedy udaje mi się trochę wytrzeć krew, co nie jest takie łatwe, ponieważ nadal przytulam Rose, widzę, że nie jest jednak źle. A kiedy Rose już się uspokoiła, wygląda zupełnie w porządku. Znowu patrzę na skaleczenie. Jest małe, praktycznie nie krwawi.

*Jeśli zabierzesz ją do szpitala, zgłośz to.*

Głos wydaje się mocniejszy, wyraźny. Dobiega gdzieś znad mojego ramienia.

*A jeśli Rose coś się stało?*

Ściskam co chwila dolną wargę paznokciami.

*Nic jej nie jest. Wszystko w porządku. Ale z tobą nie będzie wszystko w porządku, jeśli ją zabierzesz do szpitala.*

Podjeżdża szóstka i drzwi się otwierają.

Wstaję, ale przed oczami znowu widzę kropki i nie jestem nawet pewna, czy mam dobrze odliczone drobne.

– Wsiadasz czy nie? – pyta kierowca.

W końcu robię krok do tyłu i potrząsam głową.

Autobus odjeżdża, zostawiając mnie i Rose stojące w chmurze spalin.

# ROZDZIAŁ 20

## CZWARTY TYDZIEŃ

Rose nic nie jest. Absolutnie nic. Otarcie na jej główce goi się po kilku dniach, a ja zaczesuję jej jedwabiste włoski, żeby zakryć malutki czerwony ślad, jaki pozostał. Kikut pępownicy, to miejsce, w którym była połączona ze mną, zagoił się całkiem i został zastąpiony przez nieprawdopodobnie śliczny malutki pępek.

Nie wychodzimy zbyt często, ale to dlatego, że:

A) winda jest znowu popsuta, a ja nie zamierzam ryzykować nosidełka;

B) od tygodnia pada.

To tyle, jeśli idzie o lato. Niemowlęce rzeczy suszą się w całym mieszkaniu, rozwieszane na drzwiach i grzejnikach. Zaczyna pachnieć stęchlizną, ale kiedy otwieram okna, wiatr kieruje do środka deszcz i moczy śpioszki wiszące na poręczach kanapy. Przynajmniej podlewa przy okazji kwiaty w skrzynce za oknem, ponieważ ja nie jestem w stanie o nich pamiętać. Kończy mi się praktycznie wszystko.

Patrę przez okno na jednostajną ulewę. Chmury wydają się niskie i ciężkie, jakby cały ten deszcz naciągał je na świat jak ogromną szarą kołdrę. Pomimo to powietrze jest duszne.

Joanna za kilka dni ma przyjść z wizytą i dokonać „oceny warunków”, czego wcześniej nie robiła. Pewnie dlatego, że teraz mieszkam sama z Rose. Siadam do Google, żeby sprawdzić, co może oznaczać ocena warunków, ale znajduję tylko tuziny historii, od których zaczyna mnie ścisnąć w gardle ze strachu.

Udaje mi się wyszorować aneks kuchenny i łazienkę płynem do mycia naczyń, ale on też się kończy, i wiem, że będę musiała znowu użyć nosidełka. Albo poprosić kogoś o pomoc, czego nie cierpię.

Mogłabym chyba poprosić tatę – przysyłał mi kilka razy e-maile z pracy – ale nie mogę się zmusić, żeby zadzwonić. Mama nagrała w mojej pocztce

głosowej kilka wiadomości, ale skasowałam je bez odsłuchiwania. Prędzej czy później będę musiała z nią porozmawiać, ale jeśli o mnie chodzi, to spokojnie może być później.

Rose podciąga nóżki i stęka w sposób oznaczający, że zaraz nastąpi eksplozja kupy. Jestem zmęczona. Bardzo, bardzo zmęczona. Znowu zmieniam jej pieluchę, moje ręce poruszają się machinalnie, a głowę nadal mam wypchaną myślami. *Jak to się stało, że ją upuściłam? Czy powinnam zabrać ją do szpitala? Czy to znaczy, że jestem złą...* Tłumię tę myśl.

Rose wierci się, kopie i udaje jej się rozsmarować kupę na krawędzi maty do przewijania i na wzorzystym chodniku.

Klnę na głos – nie potrafię się powstrzymać. Pakuję ją w nową pieluchę, ignorując wrzaski i małe nóżki zginające się jak u żaby. Brudną pieluchę wkładam do torebki, ale Rose znowu kopie i udaje jej się wyrzucić zawartość na podłogę, kupą na spód.

– Świetnie. Po prostu cudownie – mruczę.

Rose zaczyna płakać.

Sprzątam ten bałagan najlepiej, jak mogę, resztkami płynu do zmywania, ale żółte smugi kupy rozmazują się tylko po chodniku. Wydaje mi się, że jestem milion lat starsza, niż to możliwe. Rose nakręca się w ataku złości, a ja muszę z całej siły panować nad sobą, żeby nie wrzasnąć i nie kazać jej się zamknąć.

Wpycham połowę paczki zużytych wilgotnych chusteczek do cienkiej niebieskiej torebki na pieluchę i wsadzam wszystko do śmietnika śmierdzącego starymi pieluchami i resztkami jedzenia. Potem myję ręce i podnoszę Rose, żeby ją nakarmić.

Kiedy się uspokaja, a płacz zamienia się w pomruki zadowolenia, fala żalu wbija mi się pod żebra i przepływa w górę, aż zaczynają mnie mrowić włosy.

*Jak możesz być tak niecierpliwa? Ładna z ciebie matka.*

– Wiem – szepczę na głos do siebie i Rose. Do Nii.

W szpitalu, kiedy położyli ją na mnie, byłam całkowicie pewna, że jest moja, że powinna ze mną zostać. Nie zastanawiałam się w ogóle nad tym, co to wszystko będzie oznaczać: płacz, niewyspanie, pieluchy i mleko w proszku. Nie miałam chwili dla siebie, żeby o tym pomyśleć. Potrzeby Rose. Czasami nie wiem, czy dam sobie radę z tym, jak bardzo ona mnie we wszystkim potrzebuje. Widzę, jak mnie poszukuje, jak kuli się spokojna i bezpieczna na mojej piersi i zapada w niemowlęcy ufny sen. Świadomość, że

jestem całym jej światem, ogarnia mnie falą ciepła.

Ale potem wracają wszystkie pytania. Co będzie, jeśli to wszystko jest wielkim błędem? Jeśli nie będę umiała się nią zająć? To zbyt przerażające, więc znowu się ważę i czuję przypływ triumfu, kiedy widzę liczbę. Nia klepie mnie po ramieniu jak grzeczną dziewczynkę.

Rozlega się pukanie do drzwi: Robin.

Ostatnio ignorowałam jego pukanie, ale nie jestem w stanie dłużej wytrzymać w tych czterech ścianach.

– Chwileczkę! – wołam.

Biegnę do kuchni i chowam zeszyt, który założyłam na nowo, śledzący wszystkie liczby w moim życiu – wagę, kalorie, obwód talii i uda – do szuflady, a potem otwieram drzwi.

– Cześć, obca osobo – mówi Robin.

– Hej – odpowiadam, ale to brzmi bardziej jak przyznanie się do porażki niż powitanie.

Przechodzę do części dziennej i siadam ciężko na kanapie.

Robin idzie za mną, marszcząc nos.

– Wiem, że śmierdzi – mówię.

– No... może troszeczkę. Chcesz, żebym wyniósł śmieci?

Zamierzam potrząsnąć głową, ale zamiast tego kiwam nią szybko, zawstydzona.

– Za minutkę wracam – mówi.

Szeleści czymś w kuchni i znika razem ze śmierdzącą torbą.

Za kilka minut wraca, wstawia czajnik i idzie do swojego mieszkania po mleko, bo zauważył, że moje się skończyło.

– Masz trochę pusto w spiżarni – stwierdza.

Nie odpowiadam.

Rose śpi.

Powinnam ją położyć, żeby miała porządną drzemkę, ale ostatnio zaczęła się budzić, kiedy próbuję ją poruszyć, więc to nie jest warte wrzasków, które się rozlegną, jeśli przełożenie jej do łóżeczka się nie powiedzie.

– Słyszałem wcześniej, że Rose płakała – mówi Robin łagodnym tonem. Podaje mi kubek herbaty i siada. – Szczerze mówiąc, słyszałem ją dość długo ostatniej nocy. I jeszcze poprzedniej.

– Jeśli chcesz złożyć skargę, musisz się ustawić w kolejce. Ten gość z drugiej strony był pierwszy – mówię.

Staram się, żeby to zabrzmiało lekko, ale nie bardzo mi wychodzi. Poza tym naprawdę się boję faceta zza ściany.

– Wiesz, że nie o to chodzi. Myślałem tylko, że może dobrze by ci zrobiło, gdybyś się trochę stąd ruszyła.

– Nie mogę. Winda popsuta. Nosidełko do niczego. – Oczy mnie pieką, jakbym zalała je wybielaczem. Zaczynają się same zamykać. Zmuszam je, żeby się otworzyły, i staram się skoncentrować na tym, co mówi Robin, ale okazuje się, że on nic nie mówi, tylko na mnie patrzy.

– Dobra, wiem, co teraz zrobimy. Ja popilnuję Rose, a ty się połóż na trochę. Kiedy ostatni raz spałaś dłużej niż parę godzin?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Daj mi ją. Jeśli się obudzi, zabiorę ją na spacer w wózku. Chodź tu do mnie, mała różyczko.

Próbuję protestować, ale zdobywam się tylko na mamrotanie.

Kiedy tylko ciężar Rose znika z moich kolan, z wdzięcznością zapadam w sen.

Budzę się w swoim łóżku. Robin musiał mnie tu przynieść. Mam nadzieję, że nie pomyślał, że jestem za ciężka. Albo za lekka... W tym momencie żadna waga nie jest dla mnie właściwa.

Jest ciemno. Czuję się, jakbym przespała bite dwadzieścia cztery godziny. Leżę i nasłuchuję odgłosów Robina krzątającego się po kuchni i rozmawiającego z Rose. Możliwe, że opowiada jej o jakimś serialu science-fiction dla geeków. Naprawdę powinnam tam pójść i ją ratować, ale rozkoszuję się tym, że budzę się sama. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie ma nikogo w pokoju. Nikt mnie nie potrzebuje. Przez chwilę naprawdę się uśmiecham.

Chęć leżenia tutaj w samotności walczy ze świadomością, że muszę wstać, że prawie skończyły mi się pieluchy i mleko w proszku, i że to nie w porządku wobec Robina, chociaż nie brzmi, jakby się tym przejmował. Doskonale sobie radzi z Rose. Wygląda na to, że w odróżnieniu ode mnie jemu przychodzi to z łatwością. To niesprawiedliwe. Znacząco, większość dziesiętnastoletnich chłopaków oblałaby się zimnym potem na samą myśl, że mieliby coś robić z dzieckiem, a nie radziliby sobie z tym, jakby to było całkiem proste. Jednocześnie Robin jest naprawdę odpowiedzialny.

Podnoszę się z łóżka. Czuję się zesztywniała, jakbym spała w jednej



pozycji, a teraz miała trudności z przypomnieniem sobie, jak się poruszać. Spałam jak zabita, jak to się mówi.

– Cześć! – mówi Robin. – Miałem zajrzeć i cię obudzić. Obiad już prawie gotowy.

Rose zauważa mnie i przechodzi od umiarkowanego zainteresowania wykładem wygłaszanym przez Robina do pełnego furii wycia w ciągu jakichś trzech sekund. To tyle w kwestii, że nikt mnie nie potrzebuje. Ale dzisiaj ta myśl nie wydaje mi się pocieszająca. Przypomina raczej zaciśnięty za mocno na szyi szalik, którego końce ciągną się po ziemi, żebym się o nie potknęła.

Wsadzam Rose smoczek do buzi, a ona przytrzymuje rączką moją rękę. Jest taka ciepła i miękka. Jak mogę mieć jakieś wątpliwości?

– Dobra, to ja tylko zetrę trochę... Rany! – Robin patrzy z podziwem na Rose, która przewieszona przez moje ramię wydała właśnie donośne beknięcie. – Strasznie dużo hałasu robi takie słodkie maleństwo – mówi i dotyka jej policzka. – Oj, masz tego trochę we włosach.

– Domyślam się – mruczę i kładę ją, żeby się wierciła.

Robin przygotował tortille i miski z sałatką chilli, majonezem i parmezanem, żeby je wymieszać. Nakłada teraz łyżką nadzienie i zawija brzegi tortilli, a potem wsuwa je pod spód, tworząc kopertę, i zjada ogromny kęs. Patrę z powątpiewaniem na swój talerz i naśladuję go – minus ser i majonez. Tortilla rozpada się, kiedy tylko zjadam mały kęs, zostawiając na moich palcach pomarańczowy tłuszcz. Podnoszę ją i patrę na krople lśniące na talerzu.

*Spaślak* – mówi Nia, a jej głos kłuje jak igła. Ale przynosi także znajome wrażenie, jakby zbyt małych butów, do których człowiek zdążył się już przyzwyczaić.

Zjadam kilka kęsów i czuję, jak zatrzymują mi się pod zębami, jakby próbowały się wydostać tą samą drogą. Tego uczucia nienawidzę najbardziej ze wszystkiego.

Robin patrzy na mnie z udawaną obojętnością, lekko przechylając głowę.

– Tak sobie myślę... Może jutro byśmy się gdzieś wybrali? Wyrwiemy się stąd i zabierzemy Rose w jakieś nowe miejsce. – Znowu słyszę tę pewność siebie. Jak może nie być przerażony perspektywą zabrania jej w nowe miejsce?

– Niby gdzie? Zaczekaj. – Idę do łazienki i płuczę usta, żeby pozbyć się

smaku chilli, a potem patrzę w lustro. Mam na podbródku tłustą pomarańczową smugę. Wycieram ją z całej siły.

Kiedy wracam do pokoju, Robin uprzejmie ignoruje mój zaczerwieniony podbródek.

– Może do Sharland Wood – proponuje. – Moglibyśmy się przejść, a potem urządzić piknik.

Myślę o jakiejś wymówce – powinnam zrobić zakupy i wreszcie porządnie posprzątać, ale coś sprawia, że patrzę na ścianę, którą pomalowaliśmy chyba tysiąc lat temu, i czuję się, jakbym spadała w przepaść, która się właśnie otworzyła. Cały ten deszcz sprawił, że zacieki wróciły. Czarne plamy grzybów zaczynają być widoczne spod farby w narożnikach pod sufitem. Patrzę na grzyb, na żółtą plamę na niebieskim dywaniku, tuż przy głowie Rose, a potem odwracam się do Robina.

– Jasne, czemu nie – mówię.

Uśmiecha się.

Dodaję niepewnie:

– Ale czy najpierw mógłbyś mi pomóc z wózkiem? Kończy mi się właściwie wszystko.

– Zauważyłem.

Rano Robin zabiera mnie z wózkiem na zakupy. Manewruje po sklepach jak profesjonalista, udaje odgłosy silnika, kiedy ja wkładam do koszyka pieluchy, mleko w proszku, środki czystości i, niechętnie, jedzenie. Głównie makaron błyskawiczny i owoce.

– Jesteś pewna, że to ci wystarczy? Niewiele wzięłaś – mówi Robin.

– Tak, wpadnę tu jeszcze po coś w tygodniu – zapewniam.

Nie wygląda na przekonanego, a ja się zastanawiam, kiedy stałam się taka... nieprzekonująca. Dawniej to było takie łatwe. Ale Robin nic nie mówi.

Przy kasie czeka kobieta z może trzyletnim chłopcem. Patrzy w przestrzeń, podczas gdy on wierci się w wózku.

– Chcę Boba Budowniczego – jęczy i pokazuje palcami w stronę wyjścia, gdzie stoi podniszczona żółta koparka.

Kobieta wzdycha i podaje mu torbę czipsów jabłkowych.

Chłopiec rzuca nią, a czipsy rozsypują się po podłodze.

– Na litość boską! – warczy kobieta i pochyla się, żeby je pozbierać.

Chłopiec zaczyna płakać głośniej, a Rose otwiera oczy.

– Tylko bez głupich pomysłów – mówię do niej i nie do końca żartuję.

Patrzę, jak kobieta ze zgarbionymi plecami popycha wypełniony wózek na zakupy i wrzeszczącego chłopca.

Próbuję sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy Rose zacznie płakać, że chce się przejechać na głupiej koparce, ale nie potrafię. Czy to właśnie tak będzie wyglądać? Wydaje mi się to niemożliwe. Przyszłość jest taka przerażająca, a Rose zmienia się tak szybko, że nie wiem, czy zdołam za nią nadążyć. Jej szyja jest teraz mniej chwiejna; niedawno, kiedy ją trzymałam, odsunęła się trochę, żeby na mnie popatrzeć, ale kiedy ja się nią zachwycałam, wysiłek trzymania głowy prosto okazał się za duży i uderzyła nosem o mój obojczyk. Omal nie rozplakałam się razem z nią, myślałam o tym, że powinnam być na to przygotowana, powinnam była złapać jej główkę, zanim sobie zrobiła krzywdę.

W mieszkaniu wyjmuję składniki na kanapki z marmite do zabrania na piknik.

Robin potrząsa głową.

– Mam już różne rzeczy z Aldi. Urządzimy piknik – mówi.

Nie chcę się domyślać, co to może oznaczać, więc pozwalam mu pójść do jego mieszkania, a sama karmię i przewijam Rose, a potem pakuję jej torbę.

Robin wraca po chwili i zatrzymuje się w drzwiach.

– Przepraszam – mówię. Jeszcze raz sprawdzam, czy mam dwa ubranka na zmianę dla Rose na wypadek, gdyby pieluszka jej przeciekła. Nie „gdyby”, bo na pewno przecieknie. Składana mata do przewijania. Kapelusz i emulsja od słońca. Poza tym pieluchy, torebki na zużyte pieluchy, wilgotne chusteczki, gaza, butelki, skarpetki i koc. Pluszowy słoń, bo zauważyłam, że lubi na niego patrzeć. Moja komórka, chociaż się nie spodziewam, żeby ktoś dzwonił.

– Strasznie długo to zawsze trwa. – Próbuję się uśmiechnąć, ale słyszę tylko nutę narzekania we własnym głosie.

– Tak, mogę... sobie wyobrazić – odpowiada Robin.

– O co chodzi? – pytam z głową w torbie do przewijania.

– Nic. To jak, idziemy?

W końcu, obładowani wózkiem, fotelikiem samochodowym i bagażem, który wystarczyłby chyba na tygodniowy wyjazd, idziemy do poobijanego

starego vauxhalla.

Robin klepie kierownicę i odwraca się do mnie z wyrazem idiotycznej dumy na twarzy.

– Heddo, poznaj Belindę. Belindo, to jest Hedda.

– Serio?! Serio nazwałeś swój samochód? Ludzie naprawdę to robią?

– Jasne.

Uruchamia silnik, a kupa złomu – to znaczy Belinda – trzęsie się i ożywa. Brzmi tak, jakby miała jej zaraz odpaść rura wydechowa. A może już odpadła.

– Wiesz, muszę powiedzieć, że to trochę dziwne – oznajmiam.

Robin nie odpowiada, jest skoncentrowany na drodze. Prowadzi jak ktoś starszy o dobre kilkadziesiąt lat. Obstawiałabym jakieś pięćdziesiąt. To trochę przerażające, że jedzie jakieś piętnaście kilometrów na godzinę poniżej limitu prędkości, a mimo to nadal sprawia wrażenie, jakby starał się kontrolować tempo przyspieszania: bardzo wolne.

– Jesteś pewien, że zdałeś egzamin na prawko?

– Pewnie, zrobiłem kurs przyspieszony, kiedy tylko skończyłem siedemnaście lat – odpowiada.

Zaczynam się obawiać, że może kurs był zbyt przyspieszony. Zamykam oczy, kiedy Robin w ślimaczym tempie wyjeżdża na ulicę, ignorując dużą ciężarówkę zbliżającą się do nas. Kierowca pokazuje nam środkowy palec, a potem jedzie tuż za nami, rycząc silnikiem.

Kiedy udaje mi się odezwać, głos mi się trzęsie.

– Robin, czy jesteś pewien, że razem z Belindą dowieziecie nas tam całe i zdrowe?

– Yyy, co mówiłaś? – pyta Robin.

Ustawia radio, poświęcając drodze może jedną trzecią uwagi.

Postanawiam zamknąć oczy i nie tracić nadziei.

Robin mówi mi szeptem do ucha:

– Obudź się, śpiochu. Jesteśmy na miejscu.

Wyrywanie ze snu, zanim jestem na to gotowa, ostatnio przypomina mi trochę uczucie przed atakiem serca. I zaczynam się do niego aż za bardzo przyzwyczajać. Oddycham głęboko przez nos, tłumię jęk i przekręcam głowę, żeby zobaczyć, co robi Rose na tylnym siedzeniu. Śpi smacznie. Siadam prosto, wszystko mi pulsuje, roztrzęsione i nierzeczywiste.

Jesteśmy na małym parkingu pod lasem. Chyba wyjechaliśmy spod

deszczowych chmur, ponieważ przez gałęzie drzew zwisające nad samochodem sączy się blask słońca, tworząc wzory tańczące na tylnym siedzeniu – koronkę cieni na buzi Rose.

– Może powinniśmy urządzić piknik teraz, przy samochodzie? Szkoda byłoby ją budzić – proponuje Robin.

– Nie, rozprostujmy najpierw nogi.

Wysiadam i przeciągam się do nieba. Przyjemnie jest czuć lekki wiatr na twarzy i oddychać wilgocią liści, a nie grzyba.

– Jesteś pewna? Może...? – Robin urywa, kiedy przechodzę za samochód i otwieram bagażnik, żeby wyciągnąć wózek.

Wybieramy szeroką, wyboistą drogę i po chwili parking znika, a my jesteśmy otoczeni chłodnymi zielonymi sosnami, których igły tworzą poduszkę tłumiącą odgłosy naszych kroków i kół wózka. Wszystko pachnie jak świeżo po deszczu. Rose ma otwarte oczy i chyba podoba jej się wiatr, który ją owiewa. Idziemy bez żadnego celu, nasze ramiona dzieli niewielka przerwa. Wyczuwam w niej słabo obecność Molly obserwującej Robina.

Kiedy wychodzimy na małą polankę, Robin przysiadła na grubym pniu drzewa, który wygląda, jakby został wyrwany z ziemi i ciśnięty przez jakąś wielką istotę. Sterczące w powietrze korzenie są odsłonięte i pokryte śladami spływającego z nich błota. Odwracam wózek Rose i siadam po drugiej stronie. Kora jest szorstka i łuszczy się pod moimi palcami. Odkubuję kawałek.

– Dobra. To co u ciebie słyhać? – pyta Robin.

To pytanie, pasujące raczej do Felicity, całkowicie mnie zaskakuje. Dalej skubię korę i zastanawiam się, co odpowiedzieć.

– Chyba w porządku. Wiesz, trochę jestem zmęczona, ale w sumie czego się mogłam spodziewać?

Pytanie zawisa na igłach otaczających nas sosen. Wiatr szumi w wyższych gałęziach, które szeleszczą, jakby nas uciszały.

– Wiesz, co masz zamiar robić? To znaczy, kiedy Rose będzie trochę starsza? – pyta Robin.

Przez chwilę mam wrażenie, że widok przed moimi oczami staje się nieostry, ale zaraz sobie uświadamiam, że to tylko słońce schowało się za chmurę, okrywając polankę cieniem. Myślę o Molly i liście, wyobrażam sobie, jak uśmiecha się lekko zza pleców Robina i pyta: „No to co naprawdę zamierzasz, Hed?”.

– Wszystko okej? – pyta Robin.

– Jasne. – Uśmiecham się do niego. – Masz na myśli college? Pracę? Inne takie?

– Coś w tym rodzaju.

Nie jestem przekonana, czy właśnie o to mu chodziło. W spojrzeniu, jakie mi rzuca, troska miesza się z czymś jeszcze. Może zainteresowaniem, jakby chciał się dowiedzieć czegoś więcej o mnie. Trochę za długo zastanawiam się, co powiedzieć. Robin spuszcza wzrok. Pod zerwanymi przeze mnie paskami kory pień drzewa jest jasny i gładki.

– Nie wiem. Nie wybiegam myślami poza następne karmienie i zastanawianie się, kiedy uda mi się zdrzemnąć – odpowiadam.

W zeszłym tygodniu wymieniłam parę e-maili z college'em. Okazało się, że w ich żłobku nie ma miejsc, a poza tym Edward, wykładowca matematyki, stwierdził, że za dużo zajęć opuściłam, żeby to teraz nadrobić. Czyli poza wszystkim innym wygląda na to, że wyleciałam ze szkoły. Biorąc pod uwagę, jak szybko dostałam oschłą odpowiedź na mój e-mail, dyrektorka niespecjalnie tego żałowała. Prawdopodobnie psułam im statystyki obecności.

– Mogłabyś... – Robin zawiesza głos, kiedy zauważa, jak na niego patrzę.

– Co bym mogła robić? Nie mam żadnych kwalifikacji. Nie jestem w niczym dobra. – Nie liczę tutaj Nii, więc to się zgadza. – Nie ma nic, co chciałoby mi się robić. Chcę tylko zajmować się Rose, a potem... – urywam.

Przez cały czas liczyłam, liczyłam, ile ma Rose, ile tygodni spędziłyśmy razem, ale w tym momencie dociera do mnie, że odliczam także do zera, tak jak przed urodzeniem Rose, do dnia, kiedy wszystko będzie jak dawniej.

Do punktu, w którym nie ma już mnie i Rose.

Nigdy nie miałam żadnych planów poza Nią.

Czym w takim razie jest Rose? Rozwiązaniem tymczasowym?

– ...pomagać osobom w sytuacji podobnej do twojej? Mogłabyś zostać psychologiem albo terapeutą.

Odrywam wzrok od miękkich, białych wnętrzości drzewa i żałuję, że nie mogę przymocować kory z powrotem. Robin jest pełen nadziei, jego oczy błyszczą, a zęby lśnią w szerokim uśmiechu. Przypomina entuzjastycznego szczeniaczka.

Mrużę oczy.

– Wiesz, co myślę o ludziach z „trudną przeszłością”, którzy postanawiają

„ratować” innych takich jak oni? Myślę, że to tylko pieprzenie.

Robin mruga.

– Znaczy, kiedy byłam w ośrodku, miałam wrażenie, że połowa personelu ma jakieś problemy ze sobą. Dlaczego inaczej chcieliby tam pracować?

– Może chcą pomagać innym.

Prycham.

– Gówny prawda.

– Tak tylko mówiłem.

– Wiem, przepraszam – oznajmiam z westchnieniem. – Ale nie jestem matką Teresą i nigdy nią nie będę.

Robin wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale mam już dość tej poświęcanej mi uwagi. Molly, Felicity, a teraz Robin – wszyscy zadają pytania i nie podsuwają żadnych odpowiedzi. Może czas przejść do ataku?

– A co z tobą? Dlaczego naprawdę wylądowałeś w Yewlings?

Strzelam w ciemno, ignorując ten mały dzwonek alarmowy, który czasem mi się odzywa, kiedy mam do czynienia z ludźmi. Mam ochotę pościągać z nich wszystkie te warstwy, nawet jeśli nie spodoba mi się to, co znajdę pod spodem. Jest zresztą coś jeszcze. Robin jest chyba pierwszą osobą od czasów Molly, którą naprawdę chciałabym lepiej poznać.

Robin podciąga się trochę wyżej na pniu drzewa i ucieka ode mnie spojrzeniem.

– Mówiłem ci. Pokłóciłem się z rodzicami...

– O co?

– O... no wiesz... – Patrzy na wózek Rose, jakby tam mógł znaleźć jakąś odpowiedź. Potem spogląda na mnie, a jego oczy lśnią podejrzenie. – Ja... nie umiem o tym mówić. To zbyt... – Rozkłada szeroko ramiona i pozwala, by opadły.

*Bolesne* – myślę.

Cokolwiek to jest, znam ten wyraz twarzy. Widywałam go chociażby na twarzy Molly.

– Nie ma sprawy, panie tajemniczy – mówię i uśmiecham się, bo nie chcę widzieć takiego spojrzenia, nie u Robina.

Robin także się uśmiecha. Przysuwa się bliżej i szturcha mnie ramieniem w ramię. Potem zeskakuje z pnia i zanim zdążam mu powiedzieć, żeby się odczepił, łapie mnie w tali i także zestawia na ziemię. Przelotnie marszczy brwi, stawia mnie bardzo powoli, jakby się bał, że może mnie zgnieść, i

przytrzymuje o sekundę dłużej, niż to konieczne.

Zamieram – nie jestem przyzwyczajona do czyjejkolwiek bliskości poza Rose lub Nią – ale on puszcza mnie, bierze wózek Rose i kieruje go w stronę, z której przyszliśmy.

– Czas na piknik – mówi.

Zanim ruszę się z miejsca, podnoszę długi pasek kory i próbuję go wepchnąć w zrobioną przez siebie dziurę, ale zawija się na krawędziach i nie chce się dopasować.



# ROZDZIAŁ 21

## PIĄTY TYDZIEŃ

– Wygląda na to, że Rose rozwija się bardzo dobrze.

Joanna oddaje mi czerwoną książeczkę Rose z centrum zdrowia, w której zapisane są jej kolejne ważenia i wykres pokazujący jej wzrost. Jest tam, gdzie być powinna – dokładnie. Pamiętam o tym, żeby dwa razy w tygodniu zabierać ją do przychodni na ważenie, nawet jeśli pielęgniarka powiedziała, że mogę już przychodzić rzadziej. Oprócz czerwonej książeczki mam jeszcze jeden zeszyt dla Rose, z zapisanymi porami karmienia, żeby mieć pewność, że zjada dostatecznie dużo. Nie chcę jej przekarmiać.

Joanna zamyka teczkę z dokumentami, a ja udaję, że nie próbuję podejrzeć, co tam napisała. Nie wiem, czy powinnam czuć ulgę, że ta ocena warunków, której się obawiałam, w końcu nastąpiła, więc mogę się przestać o nią martwić czy może chcę tylko zwinąć się w jak najmniejszy kłębek i udawać, że mnie tu nie ma. Kładę rękę na główce Rose.

– Bardziej jednak interesujesz mnie ty sama – ciągnie Joanna. – Jak sobie radzisz?

– Dobrze. Wszystko w porządku.

– Co ze wsparciem otoczenia?

– Jasne, często wychodzę i spotykam się z ludźmi... Napije się pani herbaty?

Zauważam jej wzrok i staram się panować nad wyrazem twarzy. Joanna to jedna z tych osób, które widzą o wiele za dużo jak na mój gust.

– Nie, dziękuję. Chodzisz na spotkania z terapeutką?

– Tak – odpowiadam i tym razem jest to prawda.

Przerabiamy kolejne pytania, co przypomina grę w rosyjską ruletkę. Próbuję się domyślać, co powinnam, a czego nie powinnam powiedzieć, i staram się nie zastanawiać za długo nad każdym pytaniem. Kiedy Joanna pyta mnie o plany na przyszłość, przez chwilę nie wiem, co odpowiedzieć,

ale przypominam sobie rozmowę z Robinem.

– Myślałam o podstawowym kursie pielęgniarstwa. Wydaje mi się... – Robię głęboki wdech, patrzę na nią szeroko otwartymi oczami i staram się brzmieć tak szczerze, jak tylko potrafię. – Sama dużo przeszłam i myślę, że mogłabym naprawdę pomagać innym. Chciałabym pomagać innym. Poza tym to oczywiście zapewniłoby mi stałe dochody.

Joanna patrzy prosto na mnie, a ja siedzę całkiem nieruchomo, aż wydyma wargi, jakby się nad tym zastanawiała.

– Dowiedziałam się trochę na ten temat. Można się starać o stypendium, no i oczywiście pomagają w opiece nad dzieckiem.

– Jak sobie poradzisz z pracą na zmiany? – pyta Joanna.

– Czytałam, że samotne matki... – zaczynam się już orientować w terminologii – znajdują opiekunki do dzieci, które mogą przychodzić w nieregularnych godzinach. Kiedy już zdobędę kwalifikacje i zacznę zarabiać, będę mogła poszukać czegoś ze stałymi godzinami pracy.

– Widzę, że rzeczywiście to przemyślałaś.

– Owszem. Zamierzam wysłać zgłoszenie na wrzesień. Przy college'u jest żłobek, a Rose będzie już wtedy trochę starsza i zacznie więcej spać.

Joanna kiwa głową, ale nie wiem, czy jest przekonana.

– Radzisz sobie finansowo?

Nagle zaczynam się naprawdę cieszyć, że nie chciała herbaty. Nie miała okazji przyjrzeć się pustym półkom w lodówce.

– Tak – mówię, ale widocznie coś zauważa, ponieważ wyciąga lekko pogniecioną, skserowaną ulotkę.

– W ośrodku pomocy społecznej są kursy zarządzania pieniędzmi, ustalania budżetów i tak dalej. Chociaż odbywają się wieczorami i chyba nie oferują opieki nad dziećmi. A nie, tutaj jest napisane, że to dla osób powyżej osiemnastego roku życia. – Wsadza ulotkę z powrotem do skórzanej teczki. – Cóż, skoro sobie radzisz, to pewnie nie będziesz tego potrzebować, ale sprawdzę, czy jest cokolwiek dla młodszych osób. Możemy też poprosić, żeby zrobili dla ciebie wyjątek. – Nie wydaje się jednak pewna, czy to możliwe.

– Proszę się nie martwić, poradzę sobie.

Za bardzo się boję, żeby sprawdzić, ile mam pieniędzy na koncie.

Przed wyjściem Joanna zatrzymuje się, żeby obejrzeć grzyb wokół okna.

– Zamierzam z kimś o tym porozmawiać. Może złożę skargę – mówię

szybko.

Ku mojemu zdziwieniu Joanna kiwa głową.

– Spróbuję porozmawiać z kimś z administracji – mówi.

Zamykam za nią drzwi i stoję, trzymając klamkę.

Przypominam sobie, że powinnam oddychać. Nie mam pojęcia, czy ta ocena warunków wypadła dobrze, czy też nie.

Wracam i podnoszę Rose z maty dla niemowląt. Sadzam ją sobie na kolanach i patrzę na nią, jakby była mapą, którą próbuję odczytać, żebym nie musiała już więcej pytać o drogę. Jej dłonie są takie miękkie, linie na grzbietach palców przypominają moje w miniaturze. Gładzę ją po główce i brewkach, które mają kolor jasnoblond i są wyjątkowo równe. Ma długie, zawinięte rzęsy i ciemnoniebieskie oczy z ciemniejszym pierścieniem wokół tęczówki. Jest taka piękna, że brakuje mi tchu.

Rose patrzy na mnie.

Odwzajemniam spojrzenie i mówię:

– Wydaje mi się, że radzimy sobie świetnie, nie uważasz?

Nagle jej wargi rozciągają się, a cała buzia rozjaśnia się uśmiechem przeznaczonym tylko dla mnie. Trwa to może kilka sekund, ale wiem, że to prawdziwy uśmiech, a nie wywołany wiatrem. Coś w moim sercu otwiera się i wypływa jak lśniąca rzeka zdolna zmyć wszystko to, co na świecie złe, aż pozostaniemy tylko my.

Ja i moja dziewczynka.

Moja śliczna Rose.

## **SZÓSTY TYDZIEŃ**

– Ooo, uśmiechnęła się do mnie!

Laurel schudła. Kiedy jej nie widziałam, zaczęła znikać z błyskawiczną prędkością. Oczywiście martwię się o nią. A także trochę jej zazdroszczę. Wysłałam razem z Rose, żeby spotkać się z Laurel w kawiarni, ale ona nie zamawia nic poza wodą, nawet czarnej kawy. Ja proszę o herbatę, ale, świadoma tego, jak Laurel na mnie patrzy i co wyczułam, kiedy uściskałyśmy się na powitanie, nie słodzę.

Laurel podtrzymuje Rose, chociaż jej ramiona nie wyglądają na dostatecznie silne, żeby to robić.

– Podaj mi ją. Chyba trzeba ją nakarmić – mówię.

Laurel spuszcza wzrok i szuka komórki, kiedy ja daję Rose butelkę.

– Czy ona zawsze wydaje takie dźwięki? – pyta i wiem, że stara się, żeby w jej głosie nie brzmiała odraza.

– Tylko czasami – odpowiadam.

Laurel bawi się torebkami z cukrem w cukiernicy na stole, ściska je z jednej strony i przesuwa kryształki w środku. Pochyla się i patrzy na mnie, jakby pytała o jakiś sekret.

– Jak to jest?

– Co jak jest?

– Wszystko. Bycie w ciąży. Żałuję, że nie widziałam cię, jak byłaś w ciąży!

*Nie wątpię* – myślę.

– Poród to musi być coś okropnego. Chyba szlag może przy tym trafić.

– Co najmniej z kilku powodów – odpowiadam.

– To naprawdę dziwne, ile razy cię z nią widzę, nie mogę w to uwierzyć. To znaczy, zawsze wydawałaś się taka... skoncentrowana – mówi Laurel.

Chce przez to powiedzieć, że koncentrowałam się na Nii. Zaczynam mieć poczucie, że sprawia jej przyjemność oglądanie mnie w takim stanie, świadomość, że w końcu zaczęła wygrywać. Najgorsze jest to, że nie mam pojęcia, która z nas tak naprawdę wygrywa.

– No cóż – mówię. – Chyba powinnam już iść do ośrodka, mam spotkanie z Felicity.

Żegnamy się i umawiamy na następne spotkanie, chociaż teraz jestem rozdarta pomiędzy podziwem a zazdrością, pomiędzy nienawiścią do niej a do siebie. Patrząc na Rose w wózek, przypominam sobie, jak niedawno patrzyłam na nią, jakby na świecie nie liczyło się nic więcej, i staram się przywołać teraz tamto uczucie. Na chwilę mi się to udaje. Potem wraca wizja wąskich ramion Laurel i poczucie, że Rose jest najważniejsza ze wszystkiego, prześlizguje mi się między palcami, aż zostają z niego tylko kawałeczki.

Wzdycham i przepycham wózek z Rose przez drzwi kawiarni.

Ledwie schodzę z wagi i siadam, mówię do Felicity:

– Nienawidzę tego.

Felicity wydaje pomruk dezaprobaty i zapisuje liczbę. Nie mówi nawet

„Mmm?”, tylko czeka, aż poukładam w głowie słowa w taki sposób, żeby miały sens.

– Sama już nie wiem, czego chcę – stwierdzam. – Nic nie jest takie samo. Nie chodzi tylko o Rose. Nie, właściwie to o nią chodzi. Przedtem wszystko było takie jasne, a teraz stało się... skomplikowane.

Następuje Cisza.

W końcu Felicity się odzywa.

– Tak się zastanawiam, czy pomogłoby ci, gdybyś spróbowała spojrzeć na swoje zaburzenia odżywiania pod innym kątem.

Nie rozumiem, o co jej właściwie chodzi.

– Wiem, że lubisz zbierać informacje i robić listy. Może zrobimy listę wszystkiego, co myślisz o swojej anoreksji? Co w swoim mniemaniu dzięki niej zyskujesz i jakie są jej koszty.

Rzucam jej podejrzliwe spojrzenie, ale Felicity mnie ignoruje. Wyjmuje flipchart i kolorowe markery.

Podchodzę do niej, przewracam oczami, ale kiedy piszę *NIA* wielkimi literami na samej górze, Felicity mi przerywa.

– Nie. Uważam, że powinnaś nabrać dystansu do swoich zaburzeń odżywiania. Wbrew temu, co myślisz, to nie jest osoba. Po prostu nie jest. I to nie musi być także częścią ciebie. Myślę, że w głębi duszy wiesz o tym.

Stoję z czerwonym pisakiem w ręku. Jego zapach sprawia, że zaczyna mnie mdlić. Podnoszę podbródek i patrzę przed siebie. Nie będę tego robić.

Felicity pozwala, by milczenie trwało jeszcze chwilę, a potem wzdycha.

– Zróbmy tę listę, dobrze?

Patrzę na nią przez chwilę, a potem podnoszę oczy do sufitu.

– Dobra, wszystko jedno.

NIA

Korzyści:

(Felicity wydaje pomruk niezadowolenia.)

Korzyści:

Co moim zdaniem z tego mam:

- Jestem szczupła.

- Jestem bezpieczna („Co dla ciebie oznacza bezpieczeństwo?” - pyta Felicity).

Patrzę na słowo „bezpieczna” przez dłuższą chwilę, a potem zapisuję następny punkt).

- Nia trzyma świat na dystans.

- Mam kontrolę - panuję nad wszystkim (Felicity wydaje w tym momencie pomruk, ale wtedy przypominam jej, że to ja powinnam robić listę, a nie ona).

- Zwracam na siebie uwagę (to propozycja Felicity, którą dodaję dopiero po dłuższej dyskusji).

- Mam cel w życiu.

- Mam coś, co mnie zajmuje.

- To sprawa, że jestem niezwykła, wyjątkowa.

- Jestem w tym dobra.

- Nie umiem robić nic innego.

Wady:

(Felicity znowu wzdycha.)

Wady:

Jaką cenę za to płacę:

- Brak (kolejna dyskusja).

- Brak

- Nie chodzę do szkoły.

- Straciłam przyjaciółki.

- Musiałam być w szpitalu.

- Krzywdzę swoją rodzinę.

- Krzywdzę siebie.

- Kiedyś mnie to może zabije.

(Po długiej przerwie dopisuję jeszcze:)

- To może skrzywdzić Rose.

- Czy mogłabyś trochę rozwinąć ten ostatni punkt? – pyta Felicity, ale splatam ramiona, patrzę na nią ze złością, a ona ma dość rozumu, żeby tego nie drażyć.

Moja godzina już prawie minęła. Potrzebowałam tyle czasu, żeby wymyślić tych kilka punktów, które nawet w części nie obejmują problemu. Nawet w najmniejszej części. Myślę o zeszytcie, który leży w szufladzie w mieszkaniu, o mojej prywatnej liście rzeczy do dupy i nie całkiem do dupy w ośrodku. Zaczynam sobie uświadamiać, że nigdy nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego w ogóle jestem w szpitalu, co sprawiło, że tam trafiłam. Albo że może w przypadku Nii są jeszcze inne rzeczy do dupy, poza pobytem w ośrodku. Ściskam poręczę krzesła tak mocno, że zaczyna mnie boleć. Nie ma mowy, żebym to powiedziała na głos.

- Myślę, że powinniśmy do tego wrócić za tydzień – mówi Felicity.

Przygryzam wargę, ponieważ tak naprawdę chciałabym wziąć najgrubszy czarny marker i przekreślić wszystkie słowa na flipcharcie. To wszystko jest głupie. Ale też sprawia, że zaczynam trochę się zastanawiać. Problem polega na tym, że ze swojego punktu widzenia nie mam pojęcia, które argumenty przeważają. Chociaż wiem, że Rose powinna być ważniejsza niż wszystko inne na liście, ta myśl nie przynosi mi takiej pociechy, jak powinna. Sprawia, że czuję się troszeczkę... jak w więzieniu.

## **SIÓDMY TYDZIEŃ**

Rose płacze. Dźwięk wypełnia mieszkanie i moją głowę.

Ramiona mnie bolą od noszenia jej i chodzenia w kółko po poplamionym kupą chodniku. Mam wrażenie, że tkwimy tu całą wieczność, ona i ja.

Facet obok zaczyna walić w ścianę.

- No już, skarbie, przestań płakać, proszę.

Nie wiem, co jest nie tak z nią albo ze mną. Nie mogę spać nawet wtedy, gdy ona śpi. Żałuję, że życie nie ma jakiegoś pilota, na którym mogłabym włączyć przewijanie do tyłu. Chciałabym być dzieckiem, którym ktoś by się zajmował.

Rose dalej płacze, a ja nic nie mogę na to poradzić. Narasta we mnie okropna wściekłość, aż zaczyna mi się wydawać, że zaraz wybuchnę. Nagle mam wizję, że upuszczam Rose na podłogę, robię cokolwiek, żeby przestała płakać. Bardzo ostrożnie kładę ją na chodniku, idę do sypialni, opieram się o łóżko i próbuję nie słyszeć jej przeszywających krzyków. Wciągam powietrze w płuca i wypuszczam je, całym sercem życząc sobie, żebym mogła zasnąć.

Nie poradzę sobie.

Próbowałam wszystkiego: karmienia, przewijania, odbijania, piosenek, telewizji, żeby odwrócić jej uwagę. Nic nie działa. Może ona mnie nienawidzi.

Kolejne uderzenie w ścianę. Facet wali w nią teraz jak oszałały.

Krzyk:

– Uciszyć tego bachora!

Mam ochotę rozwalić mu drzwi, wepchnąć Rose do ręki i wrzasnąć: „Sam spróbuj!”, a potem uciec gdzieś daleko, wsiąść do pociągu i po prostu zniknąć.

Może to ja jej nienawidzę. Jak to możliwe, skoro tak bardzo ją kocham?

Potrzebuję się po prostu przespać. Kręci mi się w głowie.

Rose dalej krzyczy w pokoju obok, ale ja nie mogę się ruszyć. Myślę: *Nie chcę tego. Nigdy tego nie chciałam.* Miałam rację kilka miesięcy temu, kiedy uważałam, że powinnam usunąć ciążę. Dlaczego zmieniłam zdanie w szpitalu? Dlaczego uznałam, że będę mogła się nią opiekować? Nie potrafię nawet sprawić, żeby zasnęła.

Dźwięk narasta w crescendo, a w mojej głowie zostaje tylko biały szum.

Dołącza się Nia ze swoją zwykłą śpiewką: *Spaślak, odrażająca maciora.*

Gdybym wierzyła w Boga, teraz zaczynałabym się modlić. Ale nie wierzę. Wracam do pokoju dziennego, przysuwam twarz do Rose i syczę:

– Zamknij się! Po prostu się zamknij!

Nie muszę chyba mówić, że od tego zaczyna jeszcze bardziej płakać, więc podnoszę ją i siadam z nią na podłodze, czując do siebie odrazę. Wykręca się i wrzeszczy w moich ramionach.

*Co się z tobą dzieje?*

Czuję, że Nia mnie obserwuje – obserwuje i śmieje się mrocznym, dymnym głosem, owija się wokół żarówek i unosi nad płamkami grzyba na ścianach.



Chyba zaczynam wariować.

Słyszę teraz walenie do drzwi i krzyki na korytarzu. Chyba słyszę głos Robina. Otwieram drzwi, nie zdejmując łańcucha, z Rose na rękę, i widzę profil Robina, do którego podchodzi wojowniczy facet z sąsiedztwa. Robin jest równie wysoki, ale o wiele szczuplejszy i wydaje się taki młody jak jego imiennik z *Batmana*. Za młody, żeby się wtrącać i zostawać superbohaterem. Rose dalej płacze, ale już ciszej, wydaje z siebie zmęczone pobekiwanie jak jagniątko. Facet z sąsiedztwa mówi coś i wraca do siebie, trzaskając drzwiami tak mocno, że całe mieszkanie się trzęsie. Ramiona Robina opadają, na chwilę opiera się o ścianę, a jego pierś szybko się unosi i opada. Odwraca się i zagląda przez szczelinę nad łańcuchem. Ma podkrążone oczy. Jest prawie pierwsza w nocy.

– Przepraszam. Wszystko w porządku? Przepraszam. Ona nie przestaje płakać – mówię martwym głosem i wybucham płaczem.

Robin wchodzi, bierze Rose i uspokaja ją. Czuję się chora i roztrzęsiona. Wyschnięta. Siadam na łóżku z kolanami podkulonymi pod brodę i szczypię tłuszcz na całej długości ud. Rano będę miała siniaki, ale zasłużyłam na to.

– Usnęła – mówi Robin szeptem od drzwi.

– Dziękuję.

Siada obok mnie na łóżku.

– Będzie lepiej.

– Naprawdę? Skąd możesz to wiedzieć? A jeśli...? – Nie potrafię dokończyć tego zdania. Myśleć, że popełniłam błąd, zatrzymując Rose, to jedno. A powiedzieć na głos to zupełnie co innego. Poza tym kocham ją. Kocham, kocham, kocham.

Robin obejmuje mnie, a ja pozwalam, żeby przyciągnął mnie do siebie, tak że moje ucho opiera się o jego pierś. Zastanawiam się, czy właśnie to lubi w nim Rose – jego rytm serca jest miarowy, nie taki nierówny i przerywany jak mój.

Po chwili obejmuje moje ramiona drugą ręką. Patrzę na niego, jego twarz jest widoczna w blasku księżyca wpadającym przez rozsunięte zasłony. Odgarnia mi włosy z czoła, a potem pochyla się i dotyka ustami moich ust, tylko na moment, i cofa się.

– Robin... – zaczynam.

– Prześpij się. Wpadnę jutro.

Zamykam za nim drzwi na klucz i przeciągam kołyskę centymetr po

centymetrze do sypialni, gdzie w końcu kładę się do łóżka i zasypiam bez zaciągania zasłon.

Kiedy się budzę, Rose gaworzy w kołysce. Przecieram twarz grzbietem dłoni. Jest już prawie rano, a blask wschodzącego słońca sprawia, że wszystko staje się ciepłe i pomarańczowe. Patrzę na zegarek: piąta. To chyba niemożliwe? To by znaczyło, że Rose spała cztery godziny.

Pochylam się i patrzę na nią. Ssie piąstkę i wydaje się zachwycona tym, że zdołała ją sobie wsadzić do buzi. Wypełnia całą kołyskę – naprawdę muszę poprosić tatę, żeby przywiózł łóżeczko. Obiecywał to wieki temu.

Ryzykuję zostawienie jej i idę do łazienki, a kiedy wracam i podnoszę ją, opieram policzek na jej ciepłej główce. Nagle uświadamiam sobie, że ona nie jest już noworodkiem. Może to początek czegoś nowego.

– Przepraszam – mówię szeptem.

Przysięgam sobie w duchu, że nigdy więcej nie stracę przy niej panowania, nigdy nie będę się zastanawiać, czy słusznie postanowiłam ją zatrzymać.

Pasujemy do siebie, Rose i ja. Nie mamy innego wyjścia.

Razem oglądamy wschód słońca.

Czekam do ósmej, ponieważ jest sobota, i wysyłam esemesa do taty.

*Cześć, tato. Pamiętasz, że miałeś mi podrzucić łóżeczko? Całuję, H.*

Jestem zaskoczona, gdy komórka odzywa się niemal od razu.

*Będę niedługo. Całuję, tata*

Widocznie chciał uciec z domu.

Kiedy tata w końcu puka do drzwi, mam wrażenie, że Rose i ja jesteśmy na nogach od kilku lat, choć minęła dopiero dziewiąta.

Ma ze sobą jeden z paneli łóżeczka i jest trochę zaczerwieniony na twarzy.

– Winda nie działa.

– A tak, pewnie powinnam była cię uprzedzić – mówię.

Rzuca mi kwaśne spojrzenie.

– Gdzie to położyć?

Prowadzę go, żeby zostawił panel w sypialni – nie ma innego wyboru.

– Może być tu trochę ciasno – zauważa tata. – Czy może mógłbym się czegoś napić, zanim pójdę po resztę? A przy okazji przytulić wnuczkę?

Wkładam mu Rose w ramiona i obserwuję ich kątem oka, kiedy gotuje się woda. Tata trzyma Rose pod kątem, który jest proszeniem się o kłopoty. Chcę powiedzieć: „Uważaj na jej główkę”, „Nie upuść jej” i „Ostrożnie”, ale

słyszę echa głosu mamy powtarzającego mi przez lata, że mam tego nie robić, a na tamto uważać. Małeńka, najmniejsza część mnie może zaczyna rozumieć, dlaczego mówiła takie rzeczy – tę potrzebę chronienia, jaką się ma przy dziecku. Może odrobinę.

Zaraz potem Rose wymiotuje na spodnie taty. Podbiegam z paczką wilgotnych chusteczek, a tata wyciera się, nie tracąc dobrego humoru.

– Zapomniałem, że to robią – mówi.

– Ja też?

– Ty zawsze byłaś chora – mówi tata. – Miałaś kolki, czy jak to się nazywa. Wrzeszczałaś całymi godzinami. Nic dziwnego... – Milknie, a ja patrzę na niego, przechylając głowę. – No to co, zajmiemy się resztą łóżeczka?

– Nie wypileś jeszcze herbaty.

– No tak, może trochę później. Może poprosimy tego młodego człowieka zza ściany, żeby nam pomógł?

Czuję się trochę winna, zwracając się do Robina tak szybko po ostatniej nocy. Poza tym skrępowana, bo tak jakby się pocałowaliśmy, a ja nie jestem pewna, czy to było pod wpływem chwili, z litości, czy z jakiegoś innego powodu. Nie wiem też, czy mi się to podobało i czy chciałabym go jeszcze kiedyś pocałować.

Robin już nie śpi i jest chętny do pomocy. Potrzebują kilku kursów po schodach, żeby wnieść łóżeczko na górę, a potem następuje trochę walenia i mamrotanych przekleństw, kiedy próbują je poskładać. W końcu jest gotowe. Muszę praktycznie przełazić przez nie, żeby położyć się do łóżka albo wstać z niego, i będę musiała je całkiem przesunąć, żeby otworzyć drzwi szafy z ubraniami.

– Wygląda świetnie! – mówię, ponieważ to tylko moja wina, że jesteśmy w mikroskopijnym mieszkanku w parszywej dzielnicy.

Tata myśli chyba to samo, ponieważ marszczy brwi. Mimo wszystko nie proponuje, żebyśmy wrócili do domu. Pewnie tak jest lepiej.

Wychodzi, żeby poszukać jeszcze czegoś do zrobienia, a Robin patrzy na mnie.

– Podoba ci się?

– Owszem, dzięki temu wszystko wydaje się bardziej... stałe – mówię to z roztargnieniem, nie uświadamiając sobie do końca, jak to brzmi, a potem mam ochotę wciągnąć te słowa z powrotem tam, gdzie ich miejsce.

Robin rzuca mi przenikliwe spojrzenie.

– To dobrze?

Może z powodu tego czegoś w rodzaju pocałunku albo rytmu jego serca nocą, równego jak metronom, wreszcie nie szukam wykrętów.

– Tak myślę. Chociaż to przerażające – mówię tylko.

– Chyba tak. Nie potrafię sobie wyobrazić takiej ogromnej odpowiedzialności.

– O, jestem pewna, że byłbyś świetnym tatą – uśmiecham się.

– Muszę już lecieć... Mam mnóstwo do zrobienia – mówi i ucieka z sypialni, a ja patrzę za nim i przeklinam własną głupotę. Na pewno pomyślał, że chcę złowić ojca dla Rose...

Kładę rękę na policzku i czuję, jaki jest gorący.

Po wyjściu Robina zostajemy tylko ja i tata z małą Rose na kolanach.

– Masz jakieś herbatniki? – pyta z nadzieją, kiedy podaję mu herbatę.

Omam nie upuszcza Rose, kiedy podaję mu paczkę Rich Tea. Nie mam serca mu powiedzieć, że Robin przyniósł je kilka tygodni temu na wypadek, gdybym chciała coś przegryźć, kiedy ją karmię. Nie zostały od tego czasu otwarte.

– Poczęstujesz się?

– Jestem nimi przejezdzona – mówię i opuszczam wzrok, żeby się napić herbaty.

Tata zajmuje się Rose, podrzuca ją na kolanie i wygładza śliniaczek, który ma na szyi, żeby łapał wypluwane mleko i ślinę.

– Tato?

– Mmm?

– Jak myślisz, czy mogłam mieć refluks albo coś w tym rodzaju? Kiedy byłam mała?

Ciągle patrzy na Rose, nie na mnie.

– Bo mówiłaś, że byłam chora i dużo płakałam. Może to był refluks. Czytałam o tym w internecie. Może nie byłam trudnym dzieckiem.

Patrzy na mnie.

– A kto powiedział, że byłaś trudnym dzieckiem?

– Mama, wiele razy. – Jestem całkowicie pewna, że tata musiał to słyszeć przynajmniej kilka razy. Próbuję sobie przypomnieć, na które sesje terapii rodzinnej faktycznie przychodził i co wtedy mówił, ale natrafiam na całkowitą pustkę.

– Cóż, chyba rzeczywiście dużo płakałaś, a twoja matka nie... Było to dla niej trudne. Miała lekki baby blues, chyba tak się to nazywa. Na pewno nie pomagało to, że musiałem tyle wyjeżdżać służbowo.

– Chodzi ci o taki baby blues na czwarty dzień po porodzie? – pytam i wzdrygam się, kiedy sobie teraz przypominam, jak zamieniłam się w zapłakany kłębek.

Głupie hormony, przez które czujesz się jak idiotka.

– Myślę, że to trwało dłużej, może kilka miesięcy.

– Miała depresję poporodową? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Jak myślisz, dlaczego ona...?

Spojrzenie taty, dzielącego uwagę między Rose a mnie, staje się twardsze, a on sam się prostuje. Wydaje się, że stara się patrzeć wszędzie, byle nie mnie w oczy, jakby nie chciał, żebym mogła coś z nich odczytać.

– Nie znam tych wszystkich terminów: refluks, depresja jakaś tam. Miała trudny okres. Różne rzeczy były... skomplikowane. Ale po jakimś czasie jej przeszło. Uwielbiała cię.

Prycham.

– Naprawdę tak było. Dalej tak jest. Wiesz chyba, że nie jest jej łatwo. Ona...

– Mnie też nie było łatwo! – Nagle mój głos staje się głośniejszy i wyższy. Całe lata milczenia potykają się o siebie nawzajem, próbując się wydostać. – Masz pojęcie, jak było w tych wszystkich ośrodkach? Jak bardzo się bałam? Moja najlepsza przyjaciółka umarła na moich oczach.

Po raz pierwszy mówię to tak otwarcie i mam wrażenie, że słowa zawracają i uderzają mnie w żebra.

Twarz taty ma jednak ostrożny, odległy wyraz.

Biorę głęboki wdech, żeby mówić dalej, ale się powstrzymuję. Co to da?

Tata bez słowa oddaje mi Rose.

– Nikomu z nas nie było łatwo, skarbie – mówi z nutą stanowczości w głosie. Potem odwraca się, żeby spojrzeć na sufit. – Czy oni coś zamierzają zrobić z tymi zaciekami?

Otwieram usta i zaraz je zamykam. Jakaś część mnie chce się dalej wściekać, obrzucić go wszystkimi obelgami, jakie znam, żeby zaczął mnie słuchać. Żeby mnie zobaczył. Ale nie robię tego.

Mówię tylko:

– Mam zamiar zgłosić to w administracji. Poprosić, żeby kogoś przysłali. –

Mam to na liście rzeczy do zrobienia, tyle że nienawidzę z nimi rozmawiać. Kiedy ostatnio próbowałam dzwonić, urzędniczka praktycznie mnie wyśmiała i powiedziała, że jest cała kolejka zgłoszeń. Odniosłam wrażenie, że zajmą się Yewlings gdzieś w okolicach 2050 roku.

– Doskonale. To niezdrowe dla dziecka. W lecie może nie być źle, ale nie możesz trzymać jej w zawilgoconym mieszkaniu zimą. To nie jest miejsce dla małego dziecka. Mogłaby zachorować. – Tata wstaje, żeby wyjść. – Twoja matka tęskni za Rose. Powinnaś do niej zadzwonić.

Wydaję nieokreślony pomruk.

– Daj mi znać, gdybyś potrzebowała pieniędzy – mówi tata.

– Radzę sobie, dzięki – odpowiadam, chociaż to właściwie nie jest prawda. Zauważam ulgę na jego twarzy.

Kiedy wychodzi na korytarz, chcę pobiec za nim razem z Rose i krzyknąć: „Nie zostawiaj nas tutaj samych. Potrzebujemy kogoś, żeby się nami opiekował”.

Ale tu chodzi tylko o mnie. A ja tego nie potrzebuję.

Zamykam drzwi, zjadam resztę herbatników, a potem cicho i rozpaczliwie pozbywam się ich – to jedyna wersja obżarstwa, na jaką Nia mi pozwala. Mówię sobie, że to tylko ten jeden raz.

# ROZDZIAŁ 22

## ÓSMY TYDZIEŃ

Idę do biblioteki po nowe książeczki dla Rose. Ta z kosmitami zrobiła się nudna, więc teraz zabieram wózek i wypożyczam pięć albo sześć jednocześnie. Rose najbardziej lubi rymowanki i książki z bardzo kolorowymi obrazkami. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Po drodze do biblioteki myślę o wyrazie twarzy taty, kiedy go zapytałam o mamę. Jest coś, czego mi nie mówi, jestem tego pewna. Ale nic z niego nie wyciągnę. Prawie nie odpowiada na moje esemesy, chyba że po to, żeby zaproponować mi pieniądze, za które dziękuję. Z jakichś powodów nie chcę od niego brać pieniędzy.

Dzwonię jednak do mamy. Tata miał rację w jednej sprawie: mama tęskni za Rose. Spotykamy się w kawiarni na mieście, ponieważ nie chcę przychodzić do domu, a mama nie znosi mojego mieszkania.

Kiedy tylko widzi Rose, jej twarz przybiera wygłodniały wyraz. Wyciąga ręce, jakby nie mogła się powstrzymać. Podaję jej Rose, a żołądek ściska mi poczucie winy.

Mama tuli ją i patrzy na nią, jakby zapomniała, jak się mówi. W końcu podnosi na mnie wzrok, a jej oczy są aż za jasne.

– Tak bardzo urosła. Nie mogę uwierzyć, jak szybko się zmienia.

Dla mnie Rose wygląda tak samo, ale przecież widzę ją codziennie. Siadam. Mama nadal gładzi Rose po główce, a Rose uśmiecha się do niej i widzę, jak to sprawia, że mama się rozpromienia. Sadza sobie Rose na kolanach i przemawia do niej, pokazuje jej serwetkę i pobrzękuje bransoletką, którą Rose jest zafascynowana. Czuję, że coś we mnie zaczyna odrobinę mięknać, tak jak masło po wyjęciu z lodówki.

– To może coś zamówimy? – Mama rzuca mi spojrzenie, a ja natychmiast sobie uświadamiam, że ona wie. Wie, że nie jem tego, co powinnam. Prawdopodobnie od razu to zauważyła.

Ale ponieważ obie doskonale znamy ten taniec, zmuszam się do uśmiechu i mówię:

– Jasne!

Przeoglądam menu z przyspieszonym pulsem, w głowie robię obliczenia, ale nie mogę się wahać za długo, ponieważ to by mnie zdradziło – tak samo jak zamówienie sałatki i coli light.

Podchodzi kelnerka. Mama prosi o zupę dnia i rogalik, a potem przychodzi kolej na mnie.

Nic na to nie poradzę, wpatruję się w menu o sekundę za długo, podczas gdy Nia skrzeczy na mnie i chce się dowiedzieć, z czego ta zupa jest robiona, czy dodają do niej śmietany i jaką ma zawartość kalorii.

– Poproszę to samo – mówię, żeby ją zagłuszyć, głosem tak zbliżonym do normalnego, że nikt poza mamą nie zauważyłby, że coś jest nie tak.

Kelnerka odchodzi.

Mama nie ma zamiaru oddawać mi Rose.

Uznaję, że zmiana tematu to strategia tak dobra jak każda inna, i pytam:

– Co tam u Tammy i taty?

– W porządku.

Czekam na nieuniknioną kontynuację w postaci nowych cudownych osiągnięć Tammy, ale mama nie mówi nic więcej.

Zauważam, że ma zrobione pasemka, ale odcień jest odrobinę nie taki i zamiast wyglądać korzystnie, sprawiają, że jej skóra wydaje się ziemista i stara. Ma nałożone wyjątkowo dużo makijażu i perfum, więcej niż zwykle, jakby to była jej zbroja. Czy to ze względu na mnie, czy też coś się dzieje?

Zastanawiam się, co powiedzieć.

– Chyba powinnam była uprzedzić wtedy tatę, że winda jest zepsuta – mówię w końcu.

Mama patrzy nierozumiejąco.

– Wtedy, gdy przywiózł mi łóżeczko.

– Aha! Tak, oczywiście. – Mama poprawia Rose na kolanach. – Ostatnio sporo wyjeżdża. – W jej głosie jest napięcie, kiedy to mówi, ale nie mam czasu zapytać, co się dzieje, ponieważ zostaje przyniesiona zupa.

– Może potrymam Rose, żebyś mogła spokojnie zjeść? – proponuję.

– Nie, nie trzeba. Jedz, zanim wystygnie – mówi mama i rzuca mi twarde spojrzenie.

Cholera.



Dzielię rogalik na małe okruszki, solę zupę. Wypijam łyk wody. Przez cały ten czas mama mnie obserwuje.

Nie mam wyboru. Mogłabym zabrać Rose i wyjść, ale boję się, co to może oznaczać, co mama mogłaby powiedzieć Joannie. Dlatego wmuszam w siebie wszystko, zmuszam się, żeby powiedzieć mamie, że było pyszne, a kiedy oddaje mi Rose, żeby zjeść swoją porcję, przyciągam Rose do siebie i opieram ją na brzuchu, który wydał się jak balon. Mogłabym teraz się pochylić i zwymiotować, patrzeć, jak ta tłusta zupa wielką falą rozlewa się po podłodze.

Stukam stopą w podłogę i Rose chyba wyczuwa, jak źle się czuję, ponieważ wierci się i zaczyna płakać.

Podnoszę ją, wacham ostentacyjnie jej pupę.

– Oho, kogoś chyba trzeba przewinać! – mówię tym upiornym, melodyjnym tonem, jakim ludzie zwracają się do dzieci.

Mama odkłada łyżkę.

– Nie, nie, jedz spokojnie. Zaraz wrócę – zapewniam i pędzę na drugi koniec kawiarni, do toalety dla niepełnosprawnych.

Nie mam gdzie położyć Rose, czuję kolejne zimne ukłucie poczucia winy, kiedy ściągam sweter i kładę ją na nim na podłodze toalety. Potem pochylam się i pozbywam się wszystkiego, płuczę usta i spuszczam wodę. Muszę poczekać, aż w głowie przestanie mi pulsować, a moje serce wróci do tego, co jest w moim przypadku normalnym rytmem. W końcu czuję się na tyle pewnie, żeby podnieść Rose.

Kiedy wracam do stolika, mama mruży oczy.

– Zapomniałaś torby do przewijania – mówi.

– A, to musiały być gazy, bo była tylko troszeczkę mokra. Strasznie długo mi zabrało zapinanie tych wszystkich rzepów, bo się okropnie wierciła – mówię z nadzieją, że mój oddech nie pachnie wymiocinami.

Mama rzuca mi to doskonale znane spojrzenie z uniesionymi równo brwiami.

Zanim zdąży coś powiedzieć, czuję przypływ natchnienia.

– To wstyd, że nie mają tu porządnego stołu do przewijania. To praktycznie dyskryminacja. Ktoś powinien im coś powiedzieć.

Mama postanawia mi uwierzyć i oburzyć się brakiem udogodnień. Prosi, żeby wezwać menedżera.

– Musimy niedługo iść – mówię, kiedy kelnerka idzie po swojego szefa. –

Dziękuję za lunch.

Przypinam Rose w wózku.

– Miło było zobaczyć was obie – oznajmia mama. Z trudem słyszę ostatnie słowa przez hałas, jaki robi stojący w kącie ekspres do kawy. – Odzywaj się czasem – dodaje.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Kiwam głową.

W tym momencie do mamy podchodzi zaczerwieniona na twarzy kobieta.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak – oznajmia mama stanowczym tonem, a ja wiem, że menedżerkę czeka dłuższa rozmowa.

Korzystam z okazji, żeby uciec.

Następnego dnia szykuję się na kolejne spotkanie z Felicity, kiedy przychodzi list. To Brązowa Koperta, co nie oznacza nic dobrego. Ostrożnie odkładam ją na bok, jakby mogła wystrzelić papierowe języki i pokroić mnie na cieniutkie kawałki, ale mój problem polega na tym, że zawsze muszę wiedzieć, nawet jeśli to coś złego.

– Miejmy to już z głowy, co? – mówię do Rose, której buzia rozjaśnia się uśmiechem opromieniającym ją całą.

Słońce wlewa się przez okno i świeci prosto na nią. Gardło mi się zaciska. Takie chwile prawie równoważą te noce, kiedy płacze, a ja myślę, że nie dam rady już dłużej.

Niechętnie obracam kopertę i otwieram ją jednym szarpnięciem, zrywając taśmę szybko i gwałtownie. Przeglądam list i klnę po cichu. Nie zgłosiłam się na komisję, żeby załatwić przyznanie mi zasiłku. Kiedy to wysyłali? Cofam się pamięcią o kilka tygodni, próbuję sobie przypomnieć wcześniejsze listy, ale nie mogę. Podają numer infolinii, ale to zjada impulsy, a ja wiem, że i tak prawie nic mi już nie zostało na karcie. Będę musiała pójść do urzędu pracy i spróbować to załatwić.

Godzinę później wprowadzam wózek Rose do biura zajmującego się zasiłkami. Nienawidzę tego miejsca. Byłam tutaj tylko raz, kiedy wypisano mnie z ośrodka, a oni musieli mnie zakwalifikować, co było po prostu śmiechu warte. Wtedy miałam umówiony termin spotkania, ale dzisiaj po prostu przyszłam. Rozglądam się i orientuję, że trzeba wziąć numerek. Biorę, a potem siadam tak daleko od innych, jak tylko mogę, żeby sobie wmawiać, że w ogóle nie powinno mnie tu być.

Czekam w nieskończoność. Ludzie wchodzą i wychodzą po poplamionym chodniku, powietrze jest gęste i ciężkie od rozpaczy wymieszanej z odrobiną złości. Jedna ściana jest przeszklona, co powinno trochę rozjaśnić to miejsce, ale tylko podkreśla jego obskurność. Niepokoję się o Rose, sadzam ją i wsuwam rękę pod kaftanik, żeby sprawdzić, czy nie jest jej za gorąco. Mój telefon podpowiada, że to pora karmienia, więc wyjmuję butelkę i właśnie wtedy wyświetla się mój numer. Typowe. Przedziera się na początek kolejki, ignorując Rose, która nie jest zachwycona przerwaniem jej posiłku, robi się czerwona i przygotowuje się do wrzasku.

Kiedy widzę kobietę za biurkiem, wiem, że nie będzie dobrze. Ma głębokie niezadowolone zmarszczki między brwiami i usta, które wyginają się w dół, kiedy bierze ode mnie pomięty list.

– Naprawdę nie wydaje mi się, żebym dostała jakieś zawiadomienie o tej komisji – odzywam się.

Urzędniczka stuka w klawiaturę.

– Czy możesz potwierdzić adres?

Mogę.

– Wysłaliśmy pismo w tej sprawie dwudziestego – informuje.

– Ale ja go nie dostałam. Proszę posłuchać, od niedawna mam dziecko i wszystko jest kompletnie zwariowane. Czy nie mogłaby pani...?

Ale to na nic. Poznają już po tym, jak patrzy na mnie z wyższością, marszcząc brwi, jak energicznie stuka w klawiaturę wymalowanymi żelem paznokciami – swoją drogą, absurdalnie brzydkimi – że nie zamierza dla mnie naginać żadnych przepisów.

– Obawiam się, że skoro nie zgłosiłaś się na komisję, twoja renta inwalidzka została zawieszona – mówi, a w jej oczach pojawia się błysk, jakby się dobrze bawiła.

– Na jak długo? – podnoszę głos z niepokoju.

Nie spieszy się, przegląda coś na komputerze i zaznacza jakieś rubryczki.

– Tutaj jest napisane, że i tak powinnaś się starać o zasiłek na dziecko. Wypełnij ten formularz. – Podaje mi go.

– Co takiego? Nikt mi nic nie mówił. Ile to potrwa?

Praktycznie wzrusza ramionami.

– Nowe zgłoszenia są zazwyczaj rozpatrywane w przeciągu miesiąca.

– Miesiąca? Z czego mam żyć do tego czasu?

Jej twarz mówi jasno, że to nie jej sprawa.

Biorę formularz i zaczynam go wypełniać, ale potrzebuję różnych informacji, których nie mam przy sobie. Muszę zabrać go do domu. Zastanawiam się, czy poprosić o pomoc, ale Rose wydaje dźwięki świadczące o tym, że mam trzy, góra cztery minuty, zanim rozkręci się na dobre, a ja czuję pot spływający mi po plecach. Wyprowadzam wózek na palące słońce, znajduję ławkę, żeby ją nakarmić, znowu patrzę na telefon i klnę, ponieważ wiem już, że będzie mi bardzo trudno zdążyć na spotkanie z Felicity.

Ostatecznie spóźniam się dziesięć minut, ale Felicity jest jeszcze zajęta inną pacjentką. Nie zabrałam ze sobą wody, więc ból głowy ściska mi skronie jak obcęgi. Chcę tylko położyć się na podłodze i zasnąć. Zamykam na chwilę oczy i nie otwieram ich, dopóki nie rozlega się głos Felicity.

– Witaj, Heddo. Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada.

Z największym trudem otwieram oczy.

Popycham za nią wózek z Rose.

Felicity przestała już narzekać, że ją przyprowadzam. Przypomniałam jej, że nie mam nikogo, z kim mogłabym zostawić Rose, więc jeśli ja mam przychodzić, to ona razem ze mną.

– Czy mogłabym dostać trochę wody? – pytam lekko skrzeczącym głosem.

Felicity wyciąga flipchart z poprzedniego spotkania.

Staram się nie jęknąć.

– Naprawdę nie mam dzisiaj na to nastroju – oznajmiam.

Felicity unosi brwi z wyrazem twarzy mówiącym „rozwiń myśl”.

Mam wrażenie, że to nie ja tutaj tak naprawdę siedzę z Rose śpiącą w wózku, jakby kilka ostatnich miesięcy po prostu nie mogło się wydarzyć.

– Może to sen... albo koszmar, nieważne – mruczę pod nosem. Jeśli koncentruję się mocno na jednym punkcie, obraz się rozmywa i gabinet zaczyna się wydawać nierzeczywisty. Jakbym mogła zniknąć.

– Może czyniąc się mniejszą fizycznie, czujesz się, jakbyś mogła dzięki temu zniknąć – podsuwa Felicity.

– Powiedziałam to na głos? Tracę wyczucie... To przez brak snu, podobno naprawdę jest zabójczy! – Staram się mówić lekko, ale brzmię raczej jak zombi. Upał mi nie pomaga. – Mogę otworzyć okno?

Felicity włącza wiatrak na biurku, więc przesuwam krzesło, żeby czuć powiew na twarzy, i chciwie wypijam szklankę wody, którą dostałam.

– Wydawało mi się, że według pani zależało mi na zwróceniu uwagi. – Wskazuję ruchem głowy flipchart stojący znowu w kącie, ponieważ pamiętam, jak Felicity dodawała tę pozycję do listy.

Felicity unosi brwi.

– Nie wiem... może tak było, kiedy byłam młodsza. Ale teraz... teraz mam inne powody, żeby zniknąć – mówię.

Myślę o tym, żeby uciec z tego pokoju, zostawić Rose i wszystko inne za sobą, znaleźć jakąś chatkę na wzgórzach, gdzie mogłabym zostać pasterzem czy kimś takim, z dala od cywilizacji.

– Mówiliśmy już wcześniej o znikaniu. O tym, co to dla ciebie oznacza – przypomina Felicity.

W pokoju jest tak gorąco, że mój mózg z trudem pracuje.

Felicity mówi dalej.

– Istnieje wiele rodzajów presji: egzaminy, rodzina, kariera, media społecznościowe... – Nie dodaje „opiekowanie się Rose”.

– ...dorastanie, przyjaciele, oczekiwania otoczenia. Tak, jasne, wiem. Anoreksja jako ucieczka od tego wszystkiego. Czytałam w książkach. – Staram się, żeby to zabrzmiało sarkastycznie, ale jestem naprawdę zmęczona.

Felicity rzuca mi dziwne spojrzenie.

– O co chodzi? – pytam.

– Pierwszy raz słyszę, jak mówisz o swoich zaburzeniach odżywiania, nie starając się ich personifikować.

Nie zauważyłam.

– No to co?

– Nie uważasz, że to ważne?

Milczenie.

Felicity wstaje i ostentacyjnie przekreśla słowo *NIA* na górze flipchartu.

Nie ruszam się, żeby ją powstrzymać.

– Chciałabym, żebyś przed naszym następnym spotkaniem trochę nad tym popracowała. Może spróbujesz wypisać, czym są dla ciebie te zaburzenia odżywiania, jakie mogą być twoim zdaniem powody, dla których w ogóle się rozwinęły.

Chcę przewrócić oczami i zacząć się kłócić, że już wcześniej próbowała to robić, więc po co teraz znowu zawracać sobie głowę? Ale jestem zbyt zmęczona na cokolwiek poza kiwnięciem głową.

– Spróbuję. Niczego nie obiecuję.

Felicity uśmiecha się, co przypomina mi o uśmiechu Rose, jakby to było coś, co u Felicity widzę po raz pierwszy.

– To już coś – stwierdza.

W mieszkaniu próbuję zrozumieć formularze zasiłku, zaopatrzone w dwudziestostronicową broszurę z objaśnieniami. Udaje mi się wypełnić połowę, ale potem odpuszczam na dzisiaj. Głowa dalej pulsuje mi bólem. Sprawdzam online swoje konto i widzę, że pieniądze z zasiłku – przepraszam, z renty – nie wpłynęły dzisiaj, co oznacza, że mam w sumie dziesięć funtów. Trzeba przyznać, że ta baba z urzędu pracy działa szybko.

Wychodzi na to, że mam tylko jedno wyjście.

Biorę telefon, żeby zadzwonić do taty, ale znalezienie go w kontaktach zajmuje mi dużo czasu, jakby kciuki nie chciały mnie słuchać. Nie odbiera, a ja słucham, jak włącza się poczta głosowa. Nie nagrywam wiadomości.

Zamiast tego otwieram przeglądarkę i wyszukuję pożyczki błyskawiczne, te pozwalające pożyczyć kilkaset funtów bez żadnych warunków i oddać je za tydzień. Zastanawiałam się nad nimi dawno temu, zanim się dowiedziałam o Rose, ale nigdy nie skorzystałam z nich, ponieważ zorientowałam się, jak wysoko są oprocentowane. Siedziałam wtedy przez dwa dni po ciemku, kiedy wyłączyli mi światło. Teraz, z Rose, to już niemożliwe. To idiotycznie łatwe – mają nawet wkurzający, podskakujący symbol funta – ale mimo to mój palec na długo zawisa przed przyciskiem potwierdzającym, aż w końcu klikam go i pożyczka błyskawiczna wędruje na moje konto.

# ROZDZIAŁ 23

## DZIEWIĄTY TYDZIEŃ

– Włączyłaś piekarnik?

Dzisiaj są urodziny Robina, więc piekę mu tort-niespodziankę, który przestał być niespodzianką, ponieważ Rose jest w wyjątkowo marudnym nastroju i nie chce się uspokoić. Naprawdę się starałam, ale po pół godzinie prób mieszania ciasta jedną ręką uświadomiłam sobie, że zapomniałam kupić jajka, poddałam się i zapukałam do Robina.

Otworzył mi ubrany tylko w spodnie od dresu, co było lekkim szokiem. Chociaż nie takim okropnym, muszę przyznać.

– Postanowiłeś się zdrzemnąć? – pytam i to naprawdę słodkie, jaki robi się czerwony.

– Sorki... Czekaj, zaraz... – Znika i wraca, naciągając przez głowę T-shirt.

– Co się dzieje? – pyta.

– Chciałam tylko złożyć ci życzenia urodzinowe – mówię i podaję mu kwiatek w doniczce, który kupiłam za kilka funtów, a także urodzinową kartkę.

Bierze ode mnie doniczkę i otwiera usta, ale nie daję mu dojść do słowa.

– Nie musisz dziękować. Poza tym chciałabym, żebyś przyszedł i upiekł sobie tort. Przynieś jajka.

Śmiech Robina odbija się echem za mną.

Dwadzieścia minut później pojawia się z jajkami i malującym się na twarzy powątpiewaniem.

– Tak, włączyłam piekarnik... Czekaj... Nie, zapomniałam. Cholera.

– Co tu się stało?

Muszę przyznać, że „tort” wygląda trochę podejrzanie, na pół wymieszany w misce. Nigdy czegoś takiego nie robiłam i nie wyglądało na to, żebym w najbliższym czasie miała się zakwalifikować do *Bake Off – Ale Ciacho!*

Robin wacha zawartość miski i zaczyna kaszleć.

– Może powinniśmy zacząć od początku?

Zanim zdążam go powstrzymać, wyrzuca ciasto do śmieci, co oznacza, że ma okazję przyjrzeć się zakrzepłemu makaronowi błyskawicznemu z wczorajszego wieczoru.

– Masz już dość tego makaronu? – pyta. – Przyniosę ci do niego trochę tego pikantnego kurczaka, kiedy go znowu zrobię.

Prawie odpowiadam: „Nie trzeba”, ale to by zabrzmiało niegrzecznie, więc tylko się uśmiecham.

Kładę Rose na macie dla niemowląt w drzwiach, żeby mogła nas widzieć, i tym razem nie zaczyna się złościć. Przysięgłabym, że to głos Robina tak na nią działa. Widocznie obie lubimy słuchać, jak mówi.

Odmierzam mąkę na wadze kuchennej, kiedy Robin odzywa się tuż za mną:

– Heddo...

– Tak?

– Chciałem... Muszę ci o czymś powiedzieć.

– Mhmmm – odpowiadam i wysypuję jeszcze trochę mąki.

Następuje chwila ciszy.

Przerywam i odwracam się do niego.

– Co takiego?

– Po prostu... – Poprawia okulary na nosie i wygląda przez okno, jakby miał nadzieję, że właściwe słowa po prostu przylecą do niego.

Czuję, że całe moje ciało sztywnieje.

– Co takiego? – powtarzam, a mój głos brzmi zupełnie źle, szorstki i podejrzliwy.

Lawina mąki spada nagle na wagę z głośnym tąpnięciem, wyrzucając w powietrze i na podłogę chmurę białego pyłu.

Oboje zaczynamy kaszleć. Robin pochyla się nad wagą.

– Za dużo nasypałaś – mówi z dziwnym uśmiechem.

Zanim zdążam odpowiedzieć, zbiera łyżką część mąki, a potem zaczyna przesiewać resztę, trzymając sitko wysoko w powietrzu.

– Po co to robisz? – pytam, stając koło niego.

– Czytałem, że w ten sposób się ją napowietrza i ciasto się robi bardziej puszyste – wyjaśnia.

– Aha. Jasne, Delio Smith.

Robin porusza nadgarstkiem i trochę mącznego pyłu ląduje mi na głowie.



– Hej!

Próbuję wyrwać mu sitko, ale jest dla mnie za silny, więc przepychamy się przez chwilę, a potem dźgam go pod pachą, a on się zwija na bok.

– Ha! Wiedziałam, że masz łaskotki.

Łapię sitko i udaje mi się wyrwać je Robinowi z ręki tak, że zawartość ląduje mu na twarzy. Zamieram.

Robin rzuca mi zaskoczone spojrzenie, a potem zaczyna się śmiać. Zanurza rękę w misce i obsypuje mnie mąką, więc chwilę później w kuchni wybucha prawdziwa mączna bitwa. Mąka jest wszędzie, w naszych włosach, na ramionach, nawet trochę na Rose, która macha rączkami i nóżkami jak podekscytowana rozgwiazda. Nie możemy przestać się śmiać. Robin podnosi torbkę z resztką mąki i przytrzymuje ją nad moją głową.

– Nawet o tym nie myśl... – Urywam, ponieważ zaczyna ją przechylać.

Wyciągam rękę i czuję miękkość jakby ciepłego śniegu łaskoczącego moje palce. Nieruchomieję tak jak Robin. Odstawia torbę, a potem obsypaną na białą ręką odgarnia mi włosy.

Robi krok naprzód i nagle mam ochotę przycisnąć się do niego, słyszeć jego wielkie serce i czuć ramiona obejmujące mnie mocno. Chcę go naprawdę pocałować.

– Wyglądasz jak mały choinkowy aniołek – mówi Robin.

I już. W jednej chwili jestem z nim, w następnej już mnie nie ma. Jestem w ośrodku, Molly gra na saksofonie, niskie, przeciągłe, żałobne dźwięki, a ja słucham, stojąc w drzwiach.

Nigdy nie przepadałam za jazzem. Wydawał mi się zbyt poplątany, jakby ktoś powycinał przypadkowe słowa z gazety i upuścił je na podłogę, a Molly grała najpierw jedno zdanie, potem inne, nieukładające się w żadną całość. Tego zimowego dnia było inaczej. Usłyszałam z mojego pokoju, jak gra, a chociaż nie powinnam była tego robić, przekradłam się korytarzem i uchyliłam drzwi jej pokoju. Dźwięki były wydłużone, w tonacji molowej. Mniej nerwowe niż zwykle. Molly spojrzała prosto na mnie, ale nie przerywała gry. Kartki z życzeniami powrotu do zdrowia, od rodziny i przyjaciół zajmowały całą ścianę. Były także zdjęcia, ale na żadnym z nich nie było Molly. Niektóre miały przycięte brzegi albo wyciętą dziurę w środku roześmianej grupy przy barbecue. Usunęła siebie.

Podeszłam do okna i patrzyłam, jak drzewa potrząsają zamarzniętymi liśćmi na wietrze. Molly nadal grała. Grała i wydawało się, że te liście są

częścią jej muzyki – prześliczne, ale pokryte szronem. Może się poruszyłam albo westchnęłam, nie pamiętam. W następnej chwili Molly odłożyła saksofon. Poczułam, jak powietrze za mną porusza się w jej oddechu.

Opuszki jej palców przycisnęły się do moich łopatek, lekkie jak kwiat.

– Przypominają skrzydła anioła. Nie pozwól, żeby poniosły cię tak wysoko, że nie zdołasz wrócić.

Nic nie odpowiedziałam. Co można było powiedzieć w tę zimową chwilę, z której zniknęło wszystko, co zwyczajne?

Ona także to wiedziała, ponieważ znowu wzięła saksofon i zaczęła grać inną melodię, bardziej pogodną. Chwila przeminęła, zawołano nas do stołówki na obiad.

– Wszystko w porządku? – pyta Robin.

Jego oczy są takie ciepłe.

Mrugam i próbuję się pozbyć mąki z rzęs. To tylko mąka sprawia, że oczy mi łzawią. Tylko mąka.

– Chyba nam się skończyły składniki. Będziemy musieli przełożyć tort na inny raz – mówię.

Cofam się o krok, ale serce bije mi mocno.

Robin opuszcza ręce.

– Ale wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – dodaję.

Twarz Robina odrobinę pochmurnieje, gdy rozgląda się po zasypanej mąką kuchni.

– Na pewno nie chcesz, żebym ci pomógł posprzątać?

– Nie, poradzę sobie.

– Okej. – Zatrzymuje się jeszcze na chwilę w drzwiach i mówi pospiesznie, tuż przed wyjściem: – Dziękuję za kwiatek.

Dopiero po jego wyjściu uświadamiam sobie, że nie dokończył tego, co zamierzał powiedzieć. Mówię sobie, że to nic takiego, ale nie daje mi to spokoju, jak skarpetka skręcona pod stopą. Mimo wszystko idę dalej.

*Spóźnię się. Będę za 10 min. Hed*

Umówiłam się z Laurel w parku, kilka minut spacerem od mojego mieszkania. Bez Rose. Laurel przez telefon wydawała się naprawdę zdenerwowana, więc Robin zaproponował, że zajmie się Rose, a ja uświadomiłam sobie, że nie zostawiałam jej jeszcze z nikim. Ale wyjście z mieszkania jest trudniejsze, niż myślałam.

– Może powinnam zostawić dodatkowe pieluszki? Na wszelki wypadek?  
– Nic jej nie będzie. Poza tym wracasz za jakąś godzinę, prawda? – pyta Robin.

*Właśnie. Poradzę sobie.*

– Okej – mówię. – Bądź miła dla wujka Robina. Do zobaczenia. – Całuję Rose w główkę i wychodzę szybko, zanim zdążę zmienić zdanie.

Bez nosidełka albo wózka przed sobą czuję się naga. Mam mnóstwo miejsca i nie wiem, co z nim robić. Co chwila dotykam komórki w kieszeni, jakby w bloku za mną mogła wybuchnąć bomba, zdarzyć się powódź albo pożar, albo...

Zauważam Laurel na huśtawce, szurającą stopami po ziemi. Jak jej się udaje tak szybko gubić wagę? To niesamowite tempo, nawet jak na nas. Odwraca do mnie białą twarz, kiedy siadam na huśtawce obok niej i zaplatam łańcuchy wokół rąk. Trzyma jakąś kartkę.

– Co to? – pytam.

– Harmonogram przejściowy.

Och. Laurel skończyła osiemnaście lat. Nadal jest pacjentką Dewhurst, ale na pewno wie, że niedługo przeniosą ją do przychodni dla dorosłych.

Zgniała harmonogram i rzuca go na ziemię.

– To i tak tylko pieprzenie.

– Kiedy się przenosisz?

– Nie wiem. Niedługo. Będzie dobrze, oni nie zawracają sobie nami aż tak głowy. Będę mogła robić, co tylko zechcę.

Spędziłam kiedyś tydzień na oddziale dla dorosłych, ponieważ w Dewhurst nie było wolnych łóżek, a oddział dziecięcy nie chciał mnie przyjąć. Bardzo staram się nie myśleć o tym miejscu, ale sądząc po wyglądzie Laurel, ona niedługo tam trafi.

– To czym się teraz zajmujesz? – pytam.

– Głównie kłócę się z mamą. Ale staram się też o pracę. – Próbuje się uśmiechnąć.

– Naprawdę?

– W Topshop. Miałabymniżkę pracowniczą.

Mogłam się domyślić. Laurel uwielbia ciuchy.

Dzisiaj ma na sobie sweter z dekoltem odsłaniającym jej obojczyki i dzinsy, które marszczą się na udach, ponieważ nie ma nic, co by je wypełniło. Zastanawiam się, jaki mają rozmiar.

– Mam nadzieję, że ją dostaniesz – mówię, jakby istniała szansa, że Laurel będzie mogła pracować, nawet gdyby ktoś ją zatrudnił.

Opiera głowę o łańcuch huśtawki.

– Tęsknisz za tym? Za tym, jak było wcześniej? – pyta szeptem.

Opieram głowę tak samo jak ona, ale nie odpowiadam.

– Tęsknię za Molly – mówi.

Ja też. Przez cały czas.

– Pamiętasz doktor Lishman?

Uśmiecham się. Doktor Lishman w zeszłym roku przysłała na zastępstwo do ośrodka, na superwysokich obcasach i z fryzurą, jaką można uzyskać po godzinach spędzonych z prostownicą. Molly znieubiła ją od pierwszej chwili.

Dwa dni później, kiedy doktor Lishman pojawiła się w porze obiadu, który przebiegał w dość napiętej atmosferze – pamiętam, że Laurel zwróciła wtedy rogalik – Molly spojrzała na nią z szerokim uśmiechem i powiedziała, całkiem niezle imitując królika Bugsa:

– Co jest, doktoru?

Czerwone wargi doktor Lishman zniknęły.

Molly spojrzała szybko na mnie, a ja nie potrafiłam się powstrzymać. Wyprostowałam się i zapytałam:

– W porządku, Lish? Jak leci?

Doktor Lishman zaróżowiła się.

– Tak, dziękuję, dziewczęta – powiedziała, a potem usiadła i wzięła pustą tacę nieprawdopodobnie kościstymi palcami.

Molly obserwowała ją przez chwilę, a potem zapytała swobodnym tonem:

– No a jakie ty masz BMI, doktoru?

W tym momencie straciłam panowanie nad sobą. Gwałtowne prychnięcie wyrwało mi się znikąd i wywołało reakcję łańcuchową, więc zanim zdążyliśmy się zorientować, wszystkie pokładałyśmy się ze śmiechu. To była jedna z tych chwil w ośrodku, kiedy zapominałyśmy, że jesteśmy chore. Lish była naprawdę wkurzona. Nadal wydaje mi się to zabawne.

– A ty? Tęsknisz za tym? – pyta Laurel.

Myślę o mojej liście rzeczy do dupy w ośrodku, która ostatecznie stała się listą rzeczy, które nie były aż tak do dupy. O liście, którą kazała mi napisać Felicity; o tym, jak powiedziałam, że czułam się tam bezpieczna, z dala od świata. Twarz Molly tamtego ostatniego wieczoru, kiedy stwierdziła, że lubię

tu być. Zastanawiam się, jaka jest prawda.

– Tak, czasami – mówię cicho.

Ale to za dużo, żeby się nad tym zastanawiać, kiedy siedzimy na huśtawkach pod błękitnym niebem, a w oddali słońce odbija się w oknach bloku. Patrzę w górę, szukam mojego okna i zauważam kwiaty Robina w skrzynce za oknem.

– Dobra, to chyba zostało tylko jedno do zrobienia – mówię.

– Co takiego?

– Musimy sprawdzić, która się bujnie wyżej.

Odpycham się stopami i pochylam do tyłu i do przodu kilka razy, żeby złapać rytm. Powietrze świszczuje mi w uszach, żołądek mi się obkurcza, ale wyciągam nogi, żeby polecieć wyżej i słyszę koło siebie śmiech, dziwnie wysoki chichot Laurel. Rozpędza się, aż dolatuje na mój poziom, a potem nasze nogi jednocześnie się podkulają i prostują, wyżej i wyżej, aż czuję, że mogłabym polecieć i wzbić się w niebo jak jeden z tych tłustych gołębi. Laurel byłaby przy mnie jaskółką.

– Jestem lepsza! – wołam, odchylam się jeszcze bardziej i nagle uświadamiam sobie, że Laurel ucichła.

Jej nogi opadają. Widzę, jak przechyliła się na bok i przy następnym wychyleniu do tyłu spada i uderza o ziemię.

– Laurel! – Szoruję stopami o ziemię raz i drugi, żeby zwolnić, a potem zeskakuję, ocierając sobie kolana i miednicę.

Kucam i obracam ją na plecy. Ma zamknięte oczy, jest całkiem szara i nagle przed oczami mam tylko pielęgniarkę naciskającą mocno klatkę piersiową Molly. Mdłości zaczynają gryźć mnie w gardle, więc odwracam się i wypluwam je, a potem dotykam drżącą dłonią szyi Laurel.

Nie czuję pulsu. Przykładam głowę do jej piersi, czuję ostre krawędzie żeber. Wydaje mi się, że słyszę jakieś trzepotanie. Wyciągam komórkę, słucham męskiego głosu po drugiej stronie.

– Proszę przysłać karetkę – mówię. – Nie jestem pewna, czy ona oddycha.

Udaje mi się wyjaśnić, gdzie jesteśmy, i w tym momencie Laurel wydaje dźwięk pomiędzy kaszlnięciem a westchnieniem, otwiera oczy i zaraz je zamyka.

Trzymam ją za rękę i dopiero wtedy, gdy znajdujemy się w szpitalu, kiedy ona zostaje położona w odgrodzonym parawanami łóżku, a ja zostaję po drugiej stronie, uświadamiam sobie, że zostawiłam komórkę w parku.

Kiedy jadę do domu autobusem, poczucie winy wbija mi się pod żebra, tłumi nierówny rytm serca, które bije o wiele za szybko. Myślami popędzam autobus, ale wydaje się, że za każdym razem trafiamy na czerwone światło, każda ulica pomiędzy rondami ma tysiąc kilometrów i jest zapchana samochodami, rowerami i ludźmi utrudniającymi mi powrót do Rose.

Nie pamiętam numeru Robina. Zostałam w szpitalu tak długo, jak mogłam, aż do przyjazdu mamy Laurel, ale nie pozwolili mi jej zobaczyć. Robili jej jakieś badania. Mama Laurel rozpoznała mnie z ośrodka i rzuciła mi takie spojrzenie, jakby uważała, że jestem osobiście odpowiedzialna za zasłabnięcie jej córki.

– Czy mogłaby pani zadzwonić potem i powiedzieć mi, jak ona się czuje?  
– zapytałam.

Nie raczyła mi nawet odpowiedzieć, a ja właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że i tak nie będę miała telefonu, nawet gdyby pamiętała, żeby do mnie zadzwonić. Podejrzewam, że tego wcale nie zrobi.

Brakuje mi tchu, czuję kłujący ból w miednicy, która nadal nie jest całkiem w porządku nawet po tylu tygodniach, ale to wszystko nie ma znaczenia, ponieważ zostawiłam Rose. Zostawiłam ją na kilka godzin. Robin na pewno jest przerażony.

Wchodzę chwiejnie po schodach tak szybko, jak mogę, ale mam wrażenie, że moje kości ocierają się o siebie i po czterech piętrach muszę się zatrzymać, żeby złapać oddech. Kiedy docieram na moje piętro, zataczam się jak kaczka. Nasłuchuję płaczu Rose, ale jest cicho – przerażająco.

*A jeśli zadzwonił po policję? Albo do opieki społecznej?*

Człapię szybciej korytarzem i walę w drzwi Robina.

– Przepraszam, strasznie przepraszam – zaczynam mówić, kiedy tylko się otwierają, więc mój mózg potrzebuje chwili, żeby ogarnąć, co się dzieje.

Naprzeciwko mnie stoi dziewczyna z dzieckiem na ręku.

Wyciągam odruchowo ręce, ale widzę ciemne włosy, niebieskie śpioszki w traktory. To dziecko jest znacznie większe, niż powinna być Rose.

To nie jest Rose.

– Domyślam się, że jesteś Hedda – mówi dziewczyna.

# ROZDZIAŁ 24

## DZIESIĄTY TYDZIEŃ

Rose zniknęła.

Zniknęła zniknęła zniknęła.

*To twoja wina, głupi spaślaku.*

Nia.

Dłaczego mój mózg nie chce działać.

Rose zniknęła. Gdzie ona jest?

Robię krok w stronę stojącej przede mną dziewczyny.

– Jestem Jade, a to jest Ellis. – Uśmiecha się do trzymanego na biodrze dziecka obejmującego ją rączkami.

Omam nie przewracam jej na podłogę. Powstrzymuje mnie tylko obecność dziecka. Dziecka, które nie jest moje.

– Gdzie moje dziecko? – prawie krzyczę jej w twarz.

Odsuwa się na bok, a za nią widzę Robina unoszącego ostrzegawczo rękę. Na drugiej ręce trzyma śpiącą smacznie Rose.

Podbiegam, wyrywam mu ją z ramion i przytulam. Porusza się, otwiera oczy i rzuca mi obojętne spojrzenie, jakby zupełnie jej nie obesła moja nieobecność, a potem znowu zasypia.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – syczę.

Robin zdejmuję okulary i przeciera dłonią oczy.

– Mógłbym zapytać o to samo – odpowiada, ale w jego głosie jest raczej zmęczenie niż złość.

– Laurel zasłała. Musiałam z nią jechać do szpitala i zgubiłam komórkę... To wszystko stało się tak szybko. Naprawdę przepraszam. Zostawiłam ci mleko w proszku? Na pewno jest głodna.

Z kąta odzywa się Jade:

– Nie trzeba. Dałam jej jedną z butelek Ellisa.

Patrzę na Robina.

– Nie roz... Kto to jest Ellis?

Robin z powrotem zakłada okulary, ale nie patrzy mi w oczy.

– Heddo... jest coś, co powinienem... – zaczyna, ale nie potrafi dokończyć.

Jade obserwuje nas oboje.

Jade, jak zauważam teraz, jest śliczna.

Jade jest także szczupła.

Szczuplejsza ode mnie?

Idealnie zgrabne nogi. Kości biodrowe, widoczne nad krawędzią legginsów, stanowią obramowanie płaskiej przestrzeni pod topem, który nie całkiem do nich dosięga. Ogromne oczy z ciemnymi rzęsami – sztucznymi? Chyba nie. Kształtna górna warga, włosy zaplecione w warkocz. Wygląda, jakby prawie mnie żałowała.

– Ellis to nasz syn. Mój i Robina – mówi.

Czasem wydaje mi się, że moje serce się zatrzyma. Budzę się gwałtownie w nocy, leżę i czuję, jak jego uderzenia zmieniają rytm niczym w melodiach jazzowych Molly. Teraz też robi coś takiego, uderza, gubi tempo, znowu przyspiesza. Trzymam Rose i staram się zmusić mój mózg do normalnej pracy, ale słyszę tylko dudnienie.

Patrzę na Jade. W uszach ma sztyfty, w których odbija się małutkimi błyskami światło żarówki. Przykładam rękę do własnego pustego ucha. Czy w ogóle się dzisiaj czesałam? Myłam zęby? Cuchnę szpitalem i potem.

Ręce mnie bolą od przytrzymywania Rose tak mocno. Serce się ścisza samo z siebie. Wyobrażam je sobie w piersi, przypominające po tylu latach z Nią wyschnięty orzech włoski, twarde i skurczone. Tyle że jest w nim gdzieś teraz miejsce, które w ostatnich tygodniach rozgrzało się i rozrosło, z powodu Rose i częściowo z powodu Robina.

– Robin opowiadał mi właśnie o tobie – mówi Jade, a ja widzę w jej oczach mieszaninę bezradności i zazdrości. W innych okolicznościach mogłabym ją nawet polubić.

Widzę, że nadal go kocha.

Wiedziałam. Wiedziałam, że o czymś mi nie mówi, że nie powinnam myśleć... Twarz zaczyna mi się robić gorąca. Dlaczego nie słuchałam samej siebie, Nii?

– Przyjechaliśmy z Ellisem, żeby zabrać Robina do domu – oznajmia Jade stanowczym tonem i patrzy na Robina, jakby potwierdzała coś, o czym



rozmawiali. Potem rzuca mi przeciągłe spojrzenie, jakby się nade mną zastanawiała, i dodaje: – To nie jest miejsce dla niego.

Odwracam się do Robina. Chcę, żeby coś powiedział, cokolwiek, co by wskazywało, że ona nie mówi prawdy. Ale Robin nie patrzy mi w oczy.

Chwieję się, nadal z Rose w ramionach, i odchylam do tyłu, żeby podeprzeć się o ścianę. Jade oddaje Ellisa Robinowi, a on bierze swojego syna zgrabnie, tym wyćwiczonym ruchem, który zaobserwowałam, kiedy pierwszy raz wziął na ręce Rose. Pamiętam, że myślałam o tym, jak doskonale sobie z nią radzi, jak naturalnie mu to przychodzi.

Cóż, teraz to miało sens.

Byłam okropnie głupia.

Jade cofa się, a ja zauważam na jej dłoni pierścionek zaręczynowy. Bolesne drzazgi poruszające się pod moją skórą wydają się coraz ostrzejsze i liczniejsze, aż ogarniają mnie całą.

Robin nadal siedzi bez ruchu i chyba to mnie boli najbardziej. Dlaczego mi nie powiedział? Pochyla się do przodu, otwiera usta, ale uciszam go jednym spojrzeniem.

– Dziękuję, że się nią zaopiekowaliście – mówię z taką godnością, na jaką potrafię się zdobyć, i wychodzę, trzymając plecy całkiem prosto, chociaż ramiona omdlewają mi z wysiłku.

Nia gada do mnie przez całą drogę powrotną, a ja pozwalam, by jej słowa kołysały mnie znajomym rytmem, jakby była narratorką mojego życia.

*Otwórz drzwi.*

*Idę.*

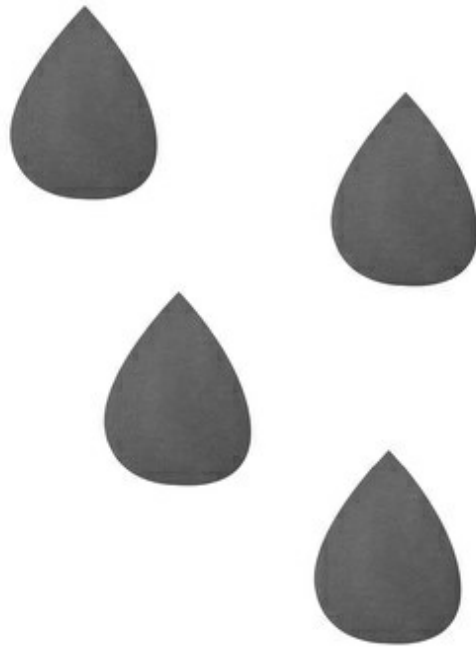
*Zamknij je po cichu za sobą.*

*Idę, idę, idę.*

*Nie myśl nawet o płaczu.*

**CZĘŚĆ  
CZWARTA**

**NIA**



# Rozdział 25

## Powody

No więc mam napisać, jakie mogą być moim zdaniem powody, dla których rozwinęły się u mnie zaburzenia odżywiania. Fajnie by było, nie? Wymyślić śliczny i prosty powód i zawinąć go w błyszczący papier, żeby Pani mogła go odpakować, a potem mnie naprawić. Bravo ty. Należy się medal.

A co, jeśli życie nie jest takie proste?

Może wykształciłam zaburzenia odżywiania, żeby wyrównać rachunki. Myślę o tych wszystkich ludziach, którzy kupują i wyrzucają jedzenie albo jedzą więcej, niż powinni, chociaż inni nie mają dość dla siebie. Może uznałam, że jeśli będę jadła mniej, to się jakoś zrównoważy. Znalazłam sobie szlachetną misję. Mogłabym walczyć o taką sprawę. Dlaczego nie?

A może to był mniej ciekawy powód. Może po prostu lubiłam być małą. Chciałam, żeby inne dziewczynki na placu zabaw obejmowały mnie w talii, podnosiły i piszczwały: „Ale ty jesteś malutka!”. Lubiłam być w centrum zainteresowania.

Mogłabym znaleźć sobie jakieś usprawiedliwienie, powiedzieć Pani, że w mojej mrocznej przeszłości kryje się wielka trauma – uwielbia Pani takie teksty, no nie? Ale od kiedy lubiłam mieć wszystko łatwo i prosto?

Jeśli chcemy, możemy to zwalić na złe społeczeństwo. Wie Pani, te czerwone kółka w czasopismach, wszędzie diety, to, że jak się jest dziewczyną, zawsze się wygląda nie tak, nie tak, nie tak. Wszystkim tym nasiąka się od wczesnego dzieciństwa. Albo – ooo! – możemy obwiniać Barbie i, bądźmy szczerzy, praktycznie każdą istniejącą księżniczkę Disneya.

Albo Presję Otoczenia.

Albo Presję Szkoły.

Albo Dynamikę Rodzinną – wiem, że to Pani lubi. Możemy udawać, że byłam zazdrosna o moją idealną siostrę.

A może niczego nie było.

Może to tylko ja.

Czy ciekawszym pytaniem nie jest „jak” zamiast „dlaczego”? Jest prostsze i trudniejsze, niż się Pani wydaje. I może jeszcze chodzi o cenę. Ale może po prostu nie obchodziło mnie, czy jest wysoka. Przed poznaniem Molly wydawało mi się, że tak czy inaczej będę mogła zawsze ją płacić. Ludzie tacy są, wie Pani. Wystarczy spojrzeć na Spacerowniczkę.

Felicity przegląda zapisane kartki, które wyglądają, jakby pajak umoczył się w garnku z atramentem, a potem przewędrował po stronie. Anorektyczki powinny mieć drobne, staranne pismo, ale ostatecznie nie zamierzam być chodzącym stereotypem. Poza tym chyba można powiedzieć, że byłam mocno wkurzona, kiedy to pisałam.

– Bardzo sprytnie – mówi Felicity i wydaje mi się, że pomimo znużenia w głosie do pewnego stopnia naprawdę tak myśli. – Wierzysz w to wszystko?

Wzruszam ramionami i próbuję rzucić jej dawne twarde spojrzenie. Ale nie jestem w stanie tego ciągnąć. Może to nie jest tylko pieprzenie. Skubię rękaw, który mam naciągnięty aż na dłoń, chociaż na dworze temperatura zbliża się do trzydziestu stopni. Jest mi zimno z powodu paru dodatkowych cięć, od kiedy spadła na mnie nowina, że Robin jest tatą i jest zaręczony, tylko zapomniał mi o tym powiedzieć. Jeśli powtarzam sobie, że jest po prostu dupkiem, że i tak mnie nie obchodził, to nie boli. Nie aż tak. Ale nie potrafię powstrzymać tego samego pytania zapętlonego w nieskończonych powtórzeniach: dlaczego, dlaczego, dlaczego mi nie powiedział?

Widzę, że Felicity z niepokojem patrzy na moje długie rękawy i staram się tym przejąć. Rose drzemie w wózku. Niektóre dni przesypia niemal w całości, szczególnie jeśli akurat szybciej rośnie. Tylko nigdy to się nie dzieje w jednym ciągu ani wtedy, gdy bym tego chciała. Dlatego właśnie pisałam ten tekst dzisiaj o szóstej rano, ponieważ Rose nie spała i po prostu nie miałam nic innego do roboty, nikogo, żeby z nim porozmawiać.

Mogę w sumie przyznać, że tęsknię za Robinem. Tęsknię za jego próbami

nakłaniania mnie do jedzenia, za głupimi rozmowami o niczym. Żałuję, że nie urządziliśmy sobie walki na miecze świetlne, że nie zabraliśmy Rose na plażę, tak jak zamierzaliśmy, żeby budować zamki z piasku. Chociaż i tak zostałyby zmyte przez przypływ.

– Kim jest Spacerowiczka? – pyta Felicity.

– To... ktoś, kogo widuję.

– Mmm?

Prawie zaczynam się śmiać. Czy ten dźwięk nigdy jej się nie znudzi? Najwyraźniej nie.

– Myślę, że to anorektyczka. Nigdy z nią nie rozmawiałam. Chodzi po okolicy cały dzień, jakby nic innego na świecie się nie liczyło.

– To brzmi, jakbyś ją podziwiała.

– Podziwiam. Podziwiałam.

– A teraz? Nie jesteś już tego taka pewna?

Prawie to robię. Prawie się z nią zgadzam. Ale Nia dalej jest ze mną, w niektóre dni silniejsza niż kiedykolwiek. Jakby wiedziała, że mam wątpliwości. Wybieram zwykły unik.

– Może...

Milczenie. Tykanie zegara.

Rose w wózekczku posapuje cichutko i słodko. Patrzę na nią i wbrew sobie uśmiecham się. Ale to nie trwa długo.

– Czy nie mogę mieć ich obu? Nii i Rose? – pytam z proszącym spojrzeniem. – Mnóstwo ludzi robi tak całymi latami. – Myślę o wideoblogu anorektyczki, który obserwuję, i uznaję, że Felicity pewnie nagadałaby mi, gdybym o tym wspomniała. – Może mogłabym zatrzymać je obie. Gdybym kontrolowała Nię.

Felicity uśmiecha się znowu, ale z ogromnym smutkiem.

– Kontrola. To słowo służące przede wszystkim do oszukiwania siebie, nie uważasz?

Tym razem, kiedy wychodzę ze spotkania z Felicity, nie myślę o tym, jak byłam sprytna albo kto dziś wygrał, ale o kontroli i o tym, kto właściwie ją ma. Zawsze wydawało mi się, że ja. Ale jeśli mam być szczerą, nawet ja wiedziałam dość, żeby rozumieć, że istnieje pewien punkt krytyczny, w którym Nia cię łapie, a ty stajesz się rakieta lecącą prosto w słońce, bez możliwości powrotu.

A jeśli to Nia od początku mnie kontrolowała?

Ta myśl sprawia, że omal nie wpadam wózkami na latarnię.

Zatrzymuję się przy urzędzie, żeby zostawić formularze zasiłków, a potem idę do sklepów i liczę, ile kroków zrobiłam. Potrzebuję nowej komórki i w kiosku w pobliżu starych złotych łuków znajduję telefon na kartę, na który właściwie mnie nie stać. Mdlący zapach burgerów przypomina mi o dniu, w którym dowiedziałam się o Rose. Mam wrażenie, że to było w innym życiu i pięć minut temu. Nadal nie do końca potrafię w to uwierzyć.

W pobliżu rozkopują chodnik; wiertarka pracuje głośno i dźwięczy mi uszach nawet wtedy, gdy cichnie w oddali. Wszystko wydaje się ostrzejsze i odleglejsze, a ja sobie uświadamiam, że nic jeszcze dzisiaj nie jadłam. To sprawia, że świat wydaje się jednocześnie bardziej wyrazisty i rozmyty na krawędziach.

Na kościele metodystów jest ogromny, okropny zegar otoczony aniołkami – przynajmniej myślę, że to powinny być aniołki, ale ich oczy są puste i wydaje się, że uśmiechają się ze strachu, a nie z radości. Wskazówki zegara posuwają się powoli, a ja słyszę gdzieś w głębi siebie podobne tykanie, chociaż nie jestem pewna, co w tym momencie liczę. Liczby od tak dawna stanowią tło mojego życia. Patrzę na poskręcane krawędzie chmur i wyobrażam sobie ogromną rękę, która je rozrywa, sięga w dół i zgarnia cyfry garściami, aż na całym świecie nie zostanie już ani jedna. Czy byłoby wtedy lepiej, czy gorzej?

Zapamiętuję tę myśl, ponieważ mogłabym ją powtórzyć Felicity albo może nawet Robinowi, ale przypominam sobie, że z nim nie rozmawiam.

Idę do biblioteki, żeby oddać i wypożyczyć książeczki dla Rose, z nadzieją, że jeśli będę w ruchu, przestanę myśleć, ale moje myśli ciągle uciekają do Robina, Jade i Ellisa. Biorę sześć książek dla Rose, prawie na nie nie patrzę, ponieważ łyżki zamazują mi pole widzenia. Nagle nie mogę znieść myśli o powrocie do mieszkania i siedzeniu tam z Rose ze świadomością, że Robin jest za ścianą. Wykorzystuję starą sztuczkę i biorę dwie książki czekające na odstawienie, a następnie podaję je w wypożyczalni, pod książeczkami Rose. Słyszę cmoknięcie, a kiedy się odwracam, jakaś kobieta rzuca mi dziwne spojrzenie. Patrzę na nią ze złością, ale potem uciekam, zanim zdąży coś powiedzieć.

Nie zawracam sobie głowy autobusem, wracam do Yewlings znajomą trasą, przez przejście podziemne i drogę poza miastem. Wprowadzam wózek

stopień po stopniu na ósme piętro i czuję, jak palą mnie przy tym ramiona. W mojej głowie cichutko tyka zegar, z każdym ruchem przeliczając kalorie.

Wnętrze mieszkania wydaje się całkiem puste. Czytam kilka książeczek Rose, kładę ją, żeby się przespaała, a potem zaczynam chodzić w kółko po niebieskim chodniku. Zza ściany słychać głośną muzykę – od podejrzanego typa, nie od Robina – basy pulsują w ścianach tak, że trudno mi zebrać myśli. Ostatecznie wyrzucam z plecaka resztę książeczek Rose i znajduję te dwie, które wybrałam dla siebie.

Pomimo wszystko nie mogę się nie uśmiechnąć. Nic dziwnego, że kobieta w bibliotece dziwnie na mnie patrzyła.

Mam siedemnaście lat, jestem bez grosza i z dzieckiem. Z trudem znajduję czyste pieluchy, za to dla rozrywki mogę sobie poczytać *Ornitologię dla początkujących* albo *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Z pozaginanymi rogami i w ogóle.

Wygląda na to, że wszechświat ma poczucie humoru, nawet jeśli mnie go brakuje.

## Rozdział 26

Jade i Ellis nadal są w mieszkaniu Robina. Wiem o tym, ponieważ późnym wieczorem słyszę płacz Ellisa, a także rozmowy, które podnoszą się w crescendo i cichną, kiedy Ellis dołącza swój głos. *Pieprz się, Robin* – myślę i włączam muzykę, żeby ich zagłuszyć, aż z drugiej strony rozlega się walenie w ścianę. Najwyraźniej zasada zachowywania ciszy dotyczy tylko mnie, a nie mojego sąsiada, co nie jest w porządku. Z drugiej strony on jest o wiele większy ode mnie.

Kilka dni po tym, jak kupiłam sobie nowy telefon, wychodzę z mieszkania w momencie, gdy drzwi Robina się otwierają i pojawia się w nich on z Ellisem. Stoimy jak zastygli i patrzymy na siebie. Mamy na ramionach nosidełka, jakbyśmy się znajdowali po dwóch stronach naprawdę dziwnego lustra. Dzieci mają nawet na sobie podobne śpioszki. Spielberg nie wyreżyserowałby tego lepiej. Nawet gdyby był sadystą.

– Czyli to twój syn – udaje mi się powiedzieć.

Robin patrzy na dziecko w ramionach, jakby nadal się nad tym zastanawiał.

– Byłoby miło, gdybyś wspomniał coś o tym wcześniej.

– Wiem... Przepra...

– Przestań.

Odwracam się i mam właśnie zatrzaskać drzwi, kiedy Robin mówi:

– Heddo, proszę.

Rozpacz w jego głosie sprawia, że się zatrzymuję, nadal odwrócona plecami.

– Czy możemy... znaleźć jakieś miejsce, żeby porozmawiać?

– Pięć minut – odpowiadam.

Siadam po turecku na korytarzu, z Rose na kolanach, po chwili on także siada.

Następuje milczenie.

– Cztery minuty – przypominam.



– Okej. – Robin oddycha głęboko i wypuszcza powietrze ze świstem. Bawi się rzepem na ubranku Ellisa. – Nie miałem zamiaru... nie chciałem... – Wzdycha znowu, jakby się poddawał. – Miałem zamiar ci powiedzieć.

– Naprawdę? Kiedy to było? Zanim się urodziła Rose czy później? Jakoś tak wyleciało ci to z głowy?

– Przepraszam.

– To wszystko? – Prostuję nogi, gotowa wstać.

– Zaczekaj, proszę.

Siadam z powrotem.

– Trzy minuty. Mówię serio.

– Okej. – Znowu wzdycha i zaczyna mówić szybko, monotonnym głosem, jakby wygłaszał kwestię ułożoną już wcześniej. – Jade i ja znamy się od dziecka. Nasi rodzice są najlepszymi przyjaciółmi. Mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Razem jeździliśmy na wakacje...

– Czy to zmierza do jakiejś puenty?

– Próbuję wyjaśnić. Daj mi chwilę – odpowiada i po raz pierwszy słyszę, jak podnosi głos.

Unoszę podbródek i wpatruję się w drzwi mieszkania naprzeciwko. Siedzenie zaczyna mnie boleć od twardej podłogi. Przekręcam Rose, żeby opierała się o moje drugie ramię, dalej od Robina.

– Może to było nieuniknione, skoro byliśmy tak blisko, ale w końcu zaczęliśmy ze sobą chodzić. Po jakimś roku sprawy... posunęły się naprzód.

Krzywię się.

– I... No, byliśmy głupi. Nieostrożni. Ona brała tabletki, ale... no wiesz.

– Mmm – odtwarzam Terapeutyczny Głos Felicity.

Teraz to Robin się krzywi.

Rose bawi się moimi palcami, jej rączki są ciepłe i miękkie. Pociężające.

– To był... no... zupełny szok. W dodatku w najgorszej możliwej chwili. Myślałem już... Mieliśmy ze sobą zerwać. Cóż, myślałem, że to już... Wybierałem się na uniwersytet, wiesz, na prawo. Miałem wizję, że będę się specjalizował w prawach człowieka i pracował dla Amnesty International czy coś takiego. Powiedziałem jej, że mam dość. Naprawdę ją zraniłem, ale wiedziałem... – Urywa i pociera czoło. – Nie kochałem jej. Ale wtedy się okazało, że jest w ciąży i nie chciała... chciała urodzić to dziecko. Jej rodzice oczywiście w pierwszej chwili byli wściekli, ale potem zaczęli układać plany, że się pobierzemy, a oni pomogą nam kupić mieszkanie. Ja zacznę pracować.

Jednak moi rodzice...

– Domyślam się, że nie przyjęli tego najlepiej?

– Tak jakby. Moja mama uważała, że jesteśmy oboje o wiele za młodzi, żeby zostać rodzicami, że nie ma mowy, żebyśmy sobie poradzili. Chciała, żeby Jade usunęła ciążę. Okropnie się pokłóciły, moja mama i mama Jade, a potem przestały ze sobą rozmawiać. Kiedy Jade powiedziała, że zdecydowanie zamierza urodzić dziecko, mama cały czas mi powtarzała, że powinienem iść na studia, że mogę się zajmować dzieckiem także w inny sposób. Rany, to brzmi okropnie, ale wiesz, myślę, że moi rodzice po prostu się o mnie martwili. Tyle że ja ich nie słuchałem. Pozwoliłem, żeby Jade i jej rodzice wciągnęli mnie w to wszystko. Zamieszkaliśmy razem. Jej tata załatwił mi pracę w swoim biurze.

Znowu milknie, żeby to sobie przypomnieć.

– Na początku było okej, ale im bardziej zaawansowana była ciąża, tym bardziej odległa stawała się dla mnie Jade. Zaczęliśmy się okropnie kłócić, ona na mnie wrzeszczała i mówiła, żebym się wynosił. Było tak, jakby nie mogła mi wybaczyć, że zanim dowiedziałem się o Ellisie, chciałem, żebyśmy się rozstali. W czasie jednej z awantur rzuciła we mnie miską owsianki.

Unoszę brwi.

– Co zrobiłeś?

– Unik.

Cień uśmiechu pojawia się na mojej twarzy i zaraz znika. Kiwam głową, żeby mówić dalej.

– Potem posprzątałem. Wtedy była już w bardzo zaawansowanej ciąży.

Znowu cisza.

– No to co się potem stało? Widzę, że dziecko się urodziło.

Robin pochyla głowę nad Ellisem śpiącym na jego kolanach. Wydaje mi się, że płacze.

– Tak. Nie pozwoliła mi być przy porodzie, towarzyszyła jej mama, ale czekałem na korytarzu i wpuścili mnie zaraz potem. Siedziała na łóżku, trzymała Ellisa, a kiedy zobaczyłem, jaki jest malutki, jaki jest doskonały... Nie potrafię tego wyjaśnić. Wszystko w środku mi podskoczyło. Wiedziałem, że jakoś musi się udać.

Rozumiem go, ponieważ to samo poczułam na widok Rose, kiedy postanowiłam ją zatrzymać. Kiwam szybko głową.

– Kilka tygodni spędziliśmy razem, ale potem musiałem wracać do pracy.

Jade zaczęła spędzać coraz więcej czasu u rodziców. Nadal nie rozmawiali z moimi rodzicami, tak samo jak ja. Ellis w ogóle nie spał. Znowu zaczęliśmy się kłócić. Próbowałem tego nie robić, ale... wiesz, jak to jest.

Patrzę na niego. Mam wrażenie, że widma tych wszystkich nieprzespanych nocy siedzą mu na ramionach i przygniatają je w dół. Jakaś część mnie wybucha gniewem. Owszem, wiem, jak to jest.

Ale w tym momencie Robin mówi:

– Któregoś dnia wróciłem z pracy, a ich po prostu... nie było.

– O kurwa. – Samo mi się to wyrywa.

Jego twarz krzywi się.

– Znalazła list z uniwerku. Powiedziałem jej, że nie idę na studia, że zostanę z nią i Ellisem, ale tak naprawdę poprosiłem o zarezerwowanie dla mnie miejsca.

Otwieram usta. Przez ostatnie tygodnie próbowałam wszystko sobie poukładać, ale nie umiałam dopasować tego Robina do tego, którego wydawało mi się, że znam.

– Nie zdecydowałem na pewno, że pójdę na studia! Po prostu... nie wiem. Nie wiedziałem, czego chcę. Bałem się, wiesz. Chciałem...

– Mieć jakąś furtkę awaryjną? – Mój głos ocieka sarkazmem.

Pochyla głowę.

– Coś w tym rodzaju. Nie potrafiłem wytłumaczyć tego Jade. Zabrała pieniądze na czynsz i przeprowadziła się do swoich rodziców. Poszedłem tam, dzwoniłem, ale ona nie chciała mnie widzieć, a rodzice ją poparli. Jej tata wyrzucił mnie z pracy i powiedział, że jestem żalosny. Nie wiedziałem, co mam robić. Nie mogłem wracać do domu, nawet jeśli mama i tata by mnie przyjęli. Byłem wściekły także na nich.

– No to gdzie poszedłeś?

– Najpierw do babci. Spałem u niej na kanapie. Potem usłyszała, że jakiś znajomy znajomego wyprowadza się z mieszkania tutaj i wszystko załatwiła. Zapłaciła kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc. Myślałem, że to będzie najwyżej na parę miesięcy. Cały czas miałem nadzieję, że coś wymyślę. Myślałem, że moglibyśmy spróbować wszystko poukładać ze względu na Ellisa. Tęskniłem za nim. Nie wiedziałem, jak mam załatwić te wszystkie formalności, żebym mógł się z nim widywać, nie chciałem też narażać Jade na przykrości. Poza tym nie miałem kasy na adwokata. Nie odbierała telefonu, ale pisałem do niej e-maile i listy z nadzieją, że odpowie, chociaż

tego nie robiła. Więc tak jakby... odpuściłem. Kiedy już tu byłem.

Marszczę brwi i próbuję to wszystko zrozumieć. Jakaś część mnie chce na niego nakrzyczeć, powiedzieć, że zgadzam się z tatą Jade: jest żaloszny. Powinien bardziej walczyć, jeśli naprawdę tak kochał Ellisa.

Przypominam sobie zdjęcia wiszące na ścianie w jego mieszkaniu. Dwie dziewczynki to musiały być jego siostra i Jade. To, o którym myślałam, że pokazuje Robina w niemowlęctwie, tak naprawdę było fotografią syna, o którym mi nie powiedział. Jak to mógł być Robin? Ten chłopak będący... czym? Tchórzem? Kłamcą? Samotnym i przestraszonym dzieciakiem?

Ja łączę w sobie to wszystko.

Zastanawiam się nad tym, czując ciężar Rose na kolanach. Patrzę na śpiącego Ellisa i Robina gładzącego go machinalnie po główce.

W końcu mówię tylko:

– Twoja babcia mogła wybrać lepsze miejsce. To musiał być dla ciebie prawdziwy szok.

Robin podnosi głowę i parska krótkim śmiechem.

– Może troszeczkę. Ale potem, no... poznałem ciebie i...

– O kurczę, to rzeczywiście musiało sprawić, że wszystko stało się lepsze – mówię sarkastycznie, ale Robin potrząsa głową.

– Sprawilo. Nie rozumiesz? Ty i Rose to sprawiliście.

Nagle jakaś klapka otwiera mi się w głowie. Przypominam sobie, jak wspierał mnie, kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży. Jak patrzył na Rose.

Podnoszę się.

– Pieprz się – mówię nad głową Rose.

– Co?

– Chodziło o Rose, tak? Widziałeś w niej jakieś, jak to nazwać, zastępstwo?

– Nie. Boże, nie. Zupełnie nie to miałem na my...

– Widziałeś! Od samego początku chodziło o Rose. Taki właśnie jes... – Urywam, potrząsam głową. – Nic dziwnego, że mi nie powiedziałeś.

– Próbowałem, naprawdę. Tamtego dnia w lesie miałem zamiar ci powiedzieć, ale byłaś okropnie zmęczona. I kiedy piekliśmy tort. Ale miałem wrażenie, że to stało się niebotycznie wielką sprawą i nie wiedziałem, jak...

– Mogłeś mi powiedzieć od razu.

– Wiem. Ale... to bolało, jasne? Chciałem zapomnieć o tym wszystkim.

Pamiętałam ten wyraz twarzy, jaki czasem miał, kiedy tylko go poznałam.

Jaki miewał także potem. Jaki ignorowałam, ponieważ nie chciałam w nim widzieć nic poza ogarniętym Robinem, który się mną opiekował. Kimś, na kim mogłam polegać. Ale nic nie poradzę, nadal jestem zła, bardziej wściekła, niż sobie na to od dawna pozwalałam, i muszę o tym pamiętać, ponieważ gdzieś pod spodem jest to uczucie w piersi, jakby ktoś wymienił moje prawdziwe popieprzone serce na takie zrobione z ligniny.

Nie wiem, czy mu wierzę. Nie wiem, w co chcę wierzyć.

– Jade powiedziała, że chce spróbować jeszcze raz. Że jest jej przykro, nie myślała jasno. Chce zostać, żebym mógł się spokojnie zastanowić i zdecydować, co chcę zrobić – mówi Robin.

Odwracam się, próbuję to ogarnąć, ale mam wrażenie, że jestem jak żarówka w przeciążonej sieci i muszę się wyłączyć, zanim eksploduję. Szczypię się w czoło.

– No i co? Zdecydowałeś? – pytam.

– Nie jestem pewien. Znaczący, jestem zły na Jade, ale poza tym...

Patrzy na Ellisa, który porusza się przez sen, a potem podrywa się obudzony, z pogodnym uśmiechem tak bardzo przypominającym Robina. Robin odwzajemnia uśmiech, poprawia Ellisa, żeby siedział prosto, i pozwala mu się bawić swoimi palcami.

Wzdycham. Ogarnia mnie potężna fala zmęczenia.

– Cóż, lepiej, żebyś był pewien.

– Wiem. Muszę porozmawiać z Jade. Poważnie porozmawiać.

– No. – Patrzę na ciemne loczki na głowie Ellisa, małe paluszki pocierające paznokcie Robina, jakby sprawdzał ich gładkość. – W takim razie nie powinieneś rozmawiać ze mną.

Otwiera usta, jakby miał zamiar zaprzeczyć, a potem zamyka je i kiwa głową.

– Jade ma rację i ty wiesz o tym – mówię cicho. – To nie jest miejsce dla ciebie.

Wracam do mieszkania i nasłuchuję, jak jego drzwi się zamykają. W piersi nadal mnie ściska, oddycham tak szybko, że muszę położyć Rose na podłodze. Ogromna część mnie chce podbiec do drzwi Robina, nawrzeszczeć na niego albo go pocałować, powiedzieć, że musi zostać tutaj, z nami. Ale wiem, że muszę go zostawić w spokoju.

Próbuję wyrzucić z głowy myśli o Robinie, zepchnąć gdzieś głęboko chęć

płaczu.

Co teraz? Nie mogę siedzieć w mieszkaniu w nieskończoność. Rose potrzebuje pieluch, a ja potrzebuję jakiegoś jedzenia, nawet jeśli ma być tylko na pokaz.

Znowu mnie boli głowa. Połykam jakieś tabletki, popijam wodą i sprowadzam wózek z Rose po schodach. Na ostatnim piętrze ręce trzęsą mi się naprawdę mocno i przez chwilę zaczynam się bać, że nie utrzymam wózka, ale wychodzę na światło słoneczne, które jest zbyt jasne – nie obchodzi mnie, czy to ma być lato. Nawet asfalt się poci.

Wczoraj wieczorem udało mi się wziąć kolejną pożyczkę z innej firmy, żeby spłacić pierwszą i mieć jeszcze trochę pieniędzy, ale to, co zaczęło się od kilku funtów, teraz ma całe mnóstwo małych długów wszędzie, gdzie tylko się da. Stoję w kolejce w urzędzie pracy przez godzinę, żeby się dowiedzieć, co się dzieje z moim wnioskiem, ale słyszę tylko, że nie został jeszcze rozpatrzony.

– Skąd mam wziąć na jedzenie? – pytam.

– Możemy dać skierowanie do banku żywności – mówi mi facet za kontuarem.

Jest niewiele starszy ode mnie, czerwona twarz nad ohydny krawatem, który wygląda, jakby był ostatnio zakładany do szkoły. W jego oczach nie ma współczucia, tylko szklista nuda, która szepcze „Zabierzcie mnie stąd”, podszyta przerażeniem, ponieważ widział tutaj nas wszystkich i wie, jak źle może być, jeśli straci pracę. Pewnie ma jakieś normy do wyrobienia.

Mogłabym go żałować. Postanawiam tego nie robić.

Muszę podać mnóstwo danych, w tym dotyczących Joanny, co sprawia, że się waham, ale teraz już chyba za późno, żeby zrezygnować, bo on i tak może na mnie donieść.

Gdyby tylko tata odpowiadał na moje esemesy. Mogłabym zadzwonić do mamy, ale chyba jestem na to za dumna. Odczepcie się.

Idę przez miasto i patrzę na mijające mnie tłumy. Oceniam rozmiary kobiet. Mężczyźni mnie nie obchodzą. Nikt nie poświęca mi drugiego spojrzenia. Teraz, z wózkiem, jestem kolejną nastoletnią matką, niewidzialną dla wszystkich z wyjątkiem tych, których kręci potępienie innych. Nikt nie widzi mnie i Rose, tylko to, co ja i ona sobą reprezentujemy: leniwego, beznadziejnego pasożyta, który urodził dziecko, żeby mieć zasilek.

Bank żywności jest w labiryncie uliczek pomiędzy domami na stromym

wzgórzu, nie aż tak daleko od ośrodka. Słońce pali mnie w plecy, a kiedy wchodzę na szczyt, nie mogę złapać oddechu. Kropki tłoczą się na granicy pola widzenia. Walczę z nimi, ale stają się coraz silniejsze, muszę więc oprzeć się o wózek i poczekać kilka minut, aż znikną. Kiedy się prostuję, całe moje ciało się trzęsie.

W środku wita mnie kobieta po trzydziestce, z mnóstwem pogodnych zmarszczek mimicznych wokół oczu.

– Cześć, jestem Vi. Chyba dobrze ci robi, jeśli usiądziesz i napijesz się wody. – Idzie po szklanę, a potem siada obok mnie. – A kogo my tu mamy?

– Rose – mówię.

– Śliczne imię! Jest urocza.

– Dziękuję – mówię, chociaż nie miałam z tym nic wspólnego. Wydaje się, że to przyszło samo. Natomiast Vi ma w sobie ciepło – autentyczne ciepło – jakie się rzadko zdarza.

– Przyniosłaś skierowanie?

Podaję jej formularz.

– Świetnie. No cóż, na pewno możemy wybrać dla ciebie trochę rzeczy. Mam też pieluchy i wilgotne chusteczki – mówi. Zaczyna mi pakować do wózka torby, w których są puszki taniej fasoli, makaron, pomidory, pieluchy, herbata w torebkach, żel pod prysznic i pasta do zębów, mleko w proszku.

– Chyba mamy też trochę czekolady.

Uznaję, że niegrzecznie byłoby odmawiać, więc pozwalam, żeby ją zapakowała. Nie wiem, czy powinnam czuć wstyd, ulgę czy smutek.

Ostatecznie uśmiecham się z wdzięcznością.

– Chciałabyś może kubek herbaty, zanim pójdziesz? – pyta Vi.

Kiwam głową, nagle jestem bliska łez.

Przynosi mi herbatę i stawia na krześle obok mnie.

– Nie chcę być wścibska i oczywiście nie musisz mi niczego mówić, ale czasem dobrze się wygadać, jeśli coś człowiekowi leży na sercu.

– Chyba każdemu, kto tu przychodzi, musi leżeć. – W tych słowach jest więcej jadu, niż zamierzałam. Nie potrafię tego powstrzymać. Chcę się wycofać, powiedzieć jej, że jestem wdzięczna, ale Vi wyraźnie się nie przejmuje.

Uśmiecha się tylko.

– Tak, chyba tak.

Nie zadaje więcej pytań, ale siedzi ze mną w milczeniu, kiedy piję herbatę.

Proszę, żeby ją poślodziła, bo muszę wrócić do domu, a kiedy wypijam ostatnie słodkie łyki, słyszę, że Nia porusza się i wzdycha jak wąż zwinięty w kłębek.

Chcę z nią porozmawiać, z tą życzliwą kobietą, która się zachowuje, jakby mogła poświęcić mi trochę czasu, ale nie potrafię. Układam różne zdania, wszystko jednak wydaje się zbyt skomplikowane i ostatecznie uciekają mi, zanim zdążam je powiedzieć.

– Dziękuję – mówię w końcu i wstaję.

– Nie ma za co. Możesz wpaść znowu, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

– Kładzie mi rękę na ramieniu i leciutko marszczy brwi. – Powinnaś pamiętać, że musisz dbać o siebie tak samo jak o Rose. – Mówi to szczerze.

Odwracam się szybko, zanim zobaczy wyraz mojej twarzy.

Komórka odzywa się, kiedy schodzę ze wzgórza i staram się nie wypuścić wózka. Liczę kroki, jak zawsze, żeby zapomnieć o banku żywności, pieniądzech i Robinie. Zaciągam hamulec, przysiadam na murku, by złapać oddech i napić się trochę wody.

Może to w końcu tata.

Nie, nie, to Laurel. Przesłałam jej niedawno mój nowy numer e-mailem.

– Hej. – Jej głosik jest cichy i wysoki jak u małej dziewczynki.

– Cześć, co słychać? Wypuścili cię ze szpitala?

– Tak – szepcze. – Przetrzyłymi mnie kilka nocy i wypuścili do domu.

Jestem w parku w Yewlings. A ty jesteś w domu?

– Właśnie wracam.

– Pomyślałam, że sprawdzę, zanim...

Chodziło jej o to, że sprawdzi, zanim wejdzie po tych wszystkich schodach. W jakim stanie jest teraz?

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak. Na pewno jesteś zajęta. Pójdę sobie.

– Nie, nie idź. Będę za pół godziny. Zostań tam, gdzie jesteś, okej?

– Okej.

Rozłączam się.

Nie jestem pewna, czy rzeczywiście tam będzie, ale kiedy wchodzę do parku, Laurel siedzi skulona na huśtawce, kłębek za dużego swetra z prawie niczym w środku.

Macham, a ona unosi jedną rękę i zaraz opuszcza ją na kolana. Słucham



skrzypienia jednego z kółek wózka, podchodzę, licząc kroki, żebym aż do ostatniej chwili nie musiała się jej przyglądać.

To jest i jednocześnie nie jest szok. Załatwiła sobie bilet powrotny do ośrodka i wydaje mi się, że tym razem to podróż w jedną stronę. Znowu widzę Molly na podłodze i pielęgniarkę uderzającą ją mocno dłonią w pierś.

Odwracam głowę w bok, staram się pozbyć tego wspomnienia.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Dobrze.

Jej głos zanika. A ja nie mam jej nic do powiedzenia. Siedzę na huśtawce i zastanawiam się gorączkowo. Tym razem nie próbuję się huścić, trzymam stopy oparte na ziemi, a ręce w pogotowiu, żeby ją złapać, gdyby spadła. Albo może pozwoliłabym jej upaść, sama nie wiem. Jestem zła także na nią.

– Pamiętasz, jak Molly grała jazz? – mówi Laurel.

– Jasne. Kto mógłby zapomnieć? – pytam i uśmiecham się lekko, ponieważ Molly grała niesamowicie. Była niezwykle utalentowana. Żal ląduje na mojej piersi jak jakieś zwierzę, zagrzebuje się w niej i oplata mackami całe moje ciało. To boli jak cholera. Gwałtownie przełykam ślinę, piję trochę wody. Oddycham.

Rose rozgląda się zaciekawiona. Lubi spacerować.

– Czy mogę ją potrzymać? – pyta Laurel.

Waham się i w końcu mówię:

– Dobrze, ale chodź tutaj.

Podchodzimy do ławki, sadzam na niej Laurel, a potem wkładam Rose w jej wychudzone ramiona. Laurel uśmiecha się, patrząc na jej buzię.

– Jest taka śliczna. Nie mogę uwierzyć, że stworzyłaś ją w swoim ciele.

Ja także nie mogę w to uwierzyć.

– Owszem, może jednak do czegoś się nadaję – mówię.

To miał być żart, ale Laurel ma wielkie, smutne oczy. Nałożyła makijaż, który tylko podkreśla wystające kości. Kto wie, może specjalnie? A może naprawdę próbuje to zamaskować, udawać normalną, ale na to jest o wiele, o wiele za późno.

Zabieram Rose, kiedy zauważam, że Laurel się zaczyna męczyć. Wzdycha i siada wyprostowana.

– Wrócisz do domu autobusem? – pytam.

– Nie, przejdę się.

Chcę się z nią zacząć kłócić, powiedzieć jej, żeby jechała tym pieprzonym

autobusem, ale wiem, że mnie nie posłucha. Wróciła na planetę Anoreksja, zanim jeszcze pocałowała Rose na pożegnanie. Widzę w niej nagły przypływ energii, kiedy wchodzi w rytm i zastanawiam się, czy kiedyś jeszcze ją zobaczę. Jakaś część mnie nadal jej zazdrości. Laurel obraca głowę, żeby obejrzeć swoje odbicie w wyklepanym samochodzie, który mija. Zastanawiam się, dlaczego chciała się spotkać ze mną w parku, gdzie możemy rozmawiać tylko o minionych dniach i ludziach, którzy nie wrócą. Gdzie z powodu Rose znajdujemy się na innych planetach i sama już nie wiem, która jest dla mnie domem, na której chciałabym się znaleźć, więc unoszę się w przestrzeni, nieważka, kierując się ku jednej, by zostać ściągnięta w stronę drugiej. Co Laurel to w ogóle obchodzi?

Ale w tym momencie widzę to. Widzę ją. Nie chodzi o mnie ani nawet o Rose. Laurel spogląda w szybę kolejnego samochodu, obok którego przechodzi, i unosi łokcie, żeby sprawdzić, jak wąskie są jej ramiona. Wydaje mi się, że powietrze wokół niej drży jak w *Matriksie*. W jednej chwili widzę jej przeblysk: smukła, biała, przypominająca baletnicę. Chodząca kontrola. W następnej chwili jest przerażająca jak żywy szkielet. Nie sądzę, by którakolwiek z nas wiedziała, jaka jest prawda. Ale wiem teraz, o co jej chodziło. Chciała, żebym ją zobaczyła.

Jaki sens ma znikanie, jeśli nikt wokół go nie zauważy?

# Rozdział 27

– Jak myślisz, co by było, gdybyś nie wykształciła zaburzeń odżywiania? Jak wyglądałoby twoje życie? – Felicity znowu wyjmuje flipchart.

Próbuję się skoncentrować na tym, co mówi, ale tylko gapię się przez okno, gdzie sroka wydziobuje coś z ziemi pod drzewem. Rozglądam się, ale widzę tylko jedną. Mimo to jej salutuję.

– Co robisz?

Wskazuję ruchem głowy okno.

– Jedna sroczka smutek wróży.

– Tak.

Patrzę na Felicity.

– Co tak?

– Emocje. Musiałabyś czuć emocje. Musiałabyś dorosnąć, wziąć odpowiedzialność za swoje życie. To jest przerażające.

Zaciskam szczęki i czuję, jak zęby trzonowe zgrzytają o siebie tak mocno, że mogłyby się pokruszyć. Wyobrażam sobie moje kości, miękkie jak plastelina, łamliwe.

– A jak pani uważa, co ja robię z Rose? Biorę odpowiedzialność za jej życie.

– Mmm. I to jest to samo?

– Poza tym co takiego super jest w emocjach? – Staram się brzmieć obojętnie, ale nie wychodzi mi to.

Cały czas myślę o Robinie.

Felicity patrzy mi w oczy i tym razem pierwsza odwracam wzrok, przenoszę go na Rose na kolanach. Waga dzisiaj wypadła źle. Albo świetnie, zależnie od perspektywy.

– Jest też miłość – mówi Felicity.

– Kocham ją. Nie wiedziałam wcześniej, że mogę tak kogoś kochać. Ale...

– Mmm?

– Czy miłość to coś, co się czuje, czy coś, co się robi?

– Myślę, że jedno i drugie – odpowiada Felicity.

Kiedy wychodzę na dwór, pada deszcz. Nie mam płaszcza ani przeciwdeszczowego pokrowca na wózek Rose, ściągam więc sweter i narzucam go na wierzch. Widzę podwójne kości w nadgarstkach i kłykcie, które wydają się za duże w porównaniu do samych palców, białych i ociekających wodą na rączce wózka. Myślę o punkcie krytycznym, jak w przypadku Laurel tamtego dnia, kiedy anoreksja przejmuje nad tobą władzę i jest już po tobie. Przypominam sobie Molly mówiącą, żebym nie poleciała tak wysoko, by nie móc wrócić.

*A jeśli już to zrobiłam?*

Wystawiam twarz na deszcz, żeby trochę rozjaśnić sobie w głowie, ale wszystko wydaje się matowe, jakby świat stał się monochromatyczny. Boli mnie w piersi. Zgrzyta mi w miednicy. Marsz sprawia, że czuję ostre ukłucia bólu w łydkach. To się nazywa ból pieszczeli, chociaż mam czasem wrażenie, że coś mi pęka w środku. Idę w kierunku centrum handlowego, ponieważ anonimowość w tłumie jest lepsza od samotności w mieszkaniu, powstrzymywania się od zapukania do drzwi Robina. Nie patrzę na zegar z aniołkami, obok którego przechodzę, ale i tak go czuję, to wrażenie tykania w środku.

W centrum handlowym kupuję kawę w Starbucksie, siadam na ławce i czuję, jak kofeina rozchodzi mi się we krwi. Udaje mi się zjeść połówkę flapjacka i oprócz kawy po moim organizmie rozchodzi się cukier. Mają tutaj bezpłatny plac zabaw dla dzieci, siedzę więc z Rose na brzegu ławki i patrzę, jak ona obserwuje inne dzieci, krzyczące i skaczące po plastikowych samochodzikach. Kiedy dopijam resztę kawy, czuję się trochę przytomniejsza. *Wszystko będzie okej. Mam wszystko pod kontrolą. Wszystko jest w porządku.* Jeśli będę to dostatecznie często powtarzać, może nawet stanie się prawdą, jak w bajkach.

Zbliża się grupka dziewczyn młodszych ode mnie, a ja uświadamiam sobie, że jest już po lekcjach. Ciekawe, co bym powiedziała, gdybym teraz skontaktowała się z Sal albo Natalie.

– Czaisz to? – mówi jedna.

Nie wiem nawet, w jakim języku one rozmawiają. W sumie chyba nigdy nie wiedziałam. Nie nauczyłam się go. Wyobrażam sobie siebie, wolną od Rose, wolną od Nii, włączając się po centrum handlowym i gadając o

filmach, muzyce i ciuchach. Jedzącą burgery i nieprzejmującą się tym, narzekającą na szkołę i chłopców, którzy mi się podobają. Czuję, że przytłacza mnie żal za tym wszystkim, co mnie ominęło i nigdy już nie wróci.

Patrzę na dziewczynkę ubraną na czarno, z gęstą grzywką i bardzo jaskrawą szminką. Uświadamiam sobie, że ona patrzy prosto na mnie.

To nie jest jakaś przypadkowa dziewczyna, która umówiła się z koleżankami. To jest Tammy.

– Na razie – mówi do pozostałych i powoli podchodzi do mnie. Bierze ode mnie Rose, całuje ją mocno, a potem oddaje.

– Cześć – mówię.

– W porządku? – Tammy siada obok mnie.

Zastanawiam się rozpaczliwie, co powiedzieć.

– Co u ciebie? – wymyślam w końcu.

Czasem naprawdę nie znoszę siebie.

Pociąga nosem i jednocześnie wzrusza ramionami.

– Spoko.

– Yyy... W szkole w porządku? Masz koleżanki?

Prycha, jakby moje próby zostania starszą siostrą przyszły jakieś siedemnaście lat za późno. Ma sporo racji.

Ale ponieważ jestem sobą i nie odpuszczam, kiedy powinnam, pytam:

– Co u mamy i taty?

W tym momencie Tammy patrzy prosto na mnie, spod grzywki. Jak mogła się tak bardzo zmienić przez kilka tygodni? Ale ma teraz czternaście lat. Powinnam przeprosić, że nie przyszłam na jej urodziny, ale wydaje mi się, że już na to za późno. Kolejny przykład na to, jak beznadziejną siostrą jestem. Może tak właśnie wyglądają czternastolatki, tak właśnie się zachowują. Skąd ja mam wiedzieć?

– Nie wiesz – mówi i przez moment podejrzewam, że rozwinęła jakieś magiczne umiejętności czytania w myślach, a teraz odpowiada na to, czego nie powiedziałam na głos.

Jej twarz tężeje.

– O czym nie wiem?

– Tata odszedł. Okazało się, że od lat miał kochankę. Wyprowadził się kilka tygodni temu – mówi lodowatym tonem.

Boże, brzmi zupełnie jak ja.

– Co takiego?

Patrzy na mnie.

– Nie wiem, dlaczego się tak dziwisz. Tego właśnie chciałaś, prawda?

– O czym, do cholery, mówisz? Nie, wcale nie.

Tammy znowu wzrusza ramionami i wstaje.

– Muszę lecieć. – Jeszcze raz całuje Rose w czoło. Rose mruga. Twarz Tammy łagodnieje, staje się młodszą, kiedy patrzy na mnie z góry. – Może mogłabyś ją pokazać mamie? Jest trochę... no wiesz.

Nie wiem, ale postanawiam wyglądać, jakbym wiedziała.

Tammy zaczyna się oddalać.

– Trzymaj się! – wołam za nią, czując się głupio.

Podnosi jedną rękę w geście „okej” albo „przestań”, albo „odpieprz się”, i idzie dalej.

## Rozdział 28

Stoję pod drzwiami Robina z uniesioną ręką. Coraz częściej odczuwam ten głupi impuls, żeby do niego zapukać, chociaż wiem, że nie powinnam. W środku słyszę głosy, przyciszony głos Robina, a potem odpowiadającą mu Jade. Oboje się śmieją, a ja opuszczam rękę i odwracam się, żeby po raz kolejny stoczyć wózek ze schodów.

Razem z Rose wybieramy się na spotkanie z Lois i Ethanem. Właściwie nie wiem, dlaczego się do niej odezwałam, poza tym że wszystko wydawało się całkowicie puste i to nie było przyjemne uczucie – już nie. Myślę o kontroli i o tym, jakie to było łatwe. Dawniej uwielbiałam pustą przestrzeń, jaką mi zostawiała, ale teraz mam wrażenie, że ta pusta przestrzeń ciągnie się w nieskończoność, jak te podwodne jeziora na dnie oceanu.

Mało brakowało, żebym odwołała spotkanie, ale przeglądałam internet, czytałam różne fora rodzicielskie i zauważyłam, że prawie nigdzie nie chodzę z Rose, jeśli nie liczyć wycieczki do lasu i cotygodniowej porcji wrażeń, jaką są moje spotkania z Felicity. Dlatego kiedy Lois przysłała esemesem zaproszenie, zgodziłam się. To zawsze coś do roboty, co nie polega na siedzeniu w mieszkaniu i niepukaniu do drzwi Robina. I może... cóż, polubiłam Lois.

Lois czeka u wylotu ulicy – jak się okazuje, jeździ audi – a ja uświadamiam sobie, że nie dowiedziałam się nawet, jak zarabia na życie. Nie pytałam jej prawie o nic. Może powinnam.

Pakujemy Rose i jej rzeczy, a po dwudziestu minutach wyjeżdżamy już z miasta.

Lois włącza muzykę i śpiewa razem z nią.

Po chwili się dołączam.

Lois cichnie, a kiedy piosenka się kończy, patrzy na mnie.

– Masz śliczny głos – mówi.

– Naprawdę?

Nie miałam o tym pojęcia. Fakt, że lubię śpiewać.

Otwieram okno i pozwalam, żeby ciepłe powietrze owiewało mi głowę.

– Zanim się zorientujemy, przyjdzie jesień. Uwielbiam, kiedy liście zmieniają kolor – mówi Lois.

Rzucam jej spojrzenie kątem oka.

– Dlaczego?

– Chyba dzięki temu mam poczucie, że wszystko się zmienia, umiera i robi miejsce na coś nowego.

Siadam prosto. Nigdy się nad tym w ten sposób nie zastanawiałam. Zawsze widziałam tylko nagie gałęzie i martwe liście. Molly także lubiła jesień. Może dlatego tak dobrze się czuję w towarzystwie Lois – przypomina mi Molly.

– Zastanawiam się, czy nie skrócić urlopu macierzyńskiego – mówi Lois.

– Naprawdę? A co robisz?

– Jestem księgową.

– Niemożliwe!

Odrywa wzrok od drogi, żeby przelotnie na mnie spojrzeć.

– Z całą pewnością jestem i jedno ci mogę powiedzieć: sprawienie, żeby sumy się zgadzały, jest o wiele prostsze niż opieka nad dzieckiem.

Jednocześnie może lubię Lois, ponieważ niczego nie udaje. Mówi, jak jest, w odróżnieniu od niektórych. Znowu myślę o Robinie trzymającym Ellisa, a także o Molly.

– Miałam wziąć cały rok wolnego, ale to jeszcze dwanaście tygodni. Albo osiemdziesiąt cztery dni, jeśli wolisz...

– Ty też liczysz! – Odwracam się na siedzeniu, żeby na nią popatrzeć. Z jakiegoś powodu wydaje mi się to bardzo ważne.

– Chyba tak. Wydaje mi się, że wszyscy to robią – mówi lekko Lois.

– Właśnie to powiedziałam Fel... – urywam w pół słowa.

– Słucham? – Lois nie odrywa wzroku od drogi.

– Nieważne – odpowiadam.

Zjeżdżamy z głównej szosy na drogę prowadzącą do okazałej posiadłości, niskiej i ogromnej, stojącej nad jeziorem. Po bokach, na idealnie wypielęgnowanych trawnikach, zostały wyгородzone dwie areny. Na jednej z nich pełno jest ludzi przebranych za średniowiecznych żołnierzy, walczących w pozorowanej bitwie. Wyjmujemy dzieci i podchodzimy, żeby popatrzeć.

– No, to się nazywa miecz. – Lois kiwa głową na widok mężczyzny wymachującego wielkim mieczem dwuręcznym.



Słucham metalicznego szczerku, gdy ścierają się dwaj żołnierze, ale szczerze mówiąc, niezbyt mnie to interesuje. Na drugiej arenie odbywa się pokaz sokolnictwa. Popycham w tamtą stronę wózek z Rose. Kobieta ma na ręce ogromną skórzaną rękawicę, na której przysiadł ptak. Nie mogę oderwać wzroku od jego szponów i oczu, skoncentrowanych i przebiegłych. Śmiercionośnych. Otwiera szeroko zagięty dziób i krzyczy żalonym tonem.

– Te ptaki to niezwykle inteligentni myśliwi – mówi prowadzący.

Dreszcz przebiega mi po plecach.

Ptak rozkłada skrzydła i wzbija się w niebo, a potem nurkuje z zabójczą precyzją i wznosi się w kolejnej pętli. Widzę to – ptasią naturę.

Lois podchodzi do mnie.

– One nie powinny być zamykane w klatkach i zmuszane do popisywania się przed ludźmi. Powinny być wolne – mówię. – On na pewno nienawidzi takiego życia, uwięzienia.

W tym momencie wszystko się zatrzymuje.

Myślę o Nii, o Rose i uświadamiam sobie, że nie tylko ten ptak jest uwięziony.

*Nienawidzę takiego życia.*

Mam łzy w oczach.

Lois nie pyta, czy wszystko w porządku, ale kładzie mi rękę na ramieniu.

Później zwiedzamy posiadłość i podziwiamy gobeliny oraz łoża z baldachimami i misternie rzeźbioną ramą. Ethan zaczyna się niecierpliwić, zanim zdążamy obejrzeć połowę.

Lois wzdycha.

– Przerywamy misję? – pyta.

– Tak.

W drodze powrotnej, w samochodzie, Lois pyta:

– Dobrze sobie radzisz z liczbami?

Zaczynam się śmiać i przez chwilę obawiam się, że nie będę potrafiła przestać.

Lois patrzy na mnie z ukosa.

W końcu zapanowuję nad sobą.

– Nieźle. Uczyłam się matematyki na poziomie A – wyduszam z siebie.

– Naprawdę?

– Tak. Musiałam przerwać... No, postanowiłam przerwać, żeby zająć się

Rose. Może wrócę do szkoły we wrześniu, sama nie wiem.

Lois przez chwilę prowadzi w milczeniu.

– Możliwe, że będę kogoś potrzebować za parę miesięcy – mówi. – Zastanawiam się nad otworzeniem własnej działalności. Gdybyś była zainteresowana, przydałaby mi się pomoc. Początkowo byłyby to głównie proste prace biurowe, ale mogłabym cię przeszkolić.

Patrzę na przelatujące za oknem pola, czuję, jak gładko jedzie i jak wygodny jest ten samochód.

– Na pewno wezmę to pod uwagę – odpowiadam.

Dwa dni później w mojej głowie nadal odtwarza się zapętłona rozmowa z Tammy. Uznaję, że nie mogę tego dłużej odwlekać. Muszę się zobaczyć z mamą. Powinam sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Poza tym, przyznaję, mam nadzieję, że pożyczyci mi trochę pieniędzy.

Przeczesałam palcami włosy, które znowu zapomniałam porządnie uczesać, a potem naciskam dzwonek. Słyszę, jak rozbrzmiewa, żywy i radosny, w całym domu. Od zawsze nie znosiłam tego dzwonka.

Mam już zawrócić, kiedy mama otwiera drzwi.

Wygląda... jak zawsze. Nie wiem, czego się spodziewałam. Że potargana będzie rozdzierać na sobie ubranie? Patrzymy na siebie i widzę, że mama przygląda się mojej sylwetce w workowatym ubraniu. Szukam w jej oczach śladów łez, ale nic nie widzę.

Patrzy koło mnie, na Rose, a jej twarz łagodnieje, w jej wzroku dostrzegam jakiś zachłanny głód. Sięgam do wózka i bez słowa podaję jej Rose.

Mama przytula ją, mruga kilka razy i mówi:

– Wejź do środka. Możesz zostawić wózek na ganku.

Znika w kuchni z Rose, podczas gdy ja parkuję wózek i zamykam drzwi.

Siedzę przy stole, a mama krząta się wokół, stawia przede mną kubek mleka i jakieś ciasteczka, jakbym znowu miała dwanaście lat. Prawie stęskniłam się za znajomymi herbatnikami z kremem, chociaż oczywiście nie mam zamiaru ich jeść. Mama siada naprzeciwko, ale nie komentuje nietkniętego talerza. Uświadamiam sobie, że cofnęliśmy się w czasie do ciasteczek po szkole i jej uporczywej obecności w tle – zawsze wiedziała, gdzie jest zabawka, o którą pytam, prasowała mój mundurek i przypominała o pracy domowej. To uczucie narasta, a ja chcę je odepchnąć, zdrapać z siebie całą tę troskę przylegającą ciasno jak folia do żywności.

– Tammy powiedziała mi o tacie. Naprawdę mi przykro – mówię.

Mama obraca Rose na kolanach twarzą do siebie i odpowiada:

– Ależ urosła. Buzia jej się zmieniła.

Patrzę na Rose, naprawdę na nią patrzę, i widzę, że mama powiedziała prawdę: rozwija się, jej twarz się poszerza, z tyłu głowy pojawiają się małe loczki, chociaż ma tam też duży łysy placek od spania na plecach. Początkowo byłam tym przerażona, ale lekarka w poradni powiedziała, że to absolutnie normalne i Rose na pewno nie będzie całkiem łysa jak dziecko, które widziałam po zajęciach w szkole rodzenia. Wydaje się teraz bardziej rzeczywista, bardziej przypomina dziewczynkę.

To dziwaczne odwrócenie ról, ale pytam, przybierając coś w rodzaju Uważnego Wyrazu Twarzy Felicity:

– Co u ciebie?

– W porządku, dziękuję, Heddo. Twój ojciec i ja, tak jak powiedziała ci Tamara, postanowiliśmy spędzić trochę czasu oddzielnie. On ma teraz mnóstwo pracy. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że może mieć lekki kryzys wieku średniego. Jestem pewna, że to minie. – Stara się roześmiać, ale nie bardzo jej to wychodzi.

– Tammy powiedziała, że ma kochankę. Mówiła, że się wyprowadzi.

Mama sztywnieje, ale nie odpowiada.

– Od jak dawna to trwało?

Przypominam sobie, jak zachowywał się tata, kiedy był u mnie ostatnio, co powiedział o tym, że mama miała depresję, kiedy mnie urodziła, i nagle nabieram pewności. To uczucie wzbiera, nowe i szokujące, sprawiając, że wszystkie kawałki układanki z głośnymi kliknięciami wskakują na miejsca.

– Wiedziałaś, prawda? Robił to już wcześniej. Kiedy się urodziłam.

Rose chyba wyczuwa zmianę nastroju, bo zaczyna się wiercić na kolanach mamy.

Obchodzę stół i wyciągam do niej rękę.

– Mogę podgrzać butelkę? – pytam.

– Nie mam zamiaru o tym z tobą rozmawiać, Heddo – mówi mama, a w jej opuszczonych ramionach widać cień znużenia. Podchodzi do mikrofalówki z butelką, którą jej dałam.

Kiedy mleko jest już gotowe, pytam:

– Chciałabyś ją nakarmić?

Mama podtrzymuje Rose ramieniem i daje jej butelkę. Rose początkowo

ciągnie mocno, jedną rączką ściskając butelkę, a drugą przytrzymując rękę mamy. Potem zwalnia, jej oczy zaczynają się szeroko otwierać i zamykać. Mama sadza ją prosto, żeby się jej odbiło, a zaraz potem Rose zasypia w jej ramionach. Twarz mamy wydaje się starsza pod makijażem, ale bardziej prawdziwa, kiedy patrzy na Rose, jakby się jej poddawała.

– Przypomina mi ciebie. Tak samo się mnie trzymałaś – mówi.

Myślę o wszystkich godzinach, jakie spędziłam na uczeniu się Rose, jej płaczów, sposobu poruszania, jak zapamiętywałam przebieg jej linii włosów, i w tym momencie uświadamiam sobie, że cokolwiek wydarzyło się później, mama na pewno siedziała tutaj i robiła dokładnie to samo ze mną. To jak maść na oparzenia – nie sprawia, że przestaje boleć, ale jednak pomaga.

– Musiało ci być bardzo ciężko – mówię cicho.

Mama odkłada Rose do wózka i zaczyna sprzątać nietknięte przeze mnie herbatniki i mleko.

– Mamo?

Nadal odwrócona do mnie plecami myje talerz w zlewie.

– Cóż, trzeba robić, co do nas należy, prawda? To jedyny sposób.

Wychodzę z nią na korytarz, mijam rzędy zdjęć moich i Tammy. Nad morzem, w parku, lepiące bałwana. Obie siedzimy na kolanach taty koło choinki. Mamy nie ma prawie na żadnym zdjęciu, to zawsze ona je robiła, zawsze była w ruchu, sprzątała, organizowała, porządkowała. W łazience wisi oprawiona kopia jej dyplomu, przez całe moje życie będąca dla mnie elementem tapety.

– Żałujesz tego? Że nie zrobiłaś kariery? – pytam.

Mama poprawia jakieś poduszki.

– Nie potrzebowaliśmy dodatkowej pensji.

Patrzę, jak się porusza, i nagle widzę kalejdoskop obrazów, jak zdjęcia zrobione przez paparazzi: mama w pierwszym rzędzie na szkolnych przedstawieniach, podczas gdy tata był w pracy, sprzedająca ciasteczka na stoisku komitetu rodzicielskiego, uczestnicząca w zebraniach rady szkolnej, czytająca na głos w bibliotece, zbierająca datki na cele charytatywne, zawsze w centrum dużej grupy kobiet przychodzących po dzieci na plac zabaw. To, jak pierwszego dnia gimnazjum po raz pierwszy sama wróciłam autobusem ze szkoły, dumna i podekscytowana, i zastałam ją płaczącą w kuchni, z niepozmywanymi naczyniami w zlewie.

– Potrzebowaliście mnie – dodaje, a ja widzę, jak rozpaczliwie chce, żeby

to była prawda, ile by nie okazała się warta.

– Dobrze sobie radziłaś, mamó – zapewniam, a ona patrzy na mnie i odwraca zaraz wzrok, ale ja mówię szczerze. Robiła, co mogła, co uważała za właściwe.

– Przepraszam – mówię cicho.

– Za co?

– Za wszystko. Za ośrodki... Za to, co powiedziałam wtedy, gdy zapytałam cię o moje imię.

Mama patrzy mi prosto w oczy i wydaje się trochę rozdarta.

– Być może dostrzegasz więcej, niż twoi rówieśnicy powinni – odpowiada.  
– Może zawsze tak było.

To najbliższe przyznaniu, że w jej świecie nie wszystko układa się idealnie i pewnie nigdy się nie układało. Na więcej nie mogę liczyć. Serce mnie boli z jej powodu, mam tyle do powiedzenia, ale nie wiem jak. Jak można przeskoczyć całe życie niemówienia, co się myśli, w każdym razie nie słowami?

– Heddo, twoje buty! – mówi mama i biegnie po odkurzacza.

Patrzę na mocno zabłocone trampki, które zaczynają się rozłazić w szwach, i nie wiem, jak poprosić mamę o pieniądze, których pewnie i tak nie ma.

Wieczorem naprawdę próbuję zjeść porządny obiad, ale udaje mi się wmusić w siebie tylko makaron błyskawiczny. Zastanawiam się nad zapukaniem do Robina tak jak dawniej, żeby zrobił dla mnie omlet, ale kiedy nasłuchuję przy ścianie, słyszę głos rozmawiającej z nim Jade i wiem, że nie ma już sposobu, by odzyskać tamte chwile – jeśli w ogóle kiedykolwiek należały do mnie.

## Rozdział 29

Kolejny tydzień przecieka między palcami. Rose ma cztery miesiące. Umie się przetaczać, przewraca się z boku na bok raz za razem i wydaje się zachwycona, kiedy znajduje się w nowym miejscu. Tylko dalej nie wychodzi jej pieprzony sen i czasem, kiedy po raz kolejny próbuję ją ukołysać, zaczynam rozumieć, dlaczego pozbawianie snu stosowano jako torturę. Potem się wstydzę, że obwiniam ją za to, że za mało śpi, ale trudno nie brać tego do siebie. Próbuje się już podnosić na jednej ręce i sięga do zabawek. Uważam to za wyraźną oznakę geniuszu, a potem karzę sama siebie za to, że zachowuję się jak mama przy Tammy.

Rose rośnie, a mnie ubywa.

W nocy Nia powiększa się i wypełnia pokój, nurkuje nade mną, a jej skrzydła niemal sięgają, żeby mnie zadusić.

*Jesteś obrzydliwa* – powtarza, a ja leżę i próbuję nie słuchać, naciągam na głowę poduszkę, staram się zagłuszyć ją westchnieniami i pomrukami Rose, ale jedyną rzeczą, jaka działa, jest chodzenie w kółko po pokoju albo ćwiczenia, stara rutyna liczenia pompek, brzuszków i skłonów. Za każdym razem mam poczucie, że tyka we mnie ogromny zegar, że Nia rośnie wraz z Rose.

Laurel nie daje znaku życia.

Śnią mi się pieniądze i to, że coś mnie ściga po pustych ulicach. Że chodzę pomiędzy regałami w pustym supermarkecie, gdzie wszystko jest za jasne i razi mnie w oczy, ale kasy są coraz dalej, więc nie udaje mi się znaleźć tego, co jest mi potrzebne, i wyjść ze sklepu. Kiedy się budzę, czuję się słaba, a moje serce bije nierównym rytmem. Przez chwilę. Minał już termin zwrotu dwóch idiotycznych książek, które wypożyczyłam z biblioteki następnego dnia po tym, jak dowiedziałam się o Robinie, a nie stać mnie na zapłacenie kary. Przynajmniej za przetrzymywanie książek dla dzieci nie trzeba płacić.

Tata się nie odzywa. Zupełnie jakby się roztopił, jakby tak naprawdę nigdy go nie było.

Kilka razy rozmawiałam z mamą przez telefon.

– Co u Rose? – pyta, a ja opowiadam jej, co ostatnio takiego słodkiego zrobiła Rose, na przykład o tym, jak roześmiała się do pluszowego misia, ale to trochę tak, jakby odpowiadał ktoś inny zamiast mnie. Gdzieś w głębi rozumiem, że przekroczyłam punkt krytyczny i nie ma już odwrotu.

Na obrzeżach pokoju pojawia się biały szum.

Im bardziej staram się jeść, tym mniej mogę w siebie wmusić.

Sytuacja z pieluszkami robi się podbramkowa, znowu ich prawie nie mam. Przeszłam na nowe, tańsze mleko w proszku, które chyba nie najlepiej służy Rose. Robi kupę chyba dwadzieścia razy dziennie. Ostatnią pieluszkę zakładałam jej, kiedy idę na spotkanie z Felicity.

Wychodzę z mieszkania najciszej, jak mogę, żeby nie irytować faceta obok. Myślę o jego twardych pięściach, twarzy, która krzywi się niechętnie, ile razy widzi mnie z Rose. Patrząc na drzwi Robina, zamykam własne i natychmiast odwracam wzrok. Kiedy ostatnio wyglądałam przez okno, zauważyłam, że wszystkie posadzone przez niego kwiaty zbrązowiły i wyschły z braku podlewania. Boli mnie serce, ale nie poddam się, nie zapukam do nich.

Idziemy okrężną drogą do ośrodka. Kiedy pcham wózek z Rose przez parking, koło grupki dziewczyn jak zwykle palących papierosy, dyszę ciężko. Patrząc na nie uważnie, dla porównania, ale one mnie nawet nie zauważają, zamknięte w innym, prywatnym świecie. Chcę podbiec i dołączyć do nich, powiedzieć, że jestem jedną z nich, ale chcę też uciekać.

Mówię to Felicity, siedząc na tym samym krześle, na którym siedziałam tysiące razy, z tymi samymi książkami, kwiatkami w doniczkach i tykającym zegarem.

– Wie pani, mam ochotę podejść i nimi potrząsnąć.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Powiedzieć im, żeby przestały. Zmusić je do zrozumienia, że powrót nie jest tak łatwy, jak im się wydaje. Poprosić, żeby mnie włączyły do swojej grupy. Sama nie wiem.

Felicity patrzy na mnie.

– Chudniesz.

Rose siedzi mi na kolanach. Robi się taka ogromna. Gaworzy, wpycha sobie piąstkę do ust i gryzie tak mocno, że zaczynam się bać, czy nie zrobi sobie krzywdy, ale ile razy wyciągam jej rękę, lepką od śliny, ona spokojnie i

stanowczo zaczyna ją znowu ssać.

Kiwam głową. Mam dość udawania.

– To nie jest specjalnie. – Dobra, może dalej udaję jak wściekła. Patrzę prosto na Felicity. – Częściowo specjalnie, a częściowo... jakby to przychodziło z zewnątrz. To przez Nię. Nie chce się zamknąć. – Zauważam, że płacze, łzy spadają na główkę Rose. Ona dalej żuje piąstkę. – Chcę tylko... czasem chcę, żeby ona... żeby to... żeby mnie zostawiło w spokoju!

Felicity podaje mi chusteczki.

Uśmiecha się bardzo lekko, ale jej oczy są pełne smutku i niepokoju.

– Rozmawiałyśmy niedawno o kontroli – odzywa się.

Śmieję się zdławionym głosem.

– Wie pani co? Zawsze myślałam, że to ja, albo że Nia i ja działamy razem. Obie kontrolujemy sytuację. Ale teraz już nie wiem, kogo Kocham bardziej, Nię czy... czy... – Nie chcę kończyć tego zdania. – Nienawiść to inna forma miłości, prawda?

Felicity milczy.

– Chyba można bezpiecznie przyjąć, że nie ma się co zakładać, kto kontroluje sytuację, ponieważ... nie wydaje mi się, żebym to była ja – mówię.

Przyznaniu tego w końcu towarzyszy uczucie, jakby w środku otwierała się przepaść. Z ostrymi szpikulcami na dnie. To ja nie kontroluję sytuacji. Po raz pierwszy mam ochotę krzyczeć, kazać temu czemuś przestać. Strach narasta ze wszystkich stron, wypełnia pokój, wciska mnie w krzesło i tłucze się o główkę Rose.

– Dawniej byłam całkiem pewna – mówię szeptem. – Kiedy Rose była we mnie, w środku, radziłam sobie, jadłam dla niej. Dlaczego nie potrafię tego samego teraz, kiedy jest tutaj? Przecież ją Kocham. – Oddycham zapachem Rose, czuję jej ciężar. Idealnie pasuje do miejsca na moich kolanach. – Naprawdę – szepczę.

– Nie wątpię w to. Ale czy zastanawiałaś się, Heddo, że jeśli sytuacja ma być stabilna, obie musicie być w dobrym stanie? Że musisz kochać także siebie?

– Może – odpowiadam.

W tym momencie nie wiem, czy mogłabym to zrobić nawet dla Rose, a co dopiero dla siebie, a niesprawiedliwość tego wszystkiego sprawia, że dławi mnie w gardle.



– Ona jest taka mała – mówię.

Tak naprawdę chodzi mi o to, że jest za mała, żeby stanowić dla mnie podporę. Jak miałyby choćby spróbować? Jak mogłabym ją tym obciążać? A Nia urosła taka wielka.

Felicity patrzy na Rose, szczęśliwą w moich ramionach, niemającą pojęcia o niczym. Jeszcze.

Na twarzy Felicity pojawia się cień, którego znaczenia nie chcę nawet się domyślać.

Rano słyszę ciche pukanie do drzwi i wiem, że to Robin.

Kiedy otwieram, widzę, że przyszedł się pożegnać. Tuż za nim stoi Jade z Ellisem.

Wiem, że to nie w porządku, ale mam ochotę wybić jej z głowy to współczujące spojrzenie.

– Chciałem się tylko pożegnać i życzyć ci szczęścia – mówi Robin.

Domyślałam się, że tak będzie, ale i tak to dla mnie szok.

– Dobra, jasne. No to cześć – mówię szybko, żeby mniej bolało.

– Wracamy do Leeds – dodaje Robin.

Kiwam głową.

Patrzemy na siebie.

– Wyglądasz... Wszystko w porządku? – pyta.

Nic nie mówię.

Robin wyciąga rękę, dotyka palcem policzka Rose tak, jakby dotykał mojego.

– Dzwoniłem do administracji w sprawie tych zacieków w mieszkaniach – mówi.

Jade kaszle.

– Zaczekam w samochodzie. Trzymaj się, Heddo.

Kiwam głową.

– Dziękuję – odpowiadam tak cicho, że nie jestem pewna, czy mnie słyszała, potem patrzę na Robina i próbuję zachować spokój.

– Czyli... Jak rozumiem, podjąłeś decyzję.

Robin ma półokrągłe cienie pod oczami. Serce bije mi szybko. Znowu myślę o tym, co Felicity mówiła o odczuwaniu emocji. Nie zmieniłam zdania na ten temat, nie rozumiem, co w nich takiego fajnego.

– Tak.

Przełykam gwałtownie ślinę.

– Ale jej nie kochasz.

– Nie – odpowiada i patrzy na mnie przez długą chwilę, a ja dostrzegam w jego oczach cały wszechświat. Robin wzdycha i dodaje: – Ale Kocham Ellisa. Jest moim synem. Muszę spróbować.

Podnoszę rękę na wysokość twarzy, jakby dało się zablokować w ten sposób drogę, którą moglibyśmy razem pójść.

– Przepraszam – mówi.

Patrzę na niego, na jego głupie okulary, w jego oczy, lśniące i bardzo zmęczone. Dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, że on też ma jakieś problemy? Zastanawiam się, jak mu powiedzieć, że przepraszam, że powinnam była go porządnie wypytać, a nie tylko prześlizgiwać się po powierzchownych, bezpiecznych tematach, ale ostatecznie mówię tylko:

– Powodzenia. Mam nadzieję, że wam się ułoży.

Czubkami palców dotyka moich opuszków, a potem unosi moją dłoń i przesuwa palcem po kościstych kłykciach.

– Martwię się o ciebie. Poradzisz sobie?

Chcę powiedzieć: „Nie, nie poradzę”, ponieważ nie przypuszczam, żeby mi się udało.

Ale on powinien się martwić o Ellisa i Jade. Za Rose to ja jestem odpowiedzialna.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

– Coś dla ciebie przygotowałem. – Pochyliła się, żeby podnieść stojące na ziemi pudełko. – To ten pikantny kurczak, który ci smakował.

Nie wiem, jak mu powiedzieć, że jest za późno, że nie mogę tego zjeść, więc bez słowa biorę pudełko.

– Będziemy w kontakcie? – pyta.

Kiwam głową i zamykam drzwi, żeby nie zdążył zobaczyć łez w moich oczach.

Wstawiam pudełko z kurczakiem do pustej zamrażarki i patrzę na zacieki rozszerzające się na suficie. Przypominam sobie, co tata mówił o zimie.

Że to nie jest miejsce dla małego dziecka.

## Rozdział 30

Komórka dzwoni z bardzo daleka. Otwieram oczy. Białe kafelki nad głową i tępy ból rozlewający się po plecach. Potrzebuję chwili, żeby zrozumieć, że zemdlałam, a nierealny widok jest mi dobrze znajomy. To pierwszy raz od czasu, kiedy byłam w ciąży z Rose...

Rose.

Przewracam się na bok i podnoszę się spanikowana. Natychmiast słyszę dźwięk podobny do tego, który rozlega się, kiedy przyłożycie sobie muszle do ucha. Wypełnia moją głowę, więc muszę zaczekać, bezsilna, a serce tłucze mi w piersi, ponieważ nie słyszę Rose.

W końcu udaje mi się przejść chwiejnie do sypialni, gdzie ona leży w łóżeczku i śpi głęboko, zupełnie spokojna. Pochylam się i całuję ją, bardzo lekko, żeby jej nie obudzić, a potem idę napić się wody i próbuję uspokoić rytm serca, ale jestem na to zbyt przerażona. Rose zaczyna już siadać i może się przemieszczać po pokoju, przetaczając się. Co zrobię, kiedy zacznie rączkować? Chodzić? Będzie w stanie otworzyć drzwi?

Czy w końcu będzie jeszcze jedną osobą błagającą mnie, żebym jadła?

Komórka dzwoni znowu. Sięgam po nią, ale nie trafiam.

Mrugam kilka razy, żeby rozjaśnić sobie w głowie.

To mama.

– Cześć, mamó, co u ciebie?

Cisza po drugiej stronie.

– Mamó?

– Przepraszam, skarbie...

Skarbie? Dlaczego nazywa mnie „skarbem”? I dlaczego jej głos jest tak stłumiony? Zimne mrówki przechodzą po moich ramionach.

– Wszystko w porządku, mamó?

Rozlega się dźwięk wycieranego nosa, a potem jej głos rozbrzmiewa znowu, bardziej opanowany.

– Przepraszam, nie chciałam cię martwić. Jestem ciekawa, czy ojciec może

kontaktował się z tobą? No i oczywiście co tam u ciebie i Rose.

– U nas dobrze – odpowiadam, z całej siły starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i ignorując to, że zapytała o nas wyraźnie przy okazji. – Nie odzywał się do mnie. Właściwie... – Biorę głęboki oddech i mówię tak szybko, jak potrafię: – Mam mały problem z zasiłkiem i próbowałam się skontaktować z tatą. Miałam nadzieję, że pożycz mi trochę pieniędzy, dopóki wszystko nie zostanie pozafatwiane.

Mama śmieje się z goryczą.

– Nie zwracaj sobie głowy proszeniem ojca o pieniądze. Właśnie miałam telefon z banku. Nie płacił raty kredytu przez ostatnie dwa miesiące. Poza tym... – Znowu milknie na chwilę, a ja wyczuwam, że walczy, żeby nad sobą panować. – Złożył pozew rozwodowy.

– O kurwa.

– Heddo! Jak ty mówisz – odpowiada mama, co na swój sposób jest uspokajające.

– Przepraszam.

– Cóż, gdybyś z nim rozmawiała, powiedz... powiedz mu, żeby skontaktował się z moim adwokatem – oznajmia mama, a ja omal nie zaczynam się śmiać, ponieważ brzmi zupełnie jak ja, kiedy próbuję postawić na swoim podczas spotkań z Felicity.

Rozłączam się i czuję się jeszcze dziwniej niż wcześniej.

Potem dzwonię do taty i nagrywam w sumie sześć różnych wiadomości.

Później, kiedy Rose już nie śpi, siadam przed talerzem jedzenia. To bezpieczne jedzenie. To niemożliwe jedzenie. Wkładam trochę do ust.

Nia szepcze: *Spaślak*.

– Zamknij się – odpowiadam głośno przez zaciśnięte zęby.

Ona śmieje się grzmiącym głosem.

Rose przetacza się po macie i patrzy na mnie dużymi, jasnymi oczami.

Jeszcze kęs.

Siedzę tu już całą wieczność.

Zjadam, ile mogę, a potem podnoszę Rose, próbując znaleźć pociechę w jej ciężarze.

Ze swojego miejsca na macie patrzy, jak ćwiczę. Kiedy zaczyna płakać, ignoruję ją i ćwiczę dalej, aż kończę całą serię, jaką zleciła mi Nia. Słucham jej głosu nalegającego, żebym zrobiła jeszcze więcej i więcej, żebym mogła

się poczuć bezpieczna, a potem podnoszę Rose i zasypuję jej jedwabiste włoski przeprosinami. Słowa ześlizgują się i spadają na podłogę, plastikowe i nic niewarte.

Jestem zbyt zmęczona, żeby iść do biblioteki, więc zamiast tego opowiadam Rose bajkę.

*Dawno, dawno temu, była mała dziewczynka, która mieszkała na stronie w malutkiej kropce. Siedziała skulona i patrzyła na swoje przygarbione ramiona i brudne włosy. Kropka była mała i pozostawała w jednym miejscu, otoczona morzem bieli. Brzegi strony były bardzo, bardzo daleko, w innym kraju. Czasem widziała przez moment długie, ostre krawędzie i zastanawiała się, co jest za nimi. Kiedy była głodna, jadła atrament, gorzki i twardy. Wewnątrz kropki nie było dnia i nocy, tylko całe warstwy ciepłej ciemności. Dziewczynka mieszkała w kropce przez wiele lat, więc trudno było zgadnąć, gdzie kropka się kończy, a ona zaczyna. Mijały wieki. Z czasem dziewczynkę ogarnęła obsesja na punkcie krawędzi świata kropki i ogromnej przestrzeni poza nimi. W snach widziała wyraźne linie i pragnęła wiedzieć, co się tam może znajdować. Spędziła wiele dni i nocy w swojej ciepłej kropce, zastanawiając się, jak mogłaby się przedostać przez morze bieli. Popychała atramentową ciemność, a ciemność w odpowiedzi napierała na jej rękę.*

*Pewnego dnia, kiedy popchnęła mocniej niż zwykle, strużka atramentu wypłynęła w biel i rozprzestrzeniła się, tworząc wiosło. Dziewczynka zrobiła to samo z drugiej strony, a kiedy pojawiło się drugie wiosło, ze śmiechem ujęła oba i zaczęła wiosłować poprzez biel. Ale chociaż wiosłowała i wiosłowała, przekonała się, że potrafi tylko płynąć w kółko.*

# Rozdział 31

Tata wreszcie dzwoni.

Wiadomości musiały poskutkować. Najwyższy czas.

– Cześć, Heddo – mówi.

Moje imię dziwnie brzmi w jego ustach. Uświadamiam sobie, że bardzo rzadko go używał, zwykle było to po prostu „kochanie” albo coś w tym rodzaju. Jakbym nie była właściwie indywidualną osobą.

– Tato, chciałam cię prosić o przysługę. Czy mógłbyś...

– Miałem zadzwonić i zapytać, co u was obu słyhać – oznajmia tata „radosnym” tonem. – Akurat jestem w mieście. Może mogłabyś wyskoczyć, żeby się ze mną spotkać? Zaprosiłbym moje dziewczynki na lunch.

Byłoby tak łatwo odmówić. Powiedzieć mu, gdzie ma iść. Ale pod tym sztucznym ożywieniem wyczuwam coś przypominającego żelazo. Wiem, że muszę to rozegrać na jego warunkach.

– Jasne – odpowiadam, zmuszając głos, żeby zabrzmiał pogodnie. – Byłoby świetnie.

Umawiamy się na następny dzień, a ja spędzam całe godziny na wybieraniu ubrań i robieniu makijażu, żeby ukryć, jak bardzo jestem wychudzona – to dla mnie coś nowego.

Popycham Rose w wózku przez miasto, chociaż moje stopy wydają się zbyt ciężkie, żeby je podnosić. Niektórzy oglądają się za mną, kiedy przechodzę, a ja dobrze znam te spojrzenia. Teraz jednak tylko częściowo mi na nich zależy. Jestem spóźniona, ponieważ nie mam pieniędzy na bilet autobusowy, a pieszo idę dłużej, niż myślałam – co chwila się zatrzymuję, żeby złapać oddech. Docieram do pubu, do którego zostałam „zaproszona” na lunch, i wprowadzam wózek do środka. Rozglądam się po pogrążonym w półmroku wnętrzu i zauważam tatę w kącie.

Przynajmniej wydaje mi się, że jest to tata, chociaż wygląda inaczej. Młódziej. Jak człowiek wypuszczony z więzienia. Jest z nim kobieta, której nie rozpoznaję.

Cofam się z wózkiem o kilka kroków, ale on zauważa mnie i macha.

– Tutaj!

Podchodzę powoli i zmuszam się do uśmiechu.

– Dzień dobry.

– Chodź, siadaj. Chciałbym ci kogoś przedstawić. To jest moja najstarsza i malutka.

*Rose* – myślę. *Ona ma imię.*

Ale on już odwraca się do kobiety, pozbawionej gustu kopii mamy z marnie ufarbowanymi włosami i nieprzyjaznym wzrokiem, za to pokazującej mnóstwo zębów w uśmiechu.

– To jest Meg – mówi.

– Jak w *Meg i Mog*? – pytam, unosząc brew i myśląc o czarownicy z książeczek, które czytałam, kiedy byłam mała.

Uśmiech Meg staje się jeszcze szerszy, a jej spojrzenie tak ostre, że kojarzy mi się z drapieżnym ptakiem, którego widziałyśmy z Lois.

– Dokładnie. Jesteś bystra.

Tata wyraźnie nie zauważa, że coś jest nie tak, i uśmiecha się z dumą.

– Cudownie jest mieć tutaj wszystkie moje dziewczynki – mówi.

– Poza Tammy. I mamą – stwierdzam. – No i ja już właściwie nie jestem dziewczynką, chociaż „malutką” można tak nazwać. Twoją wnuczkę, Rose. – Jeszcze nie krzyczę, ale mówię na tyle głośno, że kilka osób przy barze się odwraca.

Twarz taty ciemnieje, ale zanim zdąża cokolwiek powiedzieć, Meg odzywa się wysokim, szczebiotliwym głosem.

– Zawsze powtarzałam, że jesteś o wiele za młody na wnuczkę, Peter.

Rzyg. W tym momencie uświadamiam sobie, że ona patrzy na mnie znacząco i właściwie ma pewnie rację. Jest za młody. Ja jestem za młoda. Cała nasza sytuacja życiowa to jeden wielki chaos. Jak mam go poprosić o pieniądze, kiedy ona nas obserwuje? Ma takie same oczy jak ta kobieta w sklepie charytatywnym, która nazwała mnie pasożytem.

Wstaję.

– Właśnie sobie przypomniałam, że jestem umówiona.

– W „ośrodku”? – pyta Meg.

Jej oczy podpowiadają, że wie o wszystkim. Kładzie rękę na ramieniu taty i patrzy na niego maślanym wzrokiem pełnym udawanego współczucia.

– Nie, u bukmachera. Muszę jakoś spożytkować całą tę niesamowitą kasę z

zasiłku. Potem może pójde na miasto i zobacze, czy uda mi sie znowu zaciagnac. Podobno wtedy dostaje sie dodatek – mowie tak sarkastycznie, jak tylko potrafię, i popycham wozek z Rose do wyjścia.

Za soba slysze jeszcze glós Meg:

– Wątpię, czy to sie uda w tym stanie. Nie, pozwól jej isc, Peter. Jest juz dorosła.

*Moze sie zdecydujesz?* – mam ochote wrzasnac. Zawsze zostaje uwieziona w przestrzeni pomiedzy oczekiwaniami róznych osób dotyczacyimi tego, co powinnam robic, jaka powinnam byc. Za mloda i zbyt nieodpowiedzialna na dziecko; za dorosła i zbyt harda na pomoc. Zastanawiam sie, czy sie nie cofnac i nie dac jej porzadnie w pysk albo przynajmniej wylac jej drinka na odrosty, ale nie robie tego. Idę przed siebie.

Potrzebuję całej swojej energii, zeby wrócic do domu. Udaje mi sie nakarmic i przewinac Rose, a potem kladę ją na macie do przewijania i praktycznie tracę przytomność na kanapie.

Ktos sie dobija do drzwi.

W pierwszej chwili, wypływając spośród warstw koszmaru pełnych szeptów Nii, myślę: *Robin*. Ale jego tu nie ma.

Odwracam głowę. Zastanawiam sie, gdzie jest Rose, która godzina, czy ja zemdlalam, czy po prostu zasnelam, a moze teraz jestem we snie na jawie.

Lezę na kanapie, a Rose wierzga nózkami na macie. Wszystko z nią w porzadku. Widocznie to nie trwało długo.

Dalej slysze uderzenia w drzwi. A jeśli to facet z sąsiedztwa? Ale przeciez byliśmy cicho.

W tym momencie rozlega sie glós:

– Hedda?

Próbuję odpowiedziec, ale wydaję tylko skrzeknięcie. Wstaję powoli, bo jeśli zrobię to szybciej, przewrócę sie znowu. Udaje mi sie podejsc do drzwi.

Na korytarzu stoi Tammy w obszernej kurtce z kapturem. Sądząc po oświetleniu, jest wczesny wieczór.

Otwieram drzwi, a ona sie odwraca.

– Cześć – mowi.

– Cześć.

– Wyglądasz okropnie.

– Wiem.



Wpuszczam ją do środka, idziemy do pokoju dziennego. Rose nadal leży na swojej macie i nie zajmuje się niczym konkretnym. Czy zdążyła po prostu przywyknąć do tego, że jej mama od czasu do czasu się wyłącza?

– Czy mogę ją potrzymać? – pyta Tammy.

Podaję jej Rose, a Tammy patrzy na nią.

Przykłada palec do noska Rose.

– Biiip – mówi.

Rose się śmieje. To niesamowity cichy dźwięk, który wydaje się dla niej za duży. Tammy i ja wymieniamy uśmiechy. Rose jest jak wata cukrowa, sprawia, że atmosfera robi się miękka i łagodna.

– Zna swoją ciocię – mówię.

– Owszem, znasz, prawda? – pyta Tammy i znowu naciska nosek Rose.

Idę do kuchni, żeby zajrzeć do książeczki Rose. Na zegarze jest siódma, co oznacza, że do pory karmienia zostało jeszcze trochę czasu. Jej waga nadal mieści się idealnie w statystykach.

– Co to jest?

Tammy przyszła za mną do kuchni i patrzy mi przez ramię na zeszyt.

Zamykam go.

– Co słyhać u mamy? – pytam.

Tammy patrzy jeszcze raz na zeszyt nieprzyjemnym wzrokiem, a potem wraca ze mną na kanapę.

– Mnóstwo gotuje. Chyba się boi, że pójdę w twoje ślady.

– A zamierzasz?

Patrzy na sufit, jakby się nad tym zastanawiała, i odpowiada:

– Nie. Jedna w rodzinie wystarczy, nie uważasz?

– Jesteś pewna?

Tammy spogląda mi prosto w oczy.

– Jestem pewna.

Wiem, że to prawda. Wyrywa mi się malutkie westchnienie ulgi, którego istnienia w ogóle nie podejrzewałam.

Tammy nadal patrzy na mnie.

– A co z tobą? Wyglądasz, jakbyś była pólżywa – mówi.

Wzdrygam się.

Tammy czeka.

Skąd się wzięła ta wersja mojej siostry? Nagle wydaje się dorosła, starsza niż czternaście lat.

– Chyba... chyba tak – mówię tak cicho, że nie wiem, czy mnie w ogóle słyszy.

Gładzi buzię Rose grzbietem palca.

– Heddo... Co będzie z Rose?

– Co z nią?

– Co zrobisz, kiedy będzie starsza? Czy będzie patrzeć na... na ciebie? Jak się będzie z tym czuła?

Uświadamiam sobie, że jeśli ktoś wie coś o tym, to właśnie Tammy. Opuszczam głowę.

– Przepraszam.

Tammy wzdycha i przez chwilę myślę, że zaraz wyjdzie, ale tylko przysuwa się bliżej, z Rose w ramionach. Waha się chwilę, a potem kładzie mi głowę na ramieniu. Przez moment w ogóle się nie ruszam. Potem, bardzo powoli, jakbym starała się nie przestraszyć dzikiego zwierzęcia, obejmuję ją ramieniem. Przez chwilę tak siedzimy, a serce skacze mi po całej klatce piersiowej.

– Obejrzymy coś? – proponuje Tammy, bierze pilota i skacze po kanałach, aż znajduje *Strictly Come Dancing*.

– Serio? – pytam.

– Zamknij się i oglądaj – odpowiada Tammy, ale bez złości w głosie.

Para się popisuje, dłonie i stopy latają na wszystkie strony. Rose wpatruje się w telewizor, zafascynowana brokatem i sztuczną opalenizną.

– Mam nadzieję, że wylecą jako pierwsi – mamrocze Tammy.

– Nie wiedziałam, że to oglądasz.

– No to nie mów nikomu.

Oglądamy jeszcze kilka tańców, aż przychodzi kolej na walca. Suknia kobiety płynie za nią, jakby się unosiła w wodzie. To w sumie piękne. Tammy wstaje i zaczyna tańczyć po pokoju z Rose. Rose otwiera szeroko oczy i patrzy na nią z tak słodką miną, że moje serce otwiera się szeroko. Z jakiegoś powodu przypominają mi się pozytywki, które kiedyś dostałyśmy z Tammy na gwiazdkę, każda z tancerką na szczycie.

– Chodź – mówi Tammy i wyciąga do mnie rękę.

– Co? Nie ma mowy.

Tammy ignoruje moje protesty, podnosi mnie i tańczymy razem – ja, ona i Rose – dziwnego walca w kółku. To ciepłe miejsce w mojej piersi podnosi się jak pokrywka pozytywki, aż tuż koło Rose znajduje się odrobina miejsca

dla mojej nadętej, irytującej młodszej siostry.

Po jej wyjściu mieszkanie wydaje się okropnie puste.

Naprawdę staram się zjeść obiad – dla Rose, dla Tammy – ale po prostu nie mogę.

Następnego dnia hałas w mojej głowie robi się głośniejszy. Nia jest wszędzie, sący się przez ściany, odbija echem w całym mieszkaniu: *Spaślak, spaślak, spaślak*. Jest jak taran, który nie przestaje uderzać.

Pół nocy biegnę w miejscu, a rano zabieram Rose na spacer, poza miasto, i docieram pod bramę cmentarza.

Nie wiedziałam nawet, że idę w tę stronę, chociaż jakaś część mnie musiała wiedzieć.

Jestem tu po raz pierwszy i szukam bez końca, chodząc w jedną i w drugą stronę pod szumiącymi cicho drzewami.

Gdzieś pod tym całym szumem statycznym wiedziałam, co to za dzień. Minął rok od śmierci Molly.

Znajduję w końcu grób z czarną marmurową płytą. Przesuwam dłonią po imieniu Molly i datach wyznaczających jej krótkie życie, a potem wyjmuję Rose z wózka i siadam po turecku, trzymając ją na kolanach.

– Cześć, Molly. To jest Rose. Rose, poznaj Molly.

Rose się śmieje.

Przypominam sobie wieczór w ośrodku. Molly i ja wyszliśmy do ogrodu, żeby zapalić. Nad nami kołysały się na wietrze wysokie drzewa, nie wiem, jakiego gatunku.

– Brzmia jak morze – zauważyła Molly. Wciągnęła głęboko powietrze nosem i wypuściła je. – Kiedy umrę, chciałabym się zreinkarnować jako drzewo.

– Myślałam, że nie wierzysz w takie rzeczy? – zapytałam.

– O, w coś na pewno wierzę.

– W co?

– Sama nie wiem. W to, jak wygląda motyl, w jego symetrię. W zapach kasztanów. Ściętą trawę. Śnieg. Że świat byłby lepszy bez ludzi.

Patrzy w niebo, a jej wzrok jest ponury i pełen rozpacz.

– Wiesz, kocham świat. – Wstaje i krzyczy do nieba: – Kocham cię!

– Spokojnie – mówi pilnująca nas pielęgniarzka.

Molly odwraca się do niej plecami.

– Skoro tak bardzo go kochasz, to dlaczego...? – Nie kończę pytania.

Jakiś tydzień wcześniej Molly próbowała uciec i została przywieziona po kilku godzinach przez policję, ale zdążyła najeść się czegoś, co sprawiło, że musiała mieć płukanie żołądka.

– Ponieważ nie jestem dla niego dość dobra – odpowiada.

Nie mogę jej powiedzieć niczego, co by sprawiło, że zmieni zdanie. Próbowałam wtedy. Naprawdę próbowałam. O, wtedy w ośrodku wszyscy wyłazili ze skóry, starali się z niej wyciągnąć jakieś „dlaczego”, ale powiedziała tylko, że czuje się jak czarna dziura, w którą wciąga wszystko i wszystkich, których kocha.

Teraz się zastanawiam, dlaczego nigdy tego nie wyjaśniła. Czy dlatego, że nie chciała, czy dlatego, że nie potrafiła?

Z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że jestem na nią zła, że byłam na nią zła od dawna, ale z trudem wyczuwam to pod mgłą Nii, jakby wspomnienia zostały wypalone i pozostawiły tylko obkurczone skorupy.

– Molly, musisz mi powiedzieć, co mam robić – szepczę. – Ona mnie nie wypuszcza. Albo ja nie potrafię jej wypuścić.

Patrzę na czarną płytę i myślę o palcach Molly tańczących na saksofonie, przywołujących gdzieś z jej głębi smutek i radość. O ciemności, jaką w sobie nosiła, o tym, jak uwielbiała mroczne filmy i burze. O tym, że ostatecznie najlepiej wychodziło jej niszczenie. O karuzelach w wesołym miasteczku, punktach krytycznych i liczbach.

– Nie wiem, co mam robić. Powiedz mi, co robić – szepczę.

Myślę o wszystkich tych stronach, które zapisywałam, kiedy Rose była jeszcze wewnątrz mnie, o mojej liście rzeczy do dupy w ośrodku. Kiedy ją spisywałam, czułam się, jakby Molly naprawdę ze mną była, siedziała obok mnie. Nagle zaczynam rozumieć. Od początku nie chodziło o to, dlaczego nie powinnam tam wracać. Pisałam dla niej. Żeby nie musieć się z nią żegnać.

Czekam i czekam na znak, uczucie, cokolwiek niebędącego czarną pustką, ale wrażenie, że Molly nade mną czuwa, znika całkowicie.

Ona odeszła. Przez cały czas tylko się oszukiwałam.

Nie pozostało po niej nic poza zimnym kamieniem i zwykłymi wspomnieniami.

## Rozdział 32

Kilka dni później łapię przeziębienie. Rose łapie przeziębienie. Kaszlemy i kichamy przez całą noc, a rano jestem tak osłabiona, że ledwie mogę ją podnieść. Głowę mam ciężką i zapchaną. Kiedy Rose płacze, naciągam na głowę poduszkę i myślę: *Zamknij się, zamknij się, zamknij się*, a potem przytłacza mnie poczucie winy. Czasem przestaje i patrzy na mnie z ukosa, jakby się zastanawiała, czy może mi zaufać. To jesteśmy dwie.

W domu nie ma jedzenia, nie ma pieniędzy, nie ma pieluch. Kiedy idziemy na zakupy, wkładam jej w śpioszki złożony ręcznik papierowy. W drodze powrotnej nie mogę wprowadzić wózka na schody, nie daję rady go podnieść. Odpinam Rose, a moje ręce i nogi trzęsą się przez całą drogę na górę. Kładę ją w mieszkaniu i łapię oddech.

Czuję bolesny ucisk w piersiach i myślę: *To już czas. To jest dzień, kiedy moje serce nie wytrzyma.*

Czekałam na tę chwilę od dnia śmierci Molly, możliwe, że nawet dłużej.

Świat rozmazuje mi się przed oczami. Wrzeszczę w myślach imię Rose, ale nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nie ma nikogo, kto by mi pomógł. Robin wyjechał, Laurel jest w szpitalu, mama przywykła do tego, że nie odbieram telefonu. Może minąć kilka dni, zanim ktoś się zorientuje, że coś jest nie tak.

Potykam się i upadam na kolana.

– Rose – na pół szlocham, na pół szepczę jej imię. Jest teraz tylko niewyraźnym zarysem, wszystko ciemniej. Wyciągam znowu rękę i wiem, że to na nic. Nie mogę jej dosięgnąć...

Budzę się, gdy ktoś dobija się do drzwi. Czuję się zesztyniała, ale w piersiach boli mnie już mniej. Przewracam się na bok, widzę Rose śpiącą spokojnie na macie, z zaciśniętymi piąstkami, jakby się przed czymś broniła. Uderzenia w drzwi znowu się rozlegają, więc podnoszę się i wyczuwam rytm swojego serca, które przynajmniej do pewnego stopnia nadal pracuje. To był

tylko atak paniki. Chyba.

Wyglądam przez wizjer i widzę jedną z dziewczyn, które zwykle siedzą na schodach, gadają i piją cydr. Uchylam drzwi.

– Wszystko w porządku? Zostawiłaś na dole wózek, przyniosłam go – mówi.

– Aha. Tak, dziękuję – wyrzucam urywanym głosem.

– Nie ma sprawy – odpowiada i ogląda mnie od stóp do głów. – Bez urazy, ale gówiennie wyglądasz. Powinnaś chyba iść do lekarza.

– Dzięki – powtarzam i odbieram od niej wózek.

Rzuca mi zatroskane spojrzenie przez ramię i zbiega do swojego cydru.

Podchodzę powoli do Rose. Wszystko z nią w porządku.

Próbuję zadzwonić do taty, ale trafiam na pocztę głosową.

Sprawdzam stan konta i okazuje się, że wpłynęły w końcu pieniądze z zasiłku, tyle że większość z nich musi iść na spłacenie pożyczki. Robię listę, ale jak bym się nie starała, liczby się nie zgadzają. Wiercą się i rozmazują mi się przed oczami. Uświadamiam sobie, że kiedy kupię pieluchy i mleko w proszku, nie zostanie nic na jedzenie, a ja nie jestem w stanie pójść do banku żywności.

Kiedy wyglądam przez okno, widzę szary betonowy plac i Spacerowniczkę okrążającą go, jakby była tu od zawsze.

Dżinsy wiszą teraz na mnie. Czuję się, jakbym się dusiła, jakby nie było dostatecznie dużo powietrza. Czytam Rose w kółko te same książeczki, aż słowa zaczynają tańczyć na stronach. Próbuję nawet tej o ptakach, ale przerywam, kiedy trafiam na stronę poświęconą kukułkom i temu, jak podrzucają jaja do gniazd innych ptaków, żeby się tam wykluły i wymordowały pozostałe pisklęta. Nazywa się je pasożytami gniazdowymi. Mój mózg zacina się na słowie „pasożyt”.

Joanna wpada, a ja chowam się z Rose w sypialni i czekam, aż sobie pójdzie. Zostawia mi wiadomość na komórce z prośbą, żebym była w domu, kiedy znowu przyjdzie, a jej ton głosu mówi mi jasno, że czas się kończy.

W nocy myśli rozdymają się i rosną, aż zaczynają ściekać po ścianach, gęste i czarne. Boję się spać, bo co będzie, jeśli już się nie obudzę? Cały czas myślę o grobie Molly. Jeśli coś się ze mną stanie, to co będzie z Rose? Czy ktoś w ogóle ją znajdzie, zanim...?

Odwracam głowę na bok, wstaję z łóżka. Zakładam słuchawki i włączam rocka tak głośno, jak się da. Zaczynam biec w miejscu, machając gorączkowo

rękami, próbując prześcignąć głosy w głowie. Pokój wiruje, a ja czuję narastające mdłości, ale zamykam oczy i znowu biegnę. W mojej głowie Nia powtarza: *Za późno, za późno, za późno*, a może: *Spaślak, spaślak, spaślak*. Podkręcam dźwięk tak, że zaczynają mnie boleć uszy.

Rozlega się łoskot, widzę błysk światła i staje przede mną facet z sąsiedztwa. Na podłodze leżą drzazgi z otwartych kopnięciem drzwi.

Łapie mnie za nadgarstki, jedna słuchawka wypada, więc słyszę tylko w jednym uchu gitarową nawałnicę i jego krzyk:

– Mówiłem, żebyś uciszyła tego bachora!

Rose wrzeszczy, wrzeszczy, wrzeszczy, jakby płakała od wieków, ale ja jej nie słyszałam, nie słyszałam jej, a ten facet przysuwa twarz tuż do mojej, czuję kwaśność jego oddechu i uświadamiam sobie, jak niebezpieczne ma oczy. Próbuję się wyrwać, ale jego ręce miażdżą moje nadgarstki, jakby próbował je połamać. Jestem tak przerażona, że nie mogę wydobyć z siebie dźwięku. Przez cały czas gra muzyka, Rose wrzeszczy, moje serce łopocze i zamiera mi w piersiach.

Facet mnie puszcza, a ja się zataczam i opadam ciężko na ścianę. Czysty biały ból rozlewa mi się po żebrach, odbiera mi oddech. Druga słuchawka wypada, metalicznie brzmiący rock ześlizguje się na dywan. Facet kopie iPod, który uderza o ścianę, odbija się i gra dalej, aż facet nadeptuje na niego z całej siły. Rozlega się trzask, muzyka przestaje się rozlewać po pokoju. Teraz to już tylko Rose, której wrzask przemienił się w przerażone kwilenie.

Podnoszę się na kolanach, chociaż dzwoni mi w uszach, a przed oczami przechodzi mi kolonia mrówek. Czołgam się do drugiego pokoju, facet idzie za mną i nachyla mi się nad uchem, kiedy próbuję się podnieść, czepiając się prętów łóżeczka Rose.

– Następnym razem cię zajebię.

Myślę, że nie żartuje.

Zamieram, patrzę na moją córeczkę, a on w końcu wychodzi.

Stoję i chwieję się na nogach. Wymiotuję bezgłośnie.

Sięgam do łóżeczka Rose, wyjmuję ją. Czuję od niej gryzący smród.

To jej pieluszka.

Zapalam światło i widzę, że przeciekła ze wszystkich stron, na całe łóżeczko i jej nóżki. Wrzeszczała, leżąc we własnej kupie, podczas gdy ja w pokoju obok próbowałam prześcignąć głosy. Uciszam Rose, jak tylko mogę,

przerażona, że facet może wrócić. Zamykam drzwi i udaje mi się zapiąć łańcuch, ale framuga jest popękana.

Myję Rose pod prysznicem, najdelikatniej jak mogę kładę jej rękę na buzi, żeby stłumić jej wrzask.

– Cśśśś, kochanie, proszę, cśśśś. Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma... – Głos mi się załamuje.

Znajduję śpioszki, znoszone i już za małe na nią, więc muszę wyciąć dziury na jej stopki. Wystają teraz, malutkie i bezbronne. Pocieram je, ale Rose wzdryga się od dotyku moich zimnych palców. Kiedy zakładam ostatnią pieluchę, jej pupa jest intensywnie czerwona. Nic dziwnego, że wrzeszczała. Mdli mnie z poczucia winy.

Owijam ją kocem, kulę się przy niej na łóżku i leżę zeszywniała aż do rana, nasłuchując oddechu Rose i Nii gadającej przez całą noc, symfonii horrorów, od których nie mogę uciec.

Słaby blask poranka wpada do mieszkania. Patrzę na rozprzestrzeniające się wszędzie zacieki, na sterczące z framugi drzazgi. Otwieram szafki, które są puste. W zamrażarce stoi kurczak Robina, otoczony białymi półkami.

Uświadamiam sobie, że nie znoszę bieli.

Idę do łazienki i widzę, jak bardzo mam zapadłe oczy – niczym ciemne dziury nad kośćmi policzkowymi. Włosy wychodzą mi garściami, jeśli przesunę dłonią po głowie. Widzę siebie tak samo jak tamtego dnia widziałam Laurel, w migotaniu, które wyostrza wszystko.

Widzę siebie.

Nareszcie.

Wtedy biorę telefon i dzwonię.



## Rozdział 33

Felicity pojawia się jako pierwsza. Patrzy na Rose i na mnie, ocenia stan mieszkania i wzdycha.

– Chodź tutaj, usiądź. Masz może herbatę?

– Nie.

– Nie szkodzi. Przyniosłam trochę, a poza tym mleko i cukier.

Siadamy i pijemy. Pozwalam Felicity posłodzić moją i to daje mi siłę, żeby powtórzyć, co powiedziałam przez telefon.

– Nie poradzę sobie. Nie dam rady opiekować się Rose. Potrzebuję... potrzebuję pomocy.

– Potrzeba wiele odwagi, żeby to przyznać, Heddo.

Przytulam Rose mocniej, jakbym mogła cofnąć słowa i to, co wprawiłam w ruch. Ale nie mogę. Za bardzo ją kocham, żeby dłużej udawać. Potrzebuje czegoś więcej niż to, co jest, więcej, niż ja jej mogę dać. Na moim boku rozlewa się ogromny siniak. Sprawia, że poruszam się sztywno i krzywię się z każdym ruchem. Moje serce nadal bije dziwnie i nie tak, jak powinno, jakby jakieś jego części obumarły. Nie ufam mu, nie ufam sobie.

– Musi cię zbadać lekarz. Poza tym musimy też zgłosić na policję pobicie.

– Nie wrócę do szpitala – mówię. – Ani teraz, ani nigdy. – Nagle zaczynam to rozumieć i czuję żal, przewlekły i przejmujący. Molly już nie ma, tak samo jak ośrodka. Nie mogę wrócić. Ponieważ jeśli to zrobię, nie sądzę, żebym kiedykolwiek stamtąd wyszła.

– W takim razie musimy przygotować plan, który ci na to pozwoli.

– Niby jak? Nic mi już nie zostało. – Po części chodzi mi o to, że jestem wyczerpana, ale może jest w tym też coś więcej. Próbuję poukładać myśli we mgle stworzonej przez Nię. – Jest już za późno, prawda?

Głos Felicity jest bardzo łagodny.

– Wydaje mi się, że na razie potrzebujesz dodatkowego wsparcia.

Chowam twarz w dłoniach i mówię przez nie.

– To tak, jakby w mojej głowie toczyła się wojna. Gdybym nie miała Nii...

Nie wiem nawet, co bym robiła bez niej... bez tego. Nie wiem, kim jestem. Nigdy nie zrobiłam niczego istotnego. Z wyjątkiem Rose. Ale nie mogę jej zmuszać, żeby była dla mnie wszystkim, prawda? Tak jak zrobiła to mama. Nie mogę żądać od Rose, żeby brała na siebie taki ciężar.

– Nie, nie możesz.

– W takim razie Nia wygrywa.

Felicity pochyla się i dotyka mojej ręki.

– Tylko jeśli na to pozwolisz. Nia nie jest osobą, Heddo, a zaburzenia odżywiania nie są tobą, niezależnie od tego, jak pocieszające było to dla ciebie w przeszłości. Myślę, że sama o tym wiesz.

Ledwie dostrzegalnie kiwam głową.

Felicity wzdycha.

– Może za długo pracuję w tym zawodzie... Uważam, że naprawdę się starałaś i postąpiłaś bardzo odważnie, dzwoniąc do mnie. Wydaje mi się, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak silna jesteś.

Patrzę na nią z niedowierzaniem, ale ona jeszcze nie skończyła mówić.

– Całą tę siłę, jaką masz, do tej pory destrukcyjną, możesz zmienić w coś pozytywnego.

Potrząsam głową.

– Możesz. Jesteś – mówi Felicity. – Potrzebujesz tylko trochę pomocy. Musisz pozwolić, żeby inni ci pomogli.

Myślę o Robinie, Laurel i Molly. O tym, że zawsze mnie wypytywali i nigdy nie przyznali, że sami potrzebują pomocy.

Zaczynam płakać.

– Muszę się z nią rozstać, prawda?

Mam na myśli Rose.

Ale także Nię.

Felicity wzdycha.

– Uważam, że na razie musisz się skoncentrować na powrocie do zdrowia i nie wydaje mi się, żebyś była w tym stanie zdolna zajmować się Rose. Wiem, jak bardzo ją kochasz, ale musisz kochać także siebie. Myślę, że kiedy będziesz już gotowa, staniesz się cudowną matką.

– Ale nie teraz.

– Nie, nie teraz. Najpierw musisz być zdrowa, a ja myślę, że będziesz. Widzę cię i wierzę w to.

Kiedy umarła Molly, myślałam, że nikt inny nigdy już nie będzie mnie

widział – naprawdę widział – i kochał pomimo to. Teraz robi to akurat Felicity, ta kobieta, która znosiła wszystko, na co ją narażałam – moje kłamstwa, obelgi, milczenie. W tym ułamku sekundy ja także ją widzę. Przeprosiny w jej oczach. To, jak bardzo się starała. Chcę jej powiedzieć, ile znaczyło to, co zrobiła. Nie zawiodła mnie. Nie znajduję słów, ale biorę ją za rękę, a ona mruga bardzo szybko i uświadamiam sobie, że ściska moją rękę równie mocno. Siedzimy w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, przez długą chwilę, aż Rose porusza się i zaczyna płakać.

Niedługo później przychodzi Joanna. Felicity rozmawia z nią przyciszonym głosem, a potem przychodzi kolej na mnie. Joanna robi notatki, zadaje pytania, a ja staram się z całych sił odpowiadać, chociaż chcę tylko spać i spać.

Opowiadam jej o mamie i tacie, który zniknął bez uprzedzenia.

– To chyba na razie wyklucza twoją matkę jako rodzinę zastępczą – mówi Joanna, po czym wychodzi na chwilę, żeby zadzwonić, a także kupić pieluchy i mleko w proszku.

Felicity jest ze mną przez cały czas.

Przytulam mocno Rose, moją dziewczynkę, moją prześliczną dziewczynkę, moje koło ratunkowe, które muszę wypuścić.

Ponieważ żadne dziecko nie powinno być czyimś kołem ratunkowym.

Wszystkim, czego się potrzebuje.

Wszystkim, czego ja potrzebuję.

To za wiele na jednego malutkiego człowieka.

Jeszcze później przyjeżdża policja. Spisują zeznania i idą obok. Słychać krzyki, szamotaninę, a potem facet zostaje oskarżony o pobicie i posiadanie, i w końcu zabrany. Wiem, że kiedyś wróci. Mówią, że ktoś przyjdzie naprawić drzwi.

Nie potrafię wypuścić Rose z objęć.

W końcu wraca Joanna.

– Znalazłam dla niej rodzinę zastępczą. To wspaniała para, bardzo doświadczona. Rozmawiałam z Violet, mogą zabrać Rose już dzisiaj.

– Dzisiaj? – Wszystko się wali. Przytulam Rose mocniej, jakby Joanna miała zaraz wyrwać mi ją z ramion. – Co dalej? Co się stanie?

– Będziecie pozostawać w kontakcie i możesz odwiedzać Rose.

Skoncentrujesz się na swojej rekonwalescencji. To powinno być rozwiązanie na krótką metę, dopóki nie staniesz na nogi. Musimy coś zrobić z mieszkaniem dla ciebie, może załatwić ci college albo pracę. Gdybyś nie kończyła za miesiąc osiemnastu lat, może udałoby mi się umieścić was gdzieś razem, ale w tej sytuacji...

– Będą musiała sobie radzić sama – mówię ciężko.

– Nie, ja będę cię wspierać – oznajmia Joanna. – To nie koniec, Heddo. Nie mogę niczego obiecywać, a dobro Rose jest na pierwszym miejscu, ale to nie koniec.

Felicity ściska moje palce.

Violet przyjeżdża pod wieczór razem ze swoim mężem Rosem, wielkim i powłóczącym nogami facetem z początkami łysiny i owłosionymi rękami. Mimo otepienia rozpoznaję Violet. To Vi, kobieta z banku żywności.

Uśmiecha się do mnie.

– Obiecuję, że się nią zaopiekujemy.

Pochyla się, żeby wziąć Rose, a ja nie mogę uwierzyć, że to już, że to się dzieje naprawdę, że zaraz jej nie będzie. Nie mogę zmusić rąk, żeby ją wypuściły. Ale obok jest Felicity, która obejmuje mnie ramieniem. Wdycham zapach Rose, czuję jej ciepło, zbieram całą odwagę, jaka mi została, i całuję ją.

Potem ją wypuszczam.

Violet bierze ją na ręce.

– Przeurocze maleństwo – mówi. – Widać, że jest bardzo kochana.

Chcę wrzeszczeć i wyć, ale nie robię tego, bo nie mogę przestraszyć Rose.

Violet przypina ją w foteliku samochodowym.

Zaczynam bredzić.

– Lubi *Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma*. I tego misia, śmieje się do niego. Jeśli jest zmęczona, lubi, żeby ją gładzić między brewkami, o tutaj, robi się od tego senna. Lubi chodzić na spacer. I książki, lubi książki.

Narasta we mnie panika. Jak mam ją podsumować? Gdybym tylko zrobiła listę... Dlaczego nie zrobiłam listy?

Ale Rose to ktoś, kogo nigdy nie mogłabym zamienić w listę.

Biorę głęboki oddech.

– Lubi naprawdę ciepłą kąpiel, a jeśli ma gazy, trzeba masować w tę stronę. – Podnoszę rękę, żeby pokazać. – Nie w tę stronę.

Oddycham, a Joanna mówi:

– Dajmy jej kilka dni na przyzwyczajenie się, a potem umówimy się na wizytę.

Miejsce na moich kolanach, gdzie była Rose, jest zimne.

Pochyliam się nad fotelikiem i całuję ją w czoło. Śpi głęboko, ale i tak do niej szepczę:

– Musisz już jechać, Rose. Kocham cię. Przepraszam. Niedługo się spotkamy.

Wychodzą.

Felicity mówi, że zostanie, ale ja chcę pobyć sama.

– Wrócę jutro. Z samego rana – obiecuje i także wychodzi.

Podbiegam do okna i wychylam się przez nie, żeby zobaczyć samochód wycofujący się powoli, jakby wioził najcenniejszy obiekt w całym wszechświecie. Patrzą za nim, aż dojeżdża do końca ulicy. Czeka okropnie długo na skrzyżowaniu, a ja wyobrażam sobie, jak Rod się waha, jego łysiejąca głowa obraca się w prawo i w lewo, a Vi mówi mu, żeby się wreszcie zdecydował. Potem samochód skręca i jego tylne światła znikają mi z oczu.

Nie wiem, jak długo siedzę w oknie, podczas gdy zmierzch przechodzi w zmrok. Kiedy się odwracam, mieszkanie wydaje się mniejsze. Zapasowy kocyk Rose dalej leży na oparciu kanapy, więc biorę go ze sobą i zwijam się w kłębek, wdychając jego zapach i starając się wyryć każdy detal Rose w pamięci. Chcę pobiec i nie zatrzymywać się, dopóki jej nie znajdę i nie zabiorę ze sobą do domu, gdzie jej miejsce, ale wtedy przypominam sobie nie tylko jej uśmiech, ale też inne chwile, kiedy płakała, a ja myślałam, że zrobię coś okropnego, kończące się pieniądze i faceta z sąsiedztwa wyłamującego drzwi, ponieważ wrzeszczała. Głos Nii spod sufitu i moje serce rozpadające się w nicość.

Pozwalam, żeby żal spływał po mnie, a gdy staje się silniejszy, wraca Nia, tak jak się spodziewałam, tak jak robi to zawsze. Chce mnie mieć przy sobie, a w tym momencie, w tym ponurym mieszkaniu, z którego zniknęła jedyna dobra rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła, trudno mi znaleźć choćby jeden powód, by jej odmówić.

Robi się coraz ciemniej. Zapada noc. Tworzą się słowa, nabierają siły i szybkości jak rozpędzający się pociąg: *Obrzydliwy spaślak. Nienawidzę cię...* Jakaś część mnie chce w nich zatonać, znaleźć się z powrotem tam, gdzie

wszystko bolało, i może to bolałoby mniej niż w tej chwili, ponieważ nagle zaczynam być pewna, że nie jestem w stanie oddychać już nawet sekundy bez mojej dziewczynki. Felicity się myliła. Mimo wszystko jestem jak Molly, nigdy nie wychodziło mi nic poza niszczeniem siebie.

Wstaję i wracam do okna. Wychylam się w noc. Nie potrzeba wiele, żebym się puściła.

Myślę o Molly pod tą kamienną płytą, o tym, jak sobie powtarzałam, że rzuciła na mnie zaklęcie, żebym nie wróciła do szpitala. Ale jej tu nie ma. Nigdy jej tu nie było.

Chodnik na dole jest ciemny, wiatr szumi mi w uszach. Jeśli to nie Molly czuwała nade mną, nie pozwalała mi wrócić do szpitala, to może to oznacza coś innego.

Może to była jakaś część mnie.

Potem myślę o Rose.

Rose, która nadal tu jest. Może nie jestem w stanie się nią teraz zajmować, ale mam pozostawać w kontakcie. Odzyskam ją. Jeśli będę mogła. Myślę o wszystkich tych rzeczach, jakie liczyłam przez lata, i uświadamiam sobie, że nie potrafię przyporządkować liczby do miłości, jaką czuję do Rose. Jest większa od nieskończoności. Niepoliczalna. Może, skoro mam w sobie tyle miłości do niej, znajdę jakiś sposób, żeby pokochać także siebie.

Przypomina mi się powiedzenie babci Robina, że życie to bezcenny dar, który powinien zakwitnąć. Rozważam je, próbuję w ciemności oszacować jego rozmiar. Nie wiem, czy moje życie także się liczy.

Nia jest w pobliżu. Czuję ją w pokoju za sobą. Patrzę w dół, na chodnik, który wydaje się tak blisko.

Powoli się cofam.

Idę do kuchni. W głębi szafki jest paczka makaronu błyskawicznego. Nie ruszam jej. Zamiast tego wyjmuję kurczaka, którego zostawił mi Robin, i podgrzewam go na kuchence, patrząc, jak bulgocze.

Siadam przy stole z talerzem przed sobą.

Nia gada, ale teraz już wiem. To mój wybór, czy chcę ją zatrzymać, czy nie, ale jeśli się z nią rozstanę, muszę to zrobić dla siebie, nie dla Rose.

Patrzę na sufit, z którego Nia obserwuje mnie od tak dawna, a potem w ciemność za otwartym oknem. Myślę o mojej córeczce, mojej prześlicznej dziewczynce, która wybrała matkę taką jak ja i wierzyła, że ta matka dokona dobrego wyboru. Potem przygarniam do siebie Nię i szepczę jej do ucha:

– Już czas na ciebie.  
Patrzę, jak moje dłonie wypuszczają samo powietrze.  
Zaczynam jeść.

# Epilog

– Cześć, Heddo, wchodź. Jubilatka jest w ogrodzie.

Idę za Rodem przez dom, do ogrodu pełnego zabawek. Na jabłoniach wiszą balony i serpentyny. Na końcu ogrodu Rose kuca w piaskownicy i kopie łopatką. Patrzę na nią przez chwilę.

Podnosi głowę, uśmiecha się i robi kilka niepewnych kroków w moją stronę.

– Heddy – mówi.

Zmuszam się, żeby do niej podejść, a nie podbiec, i podnoszę ją. Jest teraz bardzo ciężka, ale pachnie nadal tak samo. Czuję jej ciepłe palce na szyi. Po raz tysięczny zastanawiam się, ile ona rozumie.

Po chwili zaczyna się wiercić, więc stawiam ją na ziemi i odwracam się do Vi, która przyniosła mi szklankę lemoniady. Wypijam ostrożnie połowę i odstawiam ją.

– Ba-a – mówi Rose, co jest jej słowem oznaczającym balon.

Vi odwiązuje jeden z drzewa i podaje jej.

Rose drepcze i przekazuje go mnie.

– Heddy.

– Dziękuję – mówię i pochylam się, żeby ją znowu pocałować. – Może go wypuścimy? Zobaczymy, jak daleko poleci z wiatrem?

Rose patrzy na mnie z powagą na buzi. Wyciągam rękę w górę, otwieram palce i obie obserwujemy balon unoszący się pod niebo. Rose piszczy radośnie. Podnoszę ją, żeby lepiej widziała, i staram się nie przytulać jej za mocno. Kiedy balon zmienia się w małą kropkę na niebie, stawiam Rose ostrożnie na ziemi i patrzę na Vi.

– Nie zostanę na przyjęciu. Muszę być w pracy.

Vi kiwa głową.

– Zostawię dla niej prezent w domu – mówię. – Będzie mogła go otworzyć później.

– A może wolisz dać go jej w sobotę? – pyta Vi.



W sobotę Rose po raz pierwszy ma mnie odwiedzić w nowym mieszkaniu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, z czasem znowu ze mną zamieszka.

Vi ściska moje ramię.

– Krok po kroku. Będiesz dla niej dobrą mamą, Heddo. Już jesteś.

Nie jestem tego pewna.

Mama i Tammy przyjdą niedługo na przyjęcie. Widuję się z nimi dwa razy w tygodniu, a one także odwiedzają Rose. Tammy i ja śmiejemy się z tego, że mama chyba zaraziła się od nas, ponieważ zaczyna przejawiać poczucie humoru. Niedawno opowiedziała nam dowcip zawierający prawdziwe brzydkie słowo, a my byłyśmy tak zaskoczone, że dopiero po dobrej minucie zaczęłyśmy się śmiać. Kto by podejrzewał, że mama może opowiadać pieprzne dowcipy? Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Wydaje mi się, że jest szczęśliwsza teraz, gdy tata w końcu zniknął, a ona mogła przestać czekać, aż to się stanie, i zająć własnym życiem. Stara się o pracę. Myślę, że zainspirowało ją to, że pracuję dla Lois. Wieczorem robię kurs matematyki na poziomie A, równoległe z kursem księgowym, i tym razem zamierzam je ukończyć.

Jakiś czas temu, po pracy, poszłam odwiedzić mamę i Tammy. Mama była w ogrodzie, pielęła gołymi rękami. Podeszłam do niej i sama wsunęłam palce w ciepłą ziemię. Mama przysiadła na piętach i patrzyła na mnie przez chwilę. Przyglądała mi się otwarcie.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała w końcu.

Nie wzdrygnęłam się ani nie skrzywiłam. Uśmiechnęłam się tylko.

Miałam już wracać do środka, kiedy mama podniosła rękę ubrudzoną ziemią.

– Heddo, chciałam z tobą porozmawiać. Chciałam ci powiedzieć... powiedzieć... – urwała.

Po policzkach spłynęły jej dwie łzy.

Popatrzyłam jej w oczy i zobaczyłam w nich tysiąc próśb o wybaczenie.

Mama wyciągnęła rękę.

Pozwoliłam, żeby mnie przytuliła.

Po chwili podniosłam rękę i odwzajemniłam uścisk. Żadna z nas nie przejmowała się tym, że będziemy pobrudzone ziemią.

– To, przez co przechodziłaś... – zaczęła mama.

– W porządku, mamó. Wiem.

Później tego samego dnia oglądałyśmy znowu z Tammy *Przebudzenie mocy*. Uwielbiam scenę, w której Rey dostaje do ręki miecz świetlny. Myślę wtedy o tym, że Rose rośnie silna i zdrowa, a także o Robinie. Wymieniamy e-maile, ale nie spotkałam się już z nim. Chociaż jego związek z Jade się rozpadł, Robin został w Leeds, żeby być blisko Ellisa. Czasem śni mi się, że słyszę jego serce uderzające mocno i powoli i czuję się spokojna. Pełna ciepła. Nadal się zastanawiam, co to mogłoby znaczyć i czy w ogóle coś znaczy. Nie wiem, czy powinno. Robin na zawsze pozostanie chłopakiem, który był przy mnie, kiedy moje serce zaczęło się budzić. Ale może przynależy do tamtego czasu, nie do przyszłości.

Laurel pisze od czasu do czasu ze szpitala, ale żyje teraz w monochromatycznym świecie. Próbowałam jej początkowo odpisywać, tyle że to nic nie dało. Nie odpowiadam jej już, chociaż czasem patrzę w niebo i myślę o niej. Mam nadzieję, że jej się uda.

Jeśli chodzi o mnie, to jakaś część mnie chyba na zawsze pozostanie w tamtym świecie. Ale mam także nowe mieszkanie, pracę, książki. Przestałam zaglądać na regał z książkami do odstawienia i próbuję dojść, co tak właściwie lubię. Okazało się, że uwielbiam fantasy.

Nadal chodzę na terapię, dwa razy w tygodniu, z inną terapeutką, ponieważ jestem teraz pod opieką przychodni dla dorosłych, ale wysyłam czasem Felicity esemesy, żeby dać jej znać, że u mnie wszystko w porządku. Nie wchodzę na wagę. Czasem się czuję, jakbym jechała na rowerze, od którego właśnie odkręcono boczne kółka, i najmniejsza utrata równowagi sprawi, że polecę na ziemię. Ale może wszyscy tak się czują w życiu.

Nie czuję za plecami obecności Molly ani Nii, tak jak wcześniej, i czasem dokucza mi przez to samotność. Kilka tygodni temu jeszcze raz odwiedziłam grób Molly, żeby oddać jej obie listy i ponczo. Siedziałam przy jej nagrobku, patrzyłam, jak się palą, i myślałam o tym, jak mało ją w sumie znałam. Mogła mieć piękne życie, ale ja nie przeżyję go za nią.

Mam dość roboty z zastanawianiem się, jak powinnam sama żyć.

– Sobota nadal aktualna, tak? Jesteś gotowa? – pyta Vi.

Oglądam się na Rose sięgającą do liści krzewu. Siada gwałtownie na pupie i zaczyna się śmiać. Jest tu taka szczęśliwa. Cokolwiek się stanie, czy zamieszka ze mną, czy też nie, fakt, że jest na tym świecie, nadal wydaje się najbardziej niespodziewanym cudem.

Uświadamiam sobie, że Vi czeka na odpowiedź. Mogłabym liczyć

sekundy, rozpięte szeroko jak skrzydła drapieżnego ptaka, ale nie robię tego.  
Nie tym razem.

– Aktualna – mówię. – Będę gotowa.

Tego, co najważniejsze, i tak nie da się policzyć.

# Podziękowania

Jestem niezwykle wdzięczna wszystkim osobom, których pomoc i wsparcie pozwoliły mi stworzyć *Niepoliczalne*. W szczególności chciałabym gorąco podziękować:

Mojej agentce, Claire Wilson, która od początku wierzyła w moje pisarstwo. Dziękuję za cierpliwość, spokój i za to, że zawsze wiedziałaś, co należy powiedzieć. Ta książka nie zostałaby napisana bez Ciebie. Dziękuję też Rosie Price i wszystkim osobom z RCW za Waszą pracę i wysiłek.

Rebecce McNally za stworzenie domu dla Heddy. Hannah Stanford, mojej fantastycznej redaktorce, za potraktowanie historii Heddy z taką starannością i wnikliwością. Sprawiałaś, że proces wydawniczy był wspaniałym doświadczeniem – dziękuję Ci za to. Helen Vick za przepchnięcie książki przez ostatnie fazy, Madeleine Stevens za nieocenione propozycje poprawek, a także całemu zespołowi w wydawnictwie Bloomsbury. Miałam szczęście, że mogłam z Wami pracować.

Dziękuję i ściskam mocno rodzinę i przyjaciół, w szczególności mamę za te wszystkie wyprawy do biblioteki i godziny babysittingu oraz Emily za czytanie kolejnych wersji i zagrzewanie mnie do walki na każdym etapie. Zawsze będziesz pierwszą osobą, do której będę dzwonić. Dziękuję Tomowi, Suki i dziewczynkom za entuzjastyczne wsparcie.

Dziękuję mojemu sabatowi za wsparcie i akceptację, w szczególności Leza radzenie sobie ze spanikowanymi e-mailami i cały ten rabarbar!

Obiecałam specjalne podziękowanie dla załogi z PMO za znoszenie gadania o książce – bardzo przepraszam! Dziękuję, Vic, za omówienie ze mną procedur związanych z wymagającymi szczególnej opieki młodymi matkami. Wszelkie niewychwycone błędy są całkowicie moją winą.

Historia opisana w książce *Niepoliczalne* jest fikcyjna, a Hedda nie jest mną, chociaż gdy piszę te słowa, mija prawie dokładnie dwadzieścia lat, od kiedy zaczęłam własną podróż po „ośrodkach”. Odważnym, cudownym ludziom, których w tym czasie poznałam, pragnę powiedzieć, że nadal o Was

myślę i mam nadzieję, że wszystkim Wam się udało. Wszystkich, którzy są tam obecnie, chcę zapewnić, że nie zostaliście zapomniani i że może być lepiej.

Na koniec chcę podziękować Naomi i Williamowi, którzy wybrali taką matkę jak ja. Dziękuję, że dzielicie się mną z laptopem i każdego dnia sprawiacie, że się uśmiecham.

# Spis treści

## Dedykacja

## Część pierwsza. Coś

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

## Część druga. Odliczanie

Rozdział 6. Jeszcze siedemnaście tygodni

Rozdział 7. Jeszcze szesnaście tygodni

Rozdział 8. Jeszcze piętnaście tygodni

Rozdział 9. Jeszcze dwanaście tygodni

Rozdział 10. Jeszcze dziesięć tygodni

Rozdział 11. Jeszcze dziesięć tygodni

Rozdział 12. Jeszcze osiem tygodni

Rozdział 13. Jeszcze sześć tygodni

Rozdział 14. Jeszcze cztery tygodnie

## Część trzecia. Liczenie od nowa

Rozdział 15

Rozdział 16. Drugi dzień

Rozdział 17. Czwarty dzień

Rozdział 18. Drugi tydzień

Rozdział 19. Trzeci tydzień

Rozdział 20. Czwarty tydzień

Rozdział 21. Piąty tydzień

Rozdział 22. Ósmy tydzień

Rozdział 23. Dziewiąty tydzień

Rozdział 24. Dziesiąty tydzień

Część czwarta. Nia

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Epilog

Podziękowania